CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARYASIEWICZA.

(Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj).

Tom Drugi.

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA i WOLFFA.

1871.

Дозволено Цензурою

Варшава 1 (13) Октября 1871 г.

Druk J. Bergera. ul. Daniłowiczowska Nr 619.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie drugim.

I.

Stolica naddunajska.

Trzy lata minęły od tego czasu.

Dla państwa Rakuzkiego były to lata ciężkiéj próby i wielkich nieszczęść.

Stolica naddunajska, owa hoża i zawsze wesoła niewiasta spoważniała, i z tańczącéj bajadery stała się poważną matroną, na czole któréj pokazała się po raz pierwszy troska—o jutro! Śród bezmyślnego szału i swobodnéj radości, śród tego wygodnego życia z dnia na dzień, po raz pierwszy wionęło chłodne zapytanie z jéj ust: co będzie jutro?

Lata te przyniosły państwu i stolicy niesłychaną i niespodziewaną katastrofę!

Była nią bitwa pod Sadową!

Trzeba znać Wiedeń, jakim był dawniéj, aby ocenić wrażenie téj klęski.

Wiedeń to ulubione dziecko, któremu było więcéj wolno niżeli innym śmiertelnym mieszkańcom monarchii; Wiedeń był bogaty, miał usta mniéj zawiązane: wolno mu było nawet wiele rzeczy krytykować, byle tylko działo się z rodzinnym czysto wiedeńskim dowcipem. Ministrowie, których ten dowcip bezlitośny trafiał, cieszyli się z niego jako

z produktu krajowego, bo wiedzieli, że na tym dowcipie wszystko się skończy.

Opowiadają, że gdy razu pewnego naczelna władza porządku, ś. p. cesarzowi Franciszkowi niepokojący raport przyniosła, że w stolicy opinia publiczna po ogródkach i kafenhauzach zwraca się przeciw władzom rządowym krytykując to i owo, zapytał zafrasowany cesarz:

— Czy płacą regularnie podatki?

— Podatki, Najjaśniejszy Panie—odpowiedział radca nadworny — są należycie spłacone.

— To niech sobie gadają co chcą!—rzekł z uśmiechem monarcha — przecież za ich pieniądze trzeba im coś pozwolić!

To téż gadali sobie rozpieszczeni Wiedeńczycy przy kufelku piwa co im się tylko podobało, byle tylko dowcipnie i wesoło, byle ten dowcip był czysto miejscowy, a nie pożyczany od Francuzów. Ktoby chciał życie publiczne ówczesnego Wiednia studyować, musiałby przedewszystkiém pozbierać wszystkie dowcipy, które wówczas stolicę obiegały, i chronologicznie ułożyć; z nich bowiem dowiedziałby się, jak się Wiedeńczycy na tę lub ową kwestyę europejską zapatrywali, jak te i owe reformy rządowe wewnątrz przyjmowali. Gdzieindziéj nie ma śladu publicznego żywota: żadne pismo, żadna książka nie zapisała go.

Zresztą myliłby się, ktoby sądził, że Wiedeńczykom chodziło kiedykolwiek o tę lub ową kwestyę europejską lub państwową: im chodziło przedewszystkiém o dowcip. Kwestya europejska lub państwowa była tylko przypadkowym materyałem, z którego swój dowcip wyrabiali; gdyby jaki inny mieli pod ręką materyał, pewnieby się tych rzeczy nie tknęli.

Było to istne miasto humorystów. Ludzie znakomici w tym zawodzie jak Saphir przewodzili w stolicy: ich słowa chwytano jak motyle na wiosnę i powtarzano od Schottenthor do Alsergrund. Trzeba jednak przyznać, że humoryści wiedeńscy byli w tym względzie niedoścignionymi mistrzami, rozumie się dla swoich. Dowcip ich różnił się

tém od francuzkiego, że ten obiegał świat cały, a zatém musiał się do wymagań różnych stosować, a dowcip wiedeński nie troszczył się o świat, był tylko dzieckiem ciasnych piwnych ogródków, urodził się i rozrastał dla swoich: mógł więc mieć więcéj soli i papryki i nie potrzebował białych rękawiczek.

Oprócz humorystyki, która całe życie Wiedeńczyka zajmowała, wszystkie inne gałęzie życia umysłowego były bezlistne. Ludzi pracowitych i wysokiéj nauki było dosyć, ale ci przeżuwali tylko to, co gdzieindziéj się nauczyli. Pisarzy prawie żadnych. Pisano romanse i powieści blade, kryminalne, nijakie, a najwięcéj tłumaczono. O poetach nic nawet słychać nie było, bo samo życie mieszkańców było tak sielankowo-poetyczne, że nic więcéj do marzeń poetycznych nie pozostawało: poezya i realizm podały sobie tutaj ręce i żyły w zgodzie jak małżeństwo.

Wiedeńczyk w dzień powszedni pracował, a w niedzielę i święta miał piwo w praterze lub w czasie chłodnym w swoim szyneczku, do którego od lat dwudziestu co dzień chodził. Miał oprócz tego małpy i niedźwiedzie w Schönbrunie, do których co niedziela chodził z niemałą rozkoszą, niosąc dla nich w kieszeni bułki i owoce. Co roku, na wiosnę miał bezpłatne, pyszne widowisko, tak zwaną „Praterfahrt.“ Była to promenada olbrzymia najpyszniejszych ekwipaży, na któréj czele zazwyczaj ktoś ze dworu jechał. Tym sposobem inaugurowano niejako piękną porę lata, która rozkochanemu w naturze Wiedeńczykowi obiecywała zielone gałęzie w piwnych ogródkach. Rozumie się, że ograniczał się w takim razie na tych rozkoszach natury, które wewnątrz rogatek miejskich do użytku były.

Ideałem w téj porze Wiedeńczyka były kurczęta z sałatą. Był to fundament każdéj sielanki: bez nich nie pojmowano natury, nie widziano wcale jéj wdzięków.

Kochano się wiele, ale kochano bez żadnych excentryczności. Zamiast gwiazd na niebie, zamiast księżyca i szmeru strumyka miano inne, praktyczniejsze rozkosze.— „Spo-

dziewam się—pisała w liście miłosnym romantyczna Nany do swego kochanka— spodziewam się że przyjdziesz dzisiaj do nas. Z tęsknotą będę cię oczekiwać. Mamy na wieczerzę krwawe kiszki z magdeburską kapustą i ser limburski.“

Połowę rozkoszy towarzyskich zajmował ojczysty, astronomiczny taniec: walec. Nieśmiertelny Strauss i genialny uczeń jego Lanner stworzyli z tego, zrazu prozaicznego tańca prawdziwą poezyą. Wiedeńczyk rozszalał się przy dźwiękach Straussa lub Lannera, rozpoetyzował, i w tańcu tym był istotnym poetą. Bywało nieraz u „Sperla,“ że całe masy wirujące, jakby oczarowane melodyą nową, zawtórzyły na głos grającéj kapeli i hucznym chóralnym śpiewem prowadziły motywa wszystkich walców.

Był to widok prawdziwie czarodziejski: kilkaset par śpiewając toczyło się jak fala morza śród tysiąca świec a cały obraz zmieniał się w chwili jak w kalejdoskopie!

I nie było w téj zabawie nic coby wykraczało przeciw przyzwoitości. Przynajmniéj w sali nie zamącono niczém owéj poezyi życia, któréj Wiedeńczyk tak łaknął. Tańce przy muzyce Straussa lub Lannera różniły się od bachanaliów *Mabilla* lub *Closerie de lilas*, jak Szyller od Paul de Kocka. Nieraz widzowie, z warstw wyższych, uniesieni czarem tonów wmieszali się między tańczących i obiegli obszerny salon w objęciach tanecznic, o których wcale nie wiedzieli, że jutro pojdą z koszyczkiem po pietruszkę na „*Gemusemarkt.*“ Byli dla nich grzeczni i uprzejmi, bo „damy“ swojém obejściem zasługiwały na to.

Za owych czasów żył sobie Wiedeń, jak sam zwykł mawiać „*gemüthlich.*“ Jest to wyraz, którego w żadnym innym języku oddać nie można: najbliżéj niego stoi nasze „bez troski.“

Magnaci państwa i wyższa szlachta mieli chwalebny zwyczaj spożywać swoje dochody w stolicy naddunajskiéj. Mianowicie wielkiego kontyngensu dostarczały Węgry. Każdy bogatszy Węgier ciągnął do tego Eldorado i uważał za swój obowiązek imponować Niemcom kosztowném życiem.

To téż Wiedeńczycy lubili Węgrów, brali od nich pieniądze pełnemi garściami, a w nagrodę tworzyli na ich rachunek najlepsze dowcipy towarzyskie.

W dowcipach tych odgrywają Węgrzy pierwszą rolę; Wiedeńczycy bowiem uroili sobie, słusznie czy niesłusznie, że ci synowie Arpada nie grzeszą wcale rozległą nauką ani znajomością wykwintniejszych obyczajów. Wyobrazili ich sobie jako dzikich mieszkańców puszczy i przylepiali do nich wszystkie swoje dowcipne anegdotki.

Pod względem politycznym byli Wiedeńczycy nadzwyczaj lojalni. Chociaż jeszcze nie mieli ministrów odpowiedzialnych, tylko rządy autokratyczne, prześcignęli jednak czas swojemi wyobrażeniami i afektami. Ministrów krytykowali po ogródkach: „Bierhallach,“ ale dla dynastyi mieli zawsze afekt głęboki i otaczali ją czcią i szacunkiem.

Szacunek ten jednak nie opierał się na grozie majestatu, ale na pewnéj zażyłości, jaka zazwyczaj łączy dobrych przyjaciół i znajomych. Ś. p. cesarz Franciszek był dla nich prostym „Francem.“

— *Haben Sie den Franz heute gesehen?*—pytał szewc swego sąsiada.

Bo téż ten „Franz“ był kością z ich kości. Chodził pomiędzy nimi po „Bastej“ w długim granatowym surducie i granatowych spodniach, które czasami, gdy było błoto, podkasywał na butach.

Wiedeńczycy tak byli przekonani, że cesarz jest wyłączną ich własnością, że niechętnie słuchali, gdy ktoś z krajów koronnych równe prawo do tego rościł. Każdy Wiedeńczyk miał wyobrażenie o sobie, że należy do rządzących, a mieszkańców krajów koronnych uważał za poddanych, którzy jakby na jakim odległym folwarku dla niego pracowali.

Mimo to rządami nie kłopotał sobie głowy. Płacił, jak mniemał, ministrów i na nich ze wszystkiém się spuszczał. Jeżeli wynurzyła się jaka kwestya europejska, to zwykł wtedy się tém pocieszać, że jest ktoś kogo się za to płaci, aby o tém myślał.

Wprawdzie był czas, w którym Wiedeńczyk na wzór Francuza krew sobie zagrzał tak, że musiano do niego armatniemi kulami strzelać; ale to przeminęło i Wiedeńczyk sam już zapomniał o tém, nazywając ten wypadek prostém nieporozumieniem.

I tak spokojnie i swobodnie używał sobie Wiedeń bożych darów i chociaż od niejakiego czasu żył już na krédkę, nie troszczył się jednak o swoje jutro; a nawet, jak to często na schyłku mienia się wydarza, opanowała go w końcu dziwna pycha.

Roboty *Hausmana* w Paryżu nie dały mu spać w nocy. Słyszał i czytał w dziennikach że Hausmann stary Paryż wali a nowy buduje. Jakto? Czyż Wiedeń nie może się także trochę odmłodnić? Czyż nie może przynajmniéj tu i owdzie nakryć swoje stare styrane szaty?

I nastąpiła szlachetna rywalizacya kapitałów i budowniczych z kapitałami i budowniczymi Hausmana. Bulwarów nowych nie można było stworzyć, ale nowe ulice!

Zniesiono i rozkopano „Bastej“ i inne średniowieczne zabytki dawnych fortyfikacyj i wymierzono kilka nowych ulic, które mogłyby rywalizować z Paryżem.

I rzeczywiście stworzono bardzo piękne rzeczy. Na wzór ogrodu Luxemburskiego w Paryżu założono „Stadtpark“ i wystawiono okazały pałac dla publiczności, która letnią porą może tu się przechadzać, pić kawę i wody mineralne. Kilka nowych ulic zabudowano prawdziwemi pałacami, którychby sam Hausman mógł pozazdrościć. Pewien bogaty kupiec wzniósł dom okazały i pomalował go w stylu bizantyńskim różnemi alegoryami na tle złotém! Obok niego stanęła nowa „Opera,“ która pod względem estetycznym może nawet przewyższa paryzką również Nową operę.

I czegóż teraz Wiedeńczykowi brakowało? Nic, chyba ptasiego mléka!

Otóż właśnie w téj chwili, kiedy Wiedeńczyk słodko sobie wśród snów różowéj przyszłości swojéj zasypiał, zgromadziły się nad wieżą św. Szczepana groźne chmury.

A chmury te były tém boleśniejsze, że wyszły od strony, od któréj Wiedeńczyk wcale się nie spodziewał!

Dobroduszny i poczciwy Wiedeńczyk miał bowiem dziwne tradycyjne wyobrażenia. Rzeczy w polityce brał on poprostu tak, jak się je bierze w życiu towarzyskiém, to jest, że sąsiad może z sąsiadem żyć w przyjaźni aż do śmierci. Wierzył on przedewszystkiém w umowy piśmienne, wynurzenia serdeczne i przyjacielskie względy. Ponad to nic u niego nie było. Ani mu przez głowę nigdy nie przeszło, że interesa dwóch sąsiadów mogą z czasem tak się rozwinąć, że nieprzyjaźnie staną przeciw sobie!

A stało się to jakoś dziwnym sposobem, że interesa Prus poróżniły się z interesami Austryi. Wiedeńczyk do ostatniéj chwili nie wierzył, aby między „bracią“ przyszło na seryo do rozlewu krwi. I był nawet tak skrupulatny w przestrzeganiu tradycyjnéj, sąsiedzkiéj przyjaźni, że póty czekał w granicach swoich, póki zbrojny sąsiad sam do niego nie przyszedł.

Wtedy Wiedeńczyk rozsierdził się, że pruski brat jest tak lekkomyślny i gwałtem chce być pobitym! Chcąc niechcąc musiał także broń nabić i z dobrą fantazyą, jakby szedł na szaraka, wyruszył w pole, obiecując, że za dwa tygodnie będzie w Berlinie i tam rzeczy uporządkuje.

Kiedy dzieci stolicy, nieśmiertelny pułk „Hoch und Deutschmeister“, z miasta wychodziły, Wiedeńczycy traktując je piwem i kiełbaskami prosili na wszystko w świecie, aby pruskiego brata nie bardzo biły i więcéj moralnie na niego działały, gdyż on musi być bez zdrowych zmysłów, jeśli z tak groźną potęgą chce się mierzyć!...

Nieśmiertelny pułk przyrzekł umiarkowanie, obiecał pruskiemu bratu dać tylko małą nauczkę a potém wrócić i na długi czas świątynię Janusa zamknąć!

Przez kilka tygodni był Wiedeńczyk zupełnie spokojny, swobodnie wysypiał się pod pierzynką włożywszy na głowę tradycyjną szlafmycę; żadna zła myśl, żaden sen złowrogi nie turbował spokojnéj cyrkulacyi krwi jego: nawet życie

w ogródkach nie ucierpiało nic, a konsumcya piwa była normalna.

Wprawdzie czasami pytał jeden drugiego: dlaczego nieśmiertelny pułk jeszcze nie jest w Berlinie? ale na to odpowiadali pensyonowani wojskowi, że prosty śmiertelnik nie rozumie strategii ani taktyki; że jeżeli dotąd Berlina nie zajęto, to musi być w tém jakaś wyższa myśl strategiczna.

I znowu uspokojono się, i czekano cierpliwie zajęcia Berlina.

Tymczasem ponad stolicą zaczęły nocną porą przelatywać jakieś dziwne zmory. Wiedeńczyk miał sny niespokojne: śniły mu się dziwne, bardzo dziwne rzeczy, których w żaden sposób nie mógł pojąć!

Nareszcie pojawiły się wieści hiobowe: mówiono że tu i owdzie przegrano potyczkę. Z małych potyczek znalazły się większe... Wiedeńczyk jeszcze wierzył, że to tylko— strategia!

Ale pewnéj lipcowéj nocy nadszedł złowrogi posłaniec w płaszczu skrwawionym i podartym od kul nieprzyjacielskich i powiedział zdumionemu Wiedniowi że wielka bitwa przegrana!

Nie, to być nie może! pomyślał sobie Wiedeńczyk, to sen tylko, sen brzydki i złośliwy!

Wiedeńczyk tak mocno wierzył w swoją potęgę i w rozum tych „których drogo płacił,“ że wieści hiobowéj nie dał wiary. W ogródkach piwnych i kafenhauzach miał nawet tego za wroga a poprostu za płatnego szpiega nieprzyjacielskiego, który podobnym wieściom odważył się wierzyć!

Były to dni wielkiéj alteracyi, dni gorączki i niepokoju. Niepokojono się, ale nie dlatego, aby nieszczęsnemu posłańcowi uwierzono, ale dlatego, że nikt z ludzi ku temu przeznaczonych nie starał się owych fałszywych proroków co do jednego w kałauzie osadzić.

Wreszcie nieśmiertelny pułk „Hoch und Deutschmeister,“ pieszczone dzieci Wiednia, wrócił do miasta rodzinnego, ale wrócił w znacznéj części uśmiertelniony, a którzy jeszcze

przy życiu zostali, mieli głowy powiązane skrwawionemi szmatami i ręce na temblakach.

Wiedeń zapłakał nad nieśmiertelnemi dziećmi swemi, ale w zwycięztwo pruskiego brata pod Sadową jeszcze nie wierzył! Nie, on nie mógł uwierzyć, choćby mu sam prorok o tém mówił!

Niewiara ta czyni wielki zaszczyt Wiedeńczykowi. Podobny on był do kochanka, który w żaden sposób uwierzyć nie chciał, że mu kochanka umarła, chociaż już widział trumnę i grób wykopany....

Wiedeńczyk nie wierzył nawet wtedy, gdy już dwadzieścia tysięcy rannych miał w swoich murach, nie wierzył żeby ci ranni całą armię Benedeka reprezentowali! On jeszcze mniemał, że ta cała kolosalna armia lada dzień nieprzyjaciela na głowę pobije i chociaż późniéj nieco, Berlin zajmie!

Wreszcie celnicy przy rogatkach miasta powiedzieli mu, że nieprzyjaciel już— pod Wiedniem!

Wiedeńczyk jeszcze nie wierzył. Wyszedł na najwyższe piętra kamienic, wydrapał się na strych i ztamtąd przez perspektywę patrzał poza Dunaj, patrzał... i ocierał łzy!

Rzeczywiście... „*an der blauen, schönen Donau*“ były forpoczty nieprzyjaciela!...

W nocy, z okien swego mieszkania widział rozłożone ogniska czat pruskich!

Wtedy zapłakał rzewnie Wiedeńczyk i... uwierzył!

Ogródki piwne były puste, kafenhauzy miały pozór klasztoru Trapistów...

Wiedeńczyk siedział w domu, nie pił piwa, i płakał, rzewnie płakał!

Dźwięki Straussa umilkły, sala „beim Sperl,“ była pustą i wymarłą jak cmentarz!...

Wprawdzie Wiedeń przed kilkoma wiekami był już w podobném położeniu; ale wtedy inne były czasy. Pan Bóg i ludzie dobrzy oswobodzili miasto, a Wiedeńczyk z wielką radością słuchał w kościele św. Szczepana kazania zna-

komitego swego kaznodziei, który mówił na temat z ewangelii: „Był człowiek od Boga posłany, a imie jego było Jan!“..

Dzisiaj nie było takiego posłańca bożego, a zostawiony własnym siłom, musiał Wiedeńczyk uwierzyć, że jest zwyciężony i z dumą nieszczęśliwego ugiął czoło przed zwycięzcą!...

Ognie pruskich czat pogasły, nieprzyjaciel cofnął się wziąwszy kilkanaście wagonów złota i srebra w sztabach, bo Wiedeń nie miał brzęczącéj monety: ale Wiedeńczyk nie odzyskał już więcéj swojéj dawnéj swobody życia!

Posmutniał i spoważniał. Zaczął na seryo wglądać w sprawy publiczne i przemyśliwał nad tém, jakby to rany swoje zabliźnić i jako tako na nogi się postawić.

Przy „Schottenthor“ zbudowano już przedtem duży, bezkształtny gmach „prowizoryczny.“ W tym gmachu zbierały się podczas ciepłéj pory wysłańcy różnych krajów koronnych.

Wiedeńczyk zrazu z niedowierzaniem patrzał na tę letnią „budę przy Schottenthor“ jak ją sam dowcipnie nazywał. Po „Sadowie“ jednak miał dla téj „budy“ już miłościwsze oko, a nawet własnoręcznie poustawiał piece, aby posłom różnych krajów i narodów było ciepło i wygodnie.

Zrazu opierał on się energicznie przeciw takiemu systematowi rządzenia monarchią. Wiedeńczyk bowiem chciał jak dotąd, rządzić całą monarchią. Teraz w nieszczęściu swojém, zrzekł się dawnych swoich prerogatyw i starał się jak na dobrego gospodarza przystoi, aby posłowie krajów i narodów nie nudzili się w murach jego wspaniałych.

Oni to, radzili teraz przy „Schottenthor“ nad losami monarchii, a Wiedeńczyk nader pilnie przysłuchiwał się ich mowom sążnistym i według humoru swego dawał im z galeryi grzmiące brawa, albo nielitościwie smagał karykaturą w ulubioném piśmie swojém: *Kikiriki!*

I powoli jakoś znalazł sobie Wiedeńczyk nowe rozrywki życia. Jakkolwiek dawna swoboda i życie bez troski już bezpowrotnie przeminęły, jakkolwiek Lannera już nie było,

a Straussowie chociaż licznie się rozrodzili, jednak już jak dawniéj oczarować go nie mogli: Wiedeńczyk bawił się teraz trochę polityką, a trochę tém, co polityka za sobą przynosi.

Monarchia zmieniała teraz bardzo często ministrów. Zdawało się, że owładnął ją szał demokratyczny, w skutek którego postanowiła pewny rodzaj metampsychozy, to jest, aby każdy mieszkaniec raz w życiu był ministrem.

To téż co tygodnia miał Wiedeń nowych ministrów. Przedstawiali oni niejako lekarzy, którzy do chorego nieustannie zwoływani byli. Chory niecierpliwił się, i jednego lekarza po drugim odpędzał, jeśli mu natychmiast wraz z receptą zdrowia w kieszeni nie przyniósł.

Wiedeńczyk co tydzień bawił się układaniem nowéj listy ministrów, w czém zdawał się mieć rozkosz niewypowiedzianą. Była to rzeczywista rozkosz. Zazwyczaj mianuje korona ministrów. Wiedeńczyk podzielił się z koroną tym rozkosznym przywilejem i codziennie przy kufelku piwa mianował nowych ministrów, którzy skołatanéj monarchii mieli przywrócić zdrowie i dawną potęgę. A zabawie téj oddawał się z tém większą rozkoszą, bo miał przytem nadzieję, że przy szybszéj rotacyi może przyjść kolej i na niego, który także czyta gazety i chodzi na „Schottenthor!“

Nadzieja ta nie była żadną extrawagancyą. Wiedeńczyk rozumował sobie: Jeżeli naprzykład pierwszy lepszy burmistrz niepoczestnego miasteczka ministrem zostać może, dla czegóż nie mógłby nim być mieszkaniec stolicy, który przecież już z natury swojej jest czémś więcéj?...

Ztąd téż poszło, że każdy z ministrów chcąc się nieco dłużéj przy tak powszechnéj niecierpliwości Wiedeńczyka przy swojéj tece utrzymać, musiał dla niego coś nowego wymyślić, aby go czémś zatrudnić lub przynajmniej okazać mu namacalną korzyść swego systematu.

Jedni naprzykład obiecali Wiedeńczykowi „śluby cywilne.“ Był to stratagemat nie lada. Wiedeńczyk jest z natury kochliwy, a kobiety nadzwyczaj sentymentalne. Uprzą-

tnąć więc im ciernie z drogi, które im do mety szczęścia zawadzały, było bardzo głębokim pomysłem.

Wiedeńczyk bawił się niejaki czas tą nową myślą. Wkrótce jednak spostrzegł, że ta myśl nie bardzo sprzyja jego usposobieniu; przeciwnie zagraża mu nawet: Wiedeńczyk bowiem chciał się tylko kochać ale nie żenić. Dotąd zwalał wszystko na trudności ślubu, osobliwie między różnowiercami; dzisiaj przy pierwszym uścisku rączki już może go pytać oswobodzona od ślubów kościelnych czarnobrewa *Betty:*

— *Willst du mich heirathen?...* Chcesz się ze mną ożenić?

Stratagemat ten zrobił fiasco. Wiedeńczyk żądał od ministrów czegoś innego.

Wymyślono dla nich „*Schuetzenfest,*“ jako słabą kopię tego, co dawniéj przed kilku laty w Dreznie „Sängerfest“ nazwano. Ale tamto jak to przeminęło bez szczególnych alteracyi Wiedeńczyka, który wołał teraz na całe gardło: „*So kann's nicht bleiben!*“ Tak daléj być nie może! Coś innego! Coś nowego!

Obiecano Wiedniowi powszechną wystawę przemysłową, po któréj może się stać tak sławnym jak Paryż.

Wiedeńczyk jednak nie chciał gruszek na wierzbie i wołał ciągle: *Was anderes!*

Po wielu walkach i naradach uchwalono ostatecznie, że monarchia potrzebuje do normalnego swegó zdrowia dwóch rzeczy przedewszystkiém: banków i kolei żelaznych!

Był to środek wyborny do zatkania gardła niejednemu krzykaczowi. Niejeden bowiem dziennikarz, który dotąd zbyt ostrém piórem tego lub owego niepokoił, zamknąwszy do biurka swego kilkanaście akcyj tego lub owego przedsiębierstwa, stawał się łagodny jak baranek!

Również i przy „Schottenthor“ działało to wybornie. Niejeden frazeolog z nad Dunaju, z nad Elby albo nawet i z nad spokojnej Wisły, gdy mu w perspektywie jaką koncessyjkę pokazano, umilkł nagle jakby wzrosł lub wychował

się w zakonie Trapistów! A jeśli mówił, to pewnie nie mówił tak, jakby mówił bez tych litografowanych arkuszy w kieszeni, od których co pół roku odcinają się podłużne kartki wypłacalne w różnych kantorach...

Wiedeńczyk teraz uspokoił się nieco pod pewnym względem. Przestał nawoływać na ministrów, że są niezdolni do niczego, przestał fabrykować nowe listy po ogródkach piwnych; przeciwnie wziął ich w obronę przeciw odzywającéj się tu i owdzie opozycyi i chwalił pod niebiosy ich talenty organizacyjne: z tych talentów bowiem obiecywał sobie zysk niemały.

I powstało naraz kilkadziesiąt różnych banków, kilkadziesiąt nowych koncessyj na koleje żelazne wydano w bardzo krótkim przeciągu czasu.

Jakkolwiek ekonomicy utrzymują, że instytucye banków są koroną rozwiniętego przemysłu, Wiedeńczyk jednak wierzył inaczéj: wierzył on, że banki obudzą dopiéro przemysł i teraz dopiéro będzie w monarchii tak dobrze, jak jeszcze nigdy nie bywało!

I powstała prawdziwa choroba i gorączka banków. Co inne państwa w ciągu wieku zdziałały, chciano tutaj w jednym miesiącu stworzyć, chciano nie tylko im dorównać, ale ich wyprzedzić!

I co tygodnia prawie jak grzyby z pod ziemi wyłaziły nowe banki, nowe stowarzyszenia, nowe konsorcya, którym nic nie brakowało, jak tylko— kapitałów!

Wołano więc o te kapitały różnemi językami, wysyłano ajentów do krajów koronnych, tworzono w najodleglejszych punktach monarchii kosztowne „filie,“ aby tylko ściągnąć jak najwięcéj pieniędzy.

Ze stolicy rozeszła się gorączka banków i konsorcyów dla kolei żelaznych do krajów koronnych. Nadzieja szybkiego zbogacenia ogarnęła wszystkich. Szlachcic polski sprzedawał wieś i z kapitałem w pugilaresie pędził do Wiednia, aby tam przystawić się do wielkiego stołu gry bankier-

skiéj, lub solicytował w przedpokojach ministrów o koncessyjkę dla téj lub owéj kolei.

„Prowizoryczny“ dom przy „Schottenthor“ odgrywał tutaj znaczną rolę. Posłowie krajów koronnych mieli codzienną styczność z ministrami. Użyto tych stosunków w celach przedsiębierczych. Zapraszano ich na wspólników, dawano im znaczną dywidendę w zysku i exploatowano ich stanowisko.

Ministrowie lubili te drogi, bo tym sposobem pozbywali się uciążliwéj opozycyi chciwych zysków trybunów. Niektórzy z nich byli nawet tak niewybredni, że po pierwszéj swojéj opozycyjnéj mowie, wygłoszonéj z emfazą katońską, brali w entrepryzę dostarczanie naprzykład butów dla armii, lub rzemieni do tornister, chociaż nigdy w życiu nie widzieli jak się skóra garbuje, lub jak się komu buty szyją!...

Rozumie się, że nieubłagany Katon stanął się wtedy łagodny jak baranek i milczący jak ryba; a jeśli kiedy przemówił, to tylko na to, aby walczyć przeciw tym, z pomiędzy których wyszedł.

Najulubieńszym jednak ideałem dla takich ludzi był tylko tytuł: *Verwaltungsrath*, co na polskie znaczy: członek rady zarządzającéj.

Stowarzyszenia przemysłowe rozdawały takie tytuły, do których nie łączyły się żadne obowiązki, tylko bardzo znaczne roczne pensye, przewyższające nieraz pensye ministrów.

Czasami spadały te tytuły i pensye na kogoś jakby meteory z nieba. Trudno było wiedzieć, kto to zarządził, i przyjmowano je pokornie jako „zrządzenie Boga.“ Rozumie się, że taki wypadek działał nader skutecznie na usposobienie wybrańca i przerzucał go nagle z lewicy na prawicę. Stawał się konserwatystą i lękał się w takim razie knowań socyalistów...

To też Wiedeńczyk uważał bardzo słusznie „prowizoryczny“ dom przy „Schottenthor“ za ową szczęśliwą krainę, do któréj różni Jazonowie z krajów koronnych zjeżdżali się po złote runo....

Wiedeńczyk nie gniewał się za rozdawanie tego złotego runa, ale przy każdém wyciągał rękę po należący mu się procent. I był to procent dobry, a tak byli wszyscy kontenci, był wilk syty i owca cała. Pod tym względem nastąpiło zupełne porozumienie.

Banki i stowarzyszenia przemysłowe rzuciły na giełdę bardzo wiele papierów.

Wiedeńczyk, który dotąd w ogródkach i w szyneczku tylko w domino grywał, dowiedział się teraz, że można grać na giełdzie i w krótkim czasie zostać milionerem!

Z jakim zapałem dawniéj Wiedeńczyk u „Sperla“ walca tańczył, lub w Schönbrunie z małpami i niedźwiedziami się bawił, z takim zapałem rzucił się teraz do gry giełdowej!

Grał przyjaciel ministra, grał bankier, grał szewc i krawiec, grał stróż i roznosiciel dzienników. Wszystko co żyło grało na zwyżkę i zniżkę, wszystko czytało tylko kursa.

Zdawało się, jakoby Wiedeńczyk wpadł we furyę i za przegranę pod Sadową chciał się na giełdzie odegrać!..

I nastały w spokojnym, sielankowym Wiedniu gorączkowe czasy Lawa...

W godzinach przerzucano milionami, jakby to tylko plewa była!...

Jedni ubożeli, inni wzbogacali się nagle. Z krajów koronnych nadciągnął legion z różnych narodowości złożony, aby tu sytuacyę korzystnie dla siebie wyzyskać.

I z tém wszystkiém Wiedeńczyk odzyskał znowu dawny swój humor. Tylko już nie tak wiele tańczył walca, nie był tak poetycznie sentymentalnym, ale żył kosztowniéj niżeli dawniéj. Przemyśliwał tylko nad tém, jakby to nową mysl urodzić i jakąś spółkę kapitałów wymyślić!

Kobiety nawet, celujące dawniéj sielankową prostotą zaczęły brać wzór z bulwarów paryzkich i ubierać się jak zgrabne, kokietujące paryżanki. Żywioł słowiański i węgierski zasilił znacznie ich szeregi, jak to można było poznać po małych nóżkach i ładnych równych ząbkach...

A nawet sam xiąże Napoleon, który po katastrofie Sadowskiéj przyjechał do Wiednia aby się naocznie przekonać, czy Wiedeń jeszcze żyje; wyraził się o nim nader korzystnie, jak to w „prowizorycznym domu“ przy „Schottenthor“ jeden z wielkich parlamentarnych mówców publicznie stwierdził. Według niego, uderzyło xięcia Napoleona ruchliwe życie stolicy, wielka liczba dorożek, czystość chodników, co razem wziąwszy miało być dowodem niezbitym, że Wiedeń żyje, że klęska pod Sadową jeszcze go nie zmorzyła!

Taką była stolica naddunajska, gdy nasza powieść do jéj murów wchodzi.

II.

Bracia.

Był to już późny wieczór. Sklepy bławatne i galanteryjne były już pozamykane; tylko handle korzenne stały otworem i zapraszały przechodnia rzęsistém oświetleniem.

Ruch na ulicy jeszcze wcale się nie zmniejszył. Dorożki turkotały po bruku, chłopcy nawoływali na siebie lub gwizdali najnowsze melodye z operetki Offenbacha, oszklone karety rozwoziły dostojnych gości, jednych do teatru, innych na wieczorki familijne...

Wieża św. Szczepana zaczęła dopiéro od szczytu niknąć w mgłach wieczornych...

Po jednéj z pryncypalnych ulic toczyła się szybko dorożka. Jadący w niéj spoglądał często na zegarek i pochylał się naprzód, aby woźnicę do prędszego jechania zachęcać.

Woźnica podciął konie i z głównéj ulicy skręcił nagle w małą poprzecznicę, gdzie się zatrzymał przy pierwszéj prawie narożnéj kamienicy.

Jadący przeczytał na kamienicy napis wielkiemi literami: „*Wechselstube*,“ popatrzył jeszcze raz na numer kamienicy, potém wyskoczył z dorożki i zapukał do zamkniętych drzwi.

Przez szpary drzwi widać było światło, ale z wewnątrz nikt mu nie odpowiedział.

Nieznajomy zapukał jeszcze kilka razy, ale i tym razem nikt mu nie odpowiedział.

Zatrzymał się przed kantorem czas niejaki, jakby się namyślał. Spojrzał do góry, jakby na gwiazdy nieba, które w téj chwili drgały srebrnym połyskiem,... potém odpiął piersi, jakby mu powietrza brakowało... wyjął z kieszeni rewolwer i jeszcze raz podniósł głowę do nieba...

Właśnie w téj chwili przechodził koło niego chłopiec szewski, który gwizdał aryę z Pięknéj Heleny: „*Ich bin Menelaus, König von Kreta.*"

Chłopiec stanął przed nieznajomym, ale nie przerwał sobie aryi...

Tak stał i gwizdał jakby czekał, co to z tego będzie?

Ozwał się strzał... nieznajomy padł na twarz, krew spływała do rynsztoka...

Chłopiec szewski zaprzestał na chwilę gwizdania.

Hätt' nit geglaubt, dass das Ernst sein soll! zawołał dyalektem wiedeńskim i poszedł daléj zaczynając z początku melodyę: *Ich bin Menelaus der Gute...*

Za kilka chwil zbiegło się trochę ludzi. Stójkowy policyant zatrzymał pierwszą lepszą dorożkę, włożył w nią trupa nieznajomego, a za chwilę nie było przed kantorem już nikogo, prócz kałuży krwi, która powoli rozlewała się rynsztokiem coraz daléj...

Kilka minut mówiono o tym wypadku. Jedni utrzymywali, że ktoś się zastrzelił, inni twierdzili że to tylko był napad wielkiéj choroby, a w dziesięć minut tak się wieści o tym wypadku pomąciły, że niektórzy byli tego zdania, że na ulicy poprostu zaszła jakaś bitwa.

Nowa fala przechodniów zmiotła tych, którzy tam stali i porwała z sobą, a ci co teraz nastąpili, już nie wiedzieli o niczém. Świadkowie téj sceny tragicznéj już poszli z falą i zaginął wszelki słuch o tém, co się stało pod żelaznemi drzwiami kantoru.

I jakby nic na świecie się nie stało, szli ludzie tą ulicą tłumnie i spiesznie: jedni rozmawiali i śmiali się głośno, inni nucili lub gwizdali sobie wesołe śpiewki, podczas gdy ich podeszwy maczały się w krwi zakrzepłéj, która przed chwilą poruszała sercem żyjącego człowieka i nasuwała mu myśli samobójcze...

Wszystko poszło w niepamięć! Nowa fala życia zatarła do szczętu co dawna zostawiła po sobie, a i ta sunęła się w przeczuciu śmierci, że nowa znowu ją zmaże...

To zwyczajny obraz życia stołecznego!

Być może, że właśnie w téj chwili przeszli tamtędy kochankowie dłoń w dłoni, oko w oko; być może że mówili między sobą o błogiem szczęściu swojém, podczas, gdy ich nogi znaczyły na granitowym chodniku krwawém pismem nagrobek dla nieznajomego?...

I któż z nich wié, poco ten nieznajomy patrzał przed chwilą na niebo gwiazdziste? Czy tam miał kogo, kto ztamtąd w téj chwili patrzał na niego?... Po cóż on pierś swoją obnażył? Czy mu było duszno w tym wielkim świecie? Czy nie miał powietrza dla ochłodzenia serca? Czy łaknął chłodu grobowego, aby tam spocząć i zasnąć snem bez marzeń i pragnień?... A gdy już teraz dostąpił tego, czego pragnął, czyż żadne oko nie zapłacze nad nim? Czyż nikt nie spyta się o niego, gdy późną nocą nie przyjdzie do domu?...

W kantorze, przed drzwiami którego stał się ten wypadek, nic nie wiedziano. Gwar stolicy, turkot fiakrów i powozów, głośny śmiech i śpiewy przechodniów, zrzucanie przy sąsiednim handlu olbrzymich pak, które właśnie z dworca kolei nadeszły, wszystko to nie dozwoliło znajdującym się w kantorze ludziom słyszeć owego strzału tuż koło drzwi i okien kantoru.

Był to zwykły kantor wexlarski. Izba duża, sklepiona, z wilgocią na ścianach, miała pozór podziemnego więzienia. Była przegrodzona w środku żelazną balustradą na dwie połowy. Przed balustradą stał duży, marmurowy stół, a daléj przy ścianie były dwie olbrzymie żelazne kasy Wertheima.

Ruchomy gazowy świecznik spuszczał się ponad stolikiem marmurowym i oświecał w sposób Rembrandta dwie siedzące przy nim postacie.

Byli to ludzie wiekowi. Jeden z nich był łysy, z dużym wyskakującym naprzód nosem. Tusza niepospolita wykrzywiła w dziwny sposób całą jego postać. Nie była to tusza człowieka normalnie tyjącego; miał on bowiem nadzwyczaj cienkie ręce i nogi, za to brzuch kolosalny i jedną stronę szyi oblepioną sadłem. Druga strona była chuda. Ta nieproporcya tuszy zrobiła z niego dziwną karykaturę. Zdaje się, że nawet zwyczajne kształty ludzkiéj postaci były tam zatracone, a z człowieka zrobił się jakiś niemiły potwór!

Czy to był kaleka z urodzenia? Nie! Współcześni pamiętają, że był człowiekiem zwyczajnym, że chodził prosto i miał nawet powodzenie u niemek sentymentalnych. Póżniéj coś się z nim stało, że skoszlawiał, utył nieproporcyonalnie i na szyi dostał wolę.

Była to istna karykatura człowieka. Natura upodobała sobie tylko niektóre części jego ciała, i tam składała zasoby tłuszczu, podczas gdy z innemi postąpiła sobie po macoszemu. Nawet na twarzy uwydatnił się jéj dziwny kaprys: jeden policzek był chudy, drugi tłusty i obrzękły.

Lekarz domowy przypisywał to dziwne zjawisko częściowemu sparaliżowaniu ciała; inny zaś, biorąc więcéj rzecz psychologicznie, był tego zdania: że w duchowym ustroju tego człowieka nastąpił pewien rozstrój, którego naturalnym skutkiem był nieporządek w organizmie.

Ostatnie zdanie było może prawdziwe. Od kilkunastu lat bowiem przestał ten człowiek potworny żyć zwykłém życiem człowieka. Odeszły go wszelkie złe i dobre namiętności ludzkie, a pozostał tylko... wexlarz. Przestał czuć i myśléć i tylko... rachował.

Dwadzieścia lat takiego życia, musiało odbić się na jego zewnętrznéj postaci. Cały organizm jego stracił przyrodzoną równowagę i popsuł naturalną machinę.

To też pokłady tłuszczu i sadła, odbywały się u niego w sposób nienormalny. Defekta duchowe sprowadziły nieporządek w ciele, które jak drzewo przez robaka wewnątrz roztoczone, przybrało kształty karłowate i pokręcone.

Ponieważ przez lat dwadzieścia całą machinę życia tylko do rachunku nastrajał, to ciało jego przybrało wyraźne kształty jakiéjś cyfry arabskiéj, pokrzywionéj i połamanej.

Drugi jego towarzysz stanowił żywy kontrast. Był wysoki i chudy jak Don-Kiszot. Zdaje się że na kościach nic nie miał mięsa, tylko żółtą pargaminową skórę. Nos długi, kończasty, brwi w gotyckim łamanym łuku do góry podniesione, twarz przeciągniętą, usta wązkie, zacięte, miały w sobie coś odrażającego; oczy duże, wypukłe, obracały się niespokojnie, jak dwie czaty, na straconém stanowisku postawione.

Widok tego drugiego człowieka sprawiał wrażenie, jakby zawsze był głodny i spragniony. Wydatny węzeł krtani suwał się ustawicznie pod skórą to na dół, to do góry, jakby coś połykał, a żuchwy ruszały się jakby żuł ustawicznie.

A co było najdziwniejszém, że to byli... bracia rodzeni!

Ruchomy świécznik gazowy oświecał z góry ich twarze, pochylone nad wielką księgą.

— Dzisiejszy dzień był niezły, Jonathan! — rzekł chudy i połknął coś.

— Wcale tego nie widzę, Jonas! — odpowiedział półtłusty i podniósł do góry swoje krzywe usta.

Zdaje się, że był to przegląd połowu dnia dzisiejszego.

— Jakto nie widzisz? — oponował Jonas przewracając karty — przecież jest pół miliona! Obróciło się pół milionem! Liczba to nie szpetna!... Nasz ojciec ani wyobrażenia nie miał o takiéj liczbie, gdy skupywał stare szpargały do zawijania pieprzu!

— Pół miliona! — z lekceważeniem odparł Jonathan. Cóż to pół miliona! Gdyby te pół miliona były w naszéj kassie,

albo przynajmniéj w téj księdze pod rubryką: *Haben*. A to tylko przeszło dzisiaj przez nasze ręce! Wzięła je giełda, a nam dostał się tylko lichy procent!

— Choćby najlichszy procent, ale od... pół miliona! A dyferencyj przecież nie wypłaciliśmy tak wielkich jak zapisano! Była wielka fluktuacya, co pięć minut zmieniały się kursa, wiadomości z Paryża balansowały nieustannie!...

— I wieleż konsumentów składało się na ten pół-milionik?

Rzuciwszy to zapytanie, pochylił Jonathan świecącą łysinę nad księgą i zaczął czytać.

— Tam do kata!... Same mizeraki. Nie ma ani jednéj grubéj ryby!... Po tysiąc, po pięćset, po sto nawet guldenów!... Nie lubię takiego interesu. Gdy jeden wielki zwierz coś przegra, to wiem, że skończy się na jednéj utarczce. A tak, trzeba się ucierać z tysiącem biédnych charłaków, którzy przychodzą i płaczą, że cały swój dobytek stracili!

— Takich płaczów zazwyczaj się nie słucha!... Racyonalnie rzecz biorąc, czyż my temu winni? My tylko pośredniczymy temu kto chce, a jak koło fortuny się obraca, to nie do nas!

— Jesteś mądry Jonas, ale widzisz, świat jest głupi! Jeżeli ktoś nie patrzy pod nogi i potknie się, to nie gniewa się na siebie, ale mści się na kamieniu, który leżał na drodze!

— Najpocieszniejszy był stróż z kamienicy „pod zięba”. Przychodzi tutaj i powiada, że przez lat pięćdziesiąt zbierał po groszu za odmykanie bramy i złożył z tych groszy parę tysięcy, które dzisiaj na dyferencyi przegrał w przeciągu pół godziny!

— A któż mu poradził grać na dyferencyą bez kuwrowania?

— Kto?... Ja mu poradziłem! Przecież i z tego kapnął nam jakiś procencik!

— A cóż to za wdowa takiego krzyku narobiła?

— To była scena bardzo śmieszna. Przyprowadziła ośmioro dzieci i przysięgała, że ich z kantoru nie weźmie, tylko nam zostawi, aby je żywić i chować!

— Głupia kobiéta! Czy dałeś jéj co?

— Dałem coś policyantowi, aby ją wyprowadził!...

Nastąpiła pauza. Dwie głowy pochyliły się znowu nad księgą. Obaj czytali daléj wpisane cyfry. Przy każdéj liczbie drgała konwulsyjnie tłusta połowa twarzy Jonathana, podczas gdy węzeł krtani Jonasa, wsuwał się i wysuwał.

Śród głębokiego milczenia, które teraz panowało w kantorze, zapukał ktoś lekko do drzwi od sieni, w sposób jakby umówiony. Jonas poskoczył szybko i odsunął gruby rygiel.

Do kantoru wszedł młody człowiek z kołnierzem do góry podniesionym.

— Jest telegram?—zapytali obaj bracia naraz i dzikim wzrokiem rzucili na papier.

— Jest — odparł nieznajomy i złożył na stole małą kartkę.

— Czy excellencya wrócił już od pani baronowéj?— zapytał Jonathan.

— Jeszcze nie, ale może wrócić każdéj chwili!—odparł nieznajomy i wyszedł.

Obaj bracia zatopili się teraz w przyniesionéj kartce.

— Jutro będzie *haussa!*—ozwał się Jonathan, a tłusta twarz jego zadrgała.

— To nie dobrze!—odparł Jonas połykając ustawicznie, —dzisiaj coś sprzedałem!

— Trzeba błąd naprawić!... Zapisać na dzisiaj tę summę pułkownika...

— Masz słuszność! Tak będzie dobrze!... Możliwa strata pokryje się!

Chudy Jonas wziął teraz pióro do ręki i ostrożnie zaczął w księdze pisać...

Stary pułkownik właśnie w téj chwili przegrał u *Dauna* partyę w domino...

Po długiéj pauzie milczenia, po należytém wycieniowaniu liczb i notatek, ozwał się Jonas:

— Myślałem znowu dzisiaj, ale jakoś nic mi do głowy przyjść nie może!

— Trzeba koniecznie coś wymyśléć! Ty masz czasem genialne pomysły—odpowiedział Jonathan.

— Cóż, kiedy w pomysłach moich wszyscy mnie wyprzedzają!

— To myśl o dzień pierwéj!

— Tobie żarty w głowie! A ja ci powiadam, że trzeba koniecznie coś zrobić. Meklerstwo dzisiaj tak wiele nie przynosi, jak przynoszą różne spółki, konsorcya, banki i koleje! Ludzie w jednym dniu stają się milionerami, a my musimy lichym procentem grosz do grosza zbierać!...

— Wymyśl jaką spółkę, jakie przedsiębierstwo... rozpiszemy akcye... nałapiemy rybek!

— Ba, widzisz Jonathan, tu nie chodzi o rzecz, taby się znalazła, ale chodzi o formę! Gdybyśmy wydrukowali odezwę do konsumentów akcyj i odezwę tę podpisali: *Jonas et Jonathan Schmilles* toby i pies tego nie czytał, a tém mniéj po akcye przychodził.

— Jakto? *Jonas et Jonathan Schmilles*, czyżto nie jest ładna firma?—zapytał z dumą Jonathan.

— Jest to firma budy wexlarskiéj przy ciasnéj uliczce z *Karnthner strasse*, na *Graben*, firma stara i stateczna, ale świat jest tak głupi, że potrzebuje blichtru!

— Naprzykład... książe Lichtenbaum von Turneis! którą firmę stary szachraj Bismuth za trzy tysiące guldenów kupił i swemu lichwiarskiemu bankowi na czoło położył!

— Tak się rybki łapią!... Można łapać i na plewy, jeśli te mają pozór ziarna!

— Ba, ależ gdzie znaleźć takiego człowieka?... Królestwo za jednego księcia!

— Mógłby być i hrabia, byle tylko znane głośne nazwisko!

— Miałem barona, ale ten właśnie dzisiaj zgrał się na giełdzie i prawdopodobnie czmychnął z Wiednia, nie zapłaciwszy długów w hotelu!

Bracia Schmilles rozmawiali jeszcze długi czas między sobą o różnych projektach pomnożenia fortuny, podczas gdy pod oknami kantoru cichnął coraz więcéj gwar uliczny i coraz rzadziej odzywały się koła fiakrów i powozów.

A przechodzący zacierali tymczasem ostatki krwi rozlanéj na granitowym chodniku przez nieznajomego samobójcę.

III.

Ostatni z domu.

Naprzeciw drzwi kantoru był sklep piekarza. Gdy bracia Schmilles z kantoru wyszli i stróża po fiakra na główną ulicę wysłali, zatrzymali się chwilę na chodniku.

Obok nich zatrzymał się w téj chwili dosyć słusznego wzrostu mężczyzna. Zdawało się jakby zkąd dopiéro przyjechał, bo w ręku trzymał węzełek, starannie grubym szalem owinięty.

Mężczyzna mógł mieć około lat trzydziestu. Ubiór na nim był dosyć staranny, widać najświéższéj mody, ale w podróży nieco styrany. Kapelusz wysoki, z olbrzymiemi krysami, koloru perłowego, nosił także znamiona różnych przygód. Cała jednak postawa nieznajomego, okazywała człowieka do wyższych sfer należącego. Ruchy jego były swobodne, szerokie angielskie bakenbardy trzymały się twarzy z fantazyą.

Mężczyzna ten stał naprzeciw sklepu piekarza i patrzał do jego wnętrza. Bracia Schmilles zwrócili na niego uwagę i właśnie Jonathan chciał do Jonasa coś powiedzieć, gdy fiakr nadjechał. Stróż otworzył drzwiczki: obaj bracia wsiedli.

— Nie wiem dlaczego—rzekł Jonathan półgłosem— ale czekając na chodniku, miałem jakieś dziwnie nieprzyjemne uczucie! Czy ty Jonas nie doznałeś tego?

— Zapewne ten stojący człowiek sprawił na tobie to wrażenie!—odparł Jonas i zwrócił się do stróża; Johan! trzeba będzie dzisiaj uważać na kantor, bo kręcą się jacyś ludzie!...

Stróż przyrzekł czujność, fiakier zaciął konie, a dorożka zniknęła na zakręcie.

Mężczyzna, o którym bracia Schmilles mówili, stał jeszcze i ciągle patrzał do sklepu piekarza. Zdaje się, jakby mu coś niewygodnie było stać na chodniku, bo spojrzał pod nogi i usunął się. Stał właśnie na miejscu, gdzie przed chwilą była jeszcze kałuża krwi...

Za chwilę, kiedy właśnie na ulicy nikogo nie było, wpadł szybko do piekarza i za kilka groszy kupił mały bocheneczek chleba. Wychodząc ze sklepu, obejrzał się znowu, czy go kto nie widzi. Szybko przebiegł na drugą stronę, aby jak najprędzéj od piekarza się oddalić i puścił się potém prosto z dobrą miną i fantazyą, jakby wychodził z najpierwszéj restauracyi stolicy.

Szedł dosyć długo, z jednéj ulicy w drugą. Koło niego przechodziły resztki dążących do domów mieszkańców, a każdy spieszył się, aby jeszcze przed zamknięciem bramy zdążyć. Fiakry wlokły się powoli na nocną leżę; konie ze spuszczonemi łbami szły noga za nogą, marząc o żłobie i sianie...

Podróżny mężczyzna szedł daléj i daléj...

Wreszcie zatrzymał się przed żelazną, misternie wyrobioną bramą. Za bramą widać było drzewa, gazony i szeroko wykrojone drogi do przechadzek. Daléj w głębi majaczył w nocnéj mgle wysoki wspaniały gmach, z jakiemiś herbami po bokach przy dachu.

Podróżny obejrzał się wkoło. Nie było prawie nikogo. Zbliżył się do bramy, tuż przy bramie była czarna tablica

z napisem, że ten publiczny ogród przeznaczony jest dla publiczności.

Był to nowozałożony tak zwany „Park miejski".

Podróżny trącił lekko żelazną bramą; brama otworzyła się na roścież: uśmiechnął się zadowolony i wszedł do parku.

Księżyc świecił dosyć jasno na niebie. Podróżny obejrzał się wkoło.

Park był nie wielki, ale bardzo gustownie urządzony. Kilka grup drzew i krzaków urozmaicało widok bardzo poetycznie, a z pomiędzy nich bieliły się do księżyca ławki do wypoczynku.

Podróżny zwrócił się ku jednéj z tych grup i wybrał sobie ławkę ocienioną gęstém drzewem, z po za którego właśnie wytaczał się po niebie srebrny księżyc.

Na téj ławce usiadł, położył węzełek koło siebie i zadumał się

Dumał tak chwilę. Potém jakby się ocknął, potarł ręką po czole i wyjął z kieszeni bocheneczek chleba. Rozłamał go i zaczął jeść. A księżyc coraz grubszym cieniem otaczał biédnego podróżnego... Za kilka minut nie było już chleba. Ostatnie okruszyny, pozbierane skrzętnie na ławce wpadły do gęby i znikły. Wkoło była cisza, tylko z głębi miasta dolatywał głuchy gwar toczących się po kamieniach dorożek. Tylko z poza konarów drzew, widać było wieżę św. Szczepana, jak słup wody pnący się ku niebu...

Zdaje się że podróżny postanowił tutaj noc przepędzić. Cóż go do tego skłaniało? Czy był lubownikiem pięknéj natury i nocnych widoków *á la Matthison?* Czy był artystą, który studyuje dwa światła: księżyca i latarni gazowéj? Czy wreszcie z potrzeby obrał sobie ten chłodny nocleg?

Podróżny jak się zdaje, przygotowywał się tutaj do snu. Węzełek przywiązał rzemykiem do ręki, a sam usiadł sobie wygodnie, opierając plecy o poręcz ławki.

Niejaki czas patrzał przed siebie zamyślony, potém zamknęły mu się powieki i głowa nachyliła się ku ziemi.

Czyje oko w świat duchów wejrzéć zdolne, ten widziałby w téj chwili, jak głowę podróżnego otaczały rożne jasne i ciemne obrazy, z których jedne malowały mu jego przeszłość, a inne jako ulotne marzenia należały do przyszłości!.. Widziałby jak te obrazy z eteru i mgły, powoli wsiąkają w czoło i w skronie aby tam, rozkosznemi snami, bawić biédnego podróżnego, który tutaj o kawałku chleba suchego usiadł, aby pod gołém niebem przesiedziéć noc całą, czekając na promienie słoneczne.

Najprzód tuż przed nim uszykował się zwolna obraz małego, wpół-zapadłego miasta. Domki nieregularne stanęły długim szeregiem, jedne wychodząc na przód, drugie cofając się. Dachy ich były malowniczo pokrzywione i upstrzone. Na tych dachach sterczały napół rozwalone kominy, obite ze wszystkich stron słotą i szarugą. Na niektórych z nich rosły małe krzewy zielska, które wiatr tam zaniósł, i całemu widokowi miasta nadawały pozór ruin z odległych wieków...

Na ten widok wyjaśniła się twarz podróżnego. Wszak to rodzinne miasto jego!... Wszak to są te same kominy, o których niegdyś mówił mu stary bakałarz że są podobne do ideałów ludzkich, które zawsze za zbliżeniem się uciekają!.. Czyż to życie nic innego nie ma dla człowieka, jak tylko takie ideały, które nikną nam z przed oczu, gdy po nie ręką sięgamy?...

Twarz podróżnego oblekła się rzewnym smutkiem. Zapewne ideały jego życia tak samo uciekały przed nim jak te kominy na dachach uciekają i nikną, gdy ongi, będąc małym chłopcem chciał się do nich zbliżyć, i z bliska je obejrzéć!...

Po tym obrazie nastąpił inny. Jeden z tych domów, które szeregiem stały przed nim, otworzył ściany swoje i okazał mu, co tam wewnątrz było.

Było tam dwoje starych ludzi: on pracował przy warsztacie, ona zatrudniała się szyciem. Sprzęty były ubogie, ale schludne. Na ścianach wisiały obrazy świętych. Najprzód z bokiem przebitym był Chrystus Milatyński. Obraz

ten miał przed sobą lampkę okopconą, a małe światełko odbijało się tęczowemi barwami przez szkło kolorowe... Obok tego obrazu była Matka Boska Bolesna; przed Nią wisiała także lampka. Dalej całym szeregiem uszykowali się święci Pańscy, a pod nimi był długi rząd zegarków z rozmaitemi twarzami...

To jego dom rodzinny!... To ojciec i matka!... To wspomnienia pierwszéj młodości...

Jakaś mała dziewczynka z piwnemi oczyma opierała się o jego ramie, i patrzyła na niego temi piwnemi oczętami jak kochająca siostra...

Rzewność rozlała się po twarzy podróżnego, a nawet coś błyszczącego jakby łza uwisła u rzęsy...

Szybko nastąpiły inne obrazy. Jasnowłosy młodzieniec patrzy śmiało w świat i szuka w nim dróg dla siebie... A drogi te rozwijają się przed nim i zwijają jak wstęgi różnobarwne, jedne piękniejsze od drugich!... Widać tam same róże i bratki, lilije i fiołki, a wszystko pełne woni, pełne uroku!...

I rozmykają się przed nim salony o światłach gazowych... śpiew i muzyka łechcą ucho... powiewne postacie pląsają wkoło... On chwyta jedną z nich, obiega salon... rozkosz wzmaga się za każdym krokiem... już mu tchu niestaje...

Nagle zmienia się scena: ściany salonu zapadają w ziemię jak kulisy w teatrze, i odsłaniają prześliczną dolinę... śród doliny dworek biały... a przed dworkiem młode różowe dziewczę...

Dziewczę patrzy z tkliwością na niego... w jego oczach błękitnych błyszczy łza...

Nagle zaszeleściała długa, czarna suknia... poetyczna Najada wyłonia się z téj sukni i z filuternym uśmiechem pokazuje mu testament stryjaszka... i zwraca się do innego...

I dzwon pogrzebowy ozwał się nagle... Długim szeregiem idą cechy miejskie, prostą dębową trumnę niosą na barkach mieszczanie... Koło niego w czarnéj sukni idzie piękna, młoda kobieta i lekko opiera się o jego ramie... on

uchyla ramie i patrzy na swój dom rodzinny, a tam w oknach widzi jakieś obce brodate twarze... to nowi lokatorowie...

Niemiecki starożytny gród staje przed nim. Mistrz daje mu naukę życia.....

Dalsze obrazy są ciemne. Mącą się i mięszają jak barwy w kalejdoskopie.... Ale prawdopodobnie nie są miłe, bo podróżny rękę w pięść zacisnął i groźnie przed siebie ją wysunął.....

W téj chwili jednak uczuł na téj ręce coś zimnego jak lód.... była to ręka jakiejś białéj kobiéty, która wraz z mgłą i nocną rosą, z nieba na ziemię się spuściła...

— Stefanie!—szeptały jéj zimne usta...—gdzież twoje jutro będzie?...

Stefan otworzył oczy... i równemi nogami stanął na ziemi.

Zimnéj kobiéty w białéj, powiewnéj szacie nie było.... ale za to stał przed nim chudy, wysoki mężczyzna i trzymał go za rękę, którą we śnie, zaciśnioną w pięść daleko od siebie wysunął...

— Kto jesteś i czego chcesz odemnie?—zawołał Stefan i cofnął prędko rękę.

Wysoki, chudy mężczyzna złożył twarz do uśmiechu, patrzał chwilę na niego i odparł:

— To moja rzecz pytać cię, kto jesteś i co tu robisz. Ja bowiem jestem spokojnym, przechodzącym mieszkańcem miasta, a ty ulokowałeś się tutaj na noc, jakbyś w całém mieście kąta nie miał dla siebie!...

Stefan spojrzał z uwagą na mówiącego. Właśnie księżyc wychylił się już po nad drzewa i pełném światłem oddał całą jego postać. Stefan uczuł jakiś dziwny dreszcz na widok tego człowieka.

Był on wzrostu słusznego i nadzwyczaj chudy... Twarz miał podłużną, brodę długą i kończastą. Na jego wązkich barkach wisiał płaszcz fantastyczny, podbity czerwoną podszewką. W całéj jego postaci było coś rycerskiego, przypominającego mimowolnie rycerza średnich wieków.

— Jeżeli pan jesteś spokojnym mieszkańcem miasta— odpowiedział po chwili Stefan—to nie turbuj mnie i idź sobie daléj, a jeśli masz jakie złe zamysły, to ci szczerze powiem, że nie mam ani złamanego szeląga a na obronę mojéj odzieży mam silną rękę.

Ostatnie słowa poparł Stefan silnym dowodem i dobrze zastosowanym kułakiem odepchnął natręta od siebie.

Nieznajomy z największą flegmą starał się zatrzymać równowagę, którą mu ręka Stefana nieco zwichnęła i do dawnego porządku przyprowadzić draperye płaszcza. A gdy to uskutecznił, postąpił naprzód krokiem tragicznym, położył rękę na ramieniu Stefana i odparł nadzwyczaj spokojnie:

— Nieporozumienie między nami, mój przyjacielu!. Masz mnie za złodzieja lub rabusia... ale to moja wina!.... Gdybyś widział mój herb na moim powozie i liberyą moją, to-byś nie zwijał ręki w tak ostry kułak, który jeszcze dotąd czuję pod trzeciém żebrem!... Ale cóż robić, wybaczam ci, bo sam zawiniłem. Nie powinienem chodzić piechotą między gminem. Myślałem że przy świetle księżyca można to zrobić!.

Teraz był Stefan pewny, że ma przed sobą waryata. Niezwykła jego fizyognomia, rysy nadzwyczaj ostre i wydatne, mogły go w tém utwierdzić; prócz tego oświetlenie księżycowe nadawało mu jeszcze fantastyczności.

— Czego pan żądasz odemnie?—zapytał po chwili Stefan z jakimś mimowolnym niepokojem.

— Chcę ci dać lepszy nocleg, niżeli pod tém drzewem miéć możesz—odpowiedział spokojnie nieznajomy.

— Nocleg? Może masz pan jakie brzydkie zamysły ze mną?

— Otóż masz!. Otóż to wasze doktryny wieku!..... Mówią że świat postępuje, że dawne przesądy znikają z pomiędzy ludzi, że światło prawdziwe, światło rozumu i cywilizacyi zapełnia dawne zaułki ciemności i grozę feudalizmu.... a tymczasem prosta litość i miłosierdzie są rzeczą niezrozumianą!..... Kto chce być litościwym i miłosiernym, to mają go albo za waryata, albo za zbrodniarza, który tym spo-

sobem chce opanować ofiarę swoją!.... O ludzie, ludzie! kiedyż przejrzycie i nawrócicie się?...

Twarz nieznajomego gdy to mówił była tak szczerą i otwartą, taki ból malował się na niéj, że Stefana odstąpiła zupełnie dawna obawa. Zdawało mu się tylko, że widzi przed sobą jakiegoś oryginała, w jakich zazwyczaj wielkie stolice obfitują, a że ten oryginał wspomniał coś o herbach i ekwipażach, więc nie od rzeczy było zastanowić się nad jego propozycyą, którą tak po chrześciańsku mu uczynił.

Namysł Stefana był krótki. Jutro jego było niepewne, w kieszeni nie miał ani złamanego szeląga, lepiéj może było powierzyć się chociaż nie bardzo pewnemu człowiekowi, niżeli tutaj pod drzewem całą noc przesiedziéć o głodzie i chłodzie: zawsze była to stawka, która go nic nie kosztowała.

Powstał więc z ławki, wziął węzełek do ręki, strzepał z połów okruszyny chleba i rzekł:

— Jeżeli pan tak po rycersku walczysz przeciw doktrynom wieku, jakiemi jest egoizm i bezofiarność, to nie mogę się temu sprzeciwiać; chętnie więc przyjmuję pomoc jaką mi pan ofiarujesz!

— Widzę po słowach twoich że jesteś wart méj pomocy, za co ja tylko potém małéj przysługi od ciebie żądać będę. Ale to nic, późniéj o tém. Człowiek szlachetny nie powinien żadnéj jałmużny brać bez odwdzięczenia się natychmiast, a do dawcy należy stworzyć mu sposobność do tego..... Więc chodźmy!.

Stefan wziął swój węzełek pod pachę i obaj wyszli z parku w milczeniu.

Pilnie uważał Stefan na kierunek drogi, jaką obrał nieznajomy. Ponieważ oryentowanie się w Wiedniu nader łatwe jest, bo wieża św. Szczepana zawsze środkowy punkt miasta okazuje, to téż i Stefan poznał wkrótce, że nieznajomy jego dobroczyńca coraz więcéj od miasta się oddala.

Zrazu nie nabawiało to Stefana żadnym niepokojem: Wiedeń ma rozległe przedmieścia, na których daleko piękniejsze stoją pałace i domy niżeli w samém mieście.

Po godzinie jednak drogi, zaczął się nieco niepokoić. Wreszcie i druga godzina była na schyłku, a nieznajomy szedł jeszcze ciągle, a szedł krokiem wyciągniętym, jakby jeszcze miał spory kawał do domu.

Wreszcie zaczęły domy coraz niżéj przysiadać do ziemi. Już tylko małe domki i to w pojedyńczych porozrzucane ogródkach okazywały się zaniepokojonym oczom Stefana. Dziwne myśli przychodziły mu do głowy. Stolicy państwa nie znał jeszcze, nie wiedział, jakie rzeczy tutaj dziać się mogą!....

Wyobraźnia jego rozogniała się coraz więcéj. Co tylko kiedy czytał o rozbójnikach miast wielkich, wszystko to stawało mu w téj chwili przed oczy... A nieznajomy szedł i szedł krokiem wyciągniętym...

Wreszcie postanowił Stefan już nie iść daléj, bo wyraźnie zaczynały się już orne pola.

— Zdaje mi się, że pomyliliśmy drogę!—ozwał się i zatrzymał.

— Już jesteśmy na miejscu!—odparł nieznajomy i wskazał ręką mały parterowy domek.

Domek nie wyglądał szczególnie. Stefan spodziewał się pałacu albo przynajmniéj willi okazałéj. Do takiego domku szkoda było tak dalekiéj drogi. Północ już dawno minęła. W milczeniu szedł daléj.

Domek był z frontu otoczony dosyć nizkim parkanem, w którym była mała furtka.

— A teraz.—ozwał się nieznajomy—trzeba przeleźć przez parkan. Czy umiesz skakać?

— Wszak przy furtce jest dzwonek!—zauważył zdziwiony tą propozycyą Stefan.

— Wiem o tém mój przyjacielu—odpowiedział nieznajomy łaskawie—ale trzeba stróżowi dziesiątkę zapłacić!

A tak można tę dziesiątkę oszczędzić. Oszczędność jest rzecz dobra!

Teraz już nie mógł Stefan przyjść z zadziwienia do siebie. Wyobrażał sobie, że dobroczyńca jego jest bogatym oryginałem i że przygoda ta nocna będzie mu nawet mogła w czém posłużyć.... a tu tymczasem dobrodziéj jego każe mu dla oszczędzenia dziesięciu centów przełazić przez parkan daszkiem pokryty, który widocznie zagrażał połom jego surduta!.... Cóż w takim razie robić?

Nieznajomy dał mu tymczasem pierwszy przykład: uchwycił daszek jak siodło na koniu i jednym susem przesadził parkan. Stefan podziwiał jego siłę mimo lat pięćdziesięciu, jakie mógł liczyć.

— A teraz daj mi twój węzełek i hop przez parkan—rzekł do niego nieznajomy z drugiéj strony.

Stefan nie namyślał się, bo téż nie było się co namyślać: do miasta wracać było za daleko i tak nie było właściwie po co wracać. Przed parkanem, w pustém prawie polu niepodobna było zostać! Więc bądź co bądź potrzeba było już trzymać się dziwaka, choćby ten dziwak tylko łóżko i łyżkę strawy mógł mu ofiarować. I to było już czemś na dzień jutrzejszy!

Podał więc swemu dobroczyńcy węzełek i naśladując go, przesadził szczęśliwie parkan.

— A teraz choć za mną ostrożnie, abyś gospodarza na dole nie zbudził,—mówił daléj dobroczyńca.

— Gospodarza?—powtórzył Stefan i pomyślał sobie rzeczy nader smutne.

Rzeczywiście to słowo rozczarowało go jeszcze więcéj: Domek był tylko parterowy, gdzież on mógł mieszkać, jeśli prócz niego mieszkał jeszcze tutaj gospodarz? więc on był tylko lokatorem?

Takie myśli były nader smutne dla Stefana, który sobie czegóś innego obiecywał.

— Daj rękę a poprowadzę cię, bo schody nie wygodne!—rzekł znowu do niego nieznajomy.

— Tam do kata! to już pewnie na strychu mieszka! — pomyślał sobie Stefan—a mówił o herbach i ekwipażach!

Dobroczyńca tymczasem złapał go za rękę i zaczął za sobą ciągnąć do góry!

Nie były to schody, ale istna drabina. Stefan czuł wyraźnie przy kresach kapelusza napiętki swego poprzednika, i opóźniał jak mógł swoje kroki, aby tylko głową nie wleźć między szczebel i napiętek.

Po téj nader uciążliwéj pielgrzymce odetchnął wreszcie Stefan, bo stał już na jakimś pewniejszym gruncie.

Powoli i ostrożnie wszedł za swoim przewodnikiem do izdebki. Przewodnik zaświecił.

Dziwne wrażenie sprawiła na Stefanie izdebka, w któréj się tenże znajdował. Było to zwykłe, nader ubogie poddasze składające się z dwóch małych celek: pierwsza służyła gospodarzowi za właściwe mieszkanie, w drugiéj był skład różnych rupieci: w jednym rogu leżał wysypany na ziemię owies.

Ściany pierwszéj izdebki były dosyć puste i wapnem wybielone. Nie było ani obrazka ani zwierciadła. Na jednéj ścianie wisiały szory angielskie, nadzwyczaj eleganckie, wykładane posrebrzaną blachą. Wszystko świeciło się i lśniło jakby co dopiero wzięte z wystawy sklepowéj. Na drugim kołku wisiała liberya dla lokaja lub stangreta. Była także bardzo porządna, szerokim galonem obszyta czapka. Nad nią wisiał kapelusz w żółtawą ceratę obszyty, ze złotą bordurą. W kącie stały batogi eleganckie.

Po drugiéj stronie wisiała, jak się zdaje, garderoba gospodarza. Stefan nie mógł jéj widziéć, bo była szarém płótnem starannie osłoniona.

Naprzeciwko był tapczan słomą wypchany i białym kocem nakryty. Za tapczanem widać było parę dosyć melancholijnie wyglądających butów. Pomiędzy oknami stał stół prosty, biały, a koło niego dwa sosnowe krzesła.

— Otóż jesteśmy już w domu,—rzekł gospodarz—stawiając świeczkę na stole.

Stefan smutno obejrzał się dokoła: gospodarz spostrzegł to.

— Zapewne oglądasz się za legowiskiem dla siebie – ozwał się z uśmiechem—jest ono w drugim pokoju. Sypiał tam niegdyś mój Johan, ale od czasu jak umarł na cholerę, nie jest zajęte. Będzie ci tam dosyć wygodnie, a w każdym razie lepiéj niżeli w parku na ławie; jeśli jeszcze do tego dobrze chrapisz, czém myszy od siebie, które się do owsa schodzą, odpędzić możesz, to już ci w niebie lepiéj nie będzie!... A teraz trzeba jeszcze popatrzyć co robi Barbarossa i Henryk Zięba!

Dla Stefana było to wszystko tak dziwném, że jeszcze dobrze nie mógł przyjść do siebie. Jeszcze mógł to być dalszy szereg snów, które na ławie w parku był rozpoczął, mogło być jakieś dziwne złudzenie zmysłów, bo rzeczywistość była prawie nie prawdopodobną....

Gospodarz tymczasem bez ceremonii usiadł na stołku i zaczął się rozbierać. Zdjął wszystko co miał na sobie, a natomiast ubrał się w szerokie płócienne szarawary i takąż bluzę wziął na siebie, a wszystko to razem przepasał siwym fartuchem; potém zaświecił małą latarkę i wziął z drugiéj izdebki przetak owsa. Gdy już był gotów rzekł do Stefana:

— Może chcesz obaczyć Barbarossę i Henryka Ziębę?. To pójdź za mną, tylko ostrożnie, bez chałasu.

Stefan położył swój węzełek na stołku, zdjął swój cylinder, któremu dach mógł zagrażać i poszedł za gospodarzem, który z manierami prawdziwego koniuszego postępował naprzód oświecając drogę.

Weszli do małéj stajenki. Cesarzowie niemieccy, Barbarossa i Henryk Ptasznik zarżeli z roskoszą. Były to konie bardzo szlachetnéj rasy, dobrze utuczone. W stajni panował porządek wzorowy.

Gospodarz rozmawiał to z Henrykiem to z Barbarossą, którzy widocznie rozmowę jego rozumieli. Głaskał ich,

wycierał im wiechciem nogi, które sobie powalały i obiecał im jutro świeżego siana.

— A teraz niezawadzi zajrzéć do wozowni, czy kto kawał skóry nie oderżnął! — ozwał się gospodarz.

W wozowni ujrzał Stefan prześliczny powozik, błyszczący, jakby dziś dopiéro kupiony. Gospodarz obszedł ręką wszystkie obicia, pozmiatał miejscami kurz ze skóry lakierowanéj i zwrócił się na poddasze.

Stefanowi przyszła myśl do głowy, że dobroczyńca jego jest prawdopodobnie właścicielem ekwipażu, który na godziny wynajmuje, pełniąc przytém funkcye furmana!

Bądź co bądź, jednak lepszy nocleg i u takiego człowieka, niżeli na ławce w parku w srebrném świetle księżyca, który za to mógł go należycie oziębić; pogodził się więc na ten raz ze swoim losem.

— A teraz—rzekł do niego gospodarz siadając na stołku—nim spać pójdziemy, trzeba abyśmy wzajemnie coś o sobie się dowiedzieli. Co się ciebie tyczy, mój przyjacielu, to zaraz odgadłem po twojéj dystyngowanéj powierzchowności, że jesteś również ofiarą doktryn dzisiejszego wieku. Nieprawdaż?

Stefan nie wiedział z razu co ma temu oryginałowi odpowiedziéć, o którym teraz powziął przekonanie, że nim został fiakrem, był prawdopodobnie czemś więcéj.

— Tak... to prawda...—cedził zwolna—wszyscy jesteśmy ofiarami rozmaitych doktryn dzisiejszych.

— Uchowaj Boże!—przerwał z ogniem oryginał—broń Boże, nie wszyscy!. Są tacy którzy tyją na tych doktrynach, którzy jak grzyby właśnie, rosną i pęcznieją wśród téj pleśni, ktora wszystko inne szlachetne zabija!. Są ludzie, którzy właśnie bogacą się i w górę idą na falach tego cuchnącego prądu wieku; ale mówię ci przyjacielu, ci ludzie ani świata nie zbawią, ani ludzkości o cal naprzód nie popchną!. Oni są płodem chwilowéj stagnacyi a niczém więcéj. Oni są tém, czém jest pleśń na chlebie w wilgotnéj śpiżarni: przyjdzie szafarka ze ścierką, obetrze i po niéj!

Stefan usiadł na stołku i wpatrzył się w mówiącego, bo słów jego dobrze pojąć nie mógł.

— Dobrze mój przyjacielu,—prawił daléj oryginał— że ty do nich nie należysz. Mówię ci, że lepszy jest nocleg na ławie w parku dla poczciwego człowieka, niżeli w puchowych pierzynach dzisiejszych bogaczy, którzy krwią poczciwego a głupiego gminu tuczą się!... Dzisiaj być ubogim, jest już zaszczytnie, a ty musisz być poczciwym, jeśli dotąd jesteś biednym, mimo że potrafiłbyś jak widzę, grać rolę bogatego lepiéj od niejednego krezusa z *Kärnthnerring*.

— Jestem wprawdzie w téj chwili ubogim—odparł z uśmiechem Stefan—ale to tylko nadzwyczajny zbieg okoliczności... wypadki nadzwyczajne... zła wola ludzi...

— Daj pokój!. Widzę że się wstydzisz swego ubóstwa i obawiam się że będziesz kiedyś bogatym!. Wstyd ubóstwa to pierwszy krok do grzechu dzisiejszego bogactwa!

Stefan nie wiedział, co na to odpowiedzieć, dał się więc oryginałowi wygadać.

— Widzisz—prawił daléj oryginał—ja jestem także ubogi. Ród mój należy do najdawniejszych rodów germańskich. Przodkowie moi pisali się hrabiami na *Fichtenau* a ja ostatni tego rodu piszę się do dziś dnia *Otto Max* hr. *Fichtenau!*

Na twarzy Stefana malowało się wielkie zdziwienie: spostrzegł to gospodarz.

— Dziwisz się—rzekł z uśmiechem—żem cię przyjął pod mój dach w ścisłém znaczeniu tego słowa.. Uczyniłem to dlatego, bo mam tradycye rodu, że zamek mego praszczura stał zawsze otworem dla spragnionych pielgrzymów i pątników wracających z Ziemi Świętéj!....

Twarz Fichtenauna spoważniała, malowało się na niéj wzruszenie: w téj chwili zdawało się Stefanowi że widzi przed sobą istny obraz rycerza z Manszy!...

— Dzisiaj upadliśmy—mówił daléj Fichtenau—świat wymyślił sobie nowe doktryny, nas nazywa „*feudałami*” i straszą nami ludzi jakby upiorem jakim! Doktryny te tuczą

ich, chociaż świat cały coraz niżéj upada a z nim cała ludzkość wstecz się cofa!.... Czyś ty przyjacielu słyszał kiedy, aby prosty burmistrz z małego miasteczka był ministrem państwa? Czy ci się śniło kiedy, aby adwokat, który supliki pisze, zasiadał w radzie korony?.... Tak téż i nawa państwa idzie!... krewni Hohenstauffów, jakim ja jestem, żyją w ubóstwie i zapomnieniu, a inni tuczą się.....

Stefan nie chciał się wdawać w dysputę z krewnym Hohenstauffów, tylko słuchał go daléj.

— To téż widzisz przyjacielu—prawił daléj Fichtenau—jakkolwiek jestem dzisiaj ubogim, nie sięgam jednak po bogactwa dzisiejsze, bo dumy przodków moich jeszcze nie sprzedałem. Patrz, na poddaszu mieszkam, jem kawałek suchego chleba, ale świat nie widzi nigdy mego ubóstwa. Pokazuję mu się zawsze w pysznym ekwipażu ze służącym w liberyi rodu mego. Inaczéj moi równi i gmin nie znają mnie! Umarłbym, zdaje mi się, gdybym raz na *Kärnthnerringu* bez tego blasku się okazał!

Téraz dopiero wyjaśniło się nieco Stefanowi; dowiedział się że ma przed sobą zubożałego potomka znakomitego rodu, któremu zdaje się że jako prosty śmiertelnik po ziemi chodzić nie może.

Odkrycie to ucieszyło go, bo zawsze była to rzecz bardzo ciekawa. Zresztą, pomyślał sobie, że człowiek ten może mu być użytecznym w sprawie jakiéj przez swoje stosunki.

Rozmawiali jeszcze czas niejaki o Hohenstauffach i dzisiejszych doktrynach a ponieważ sen swego prawa się domagał udali się obaj na spoczynek. Krewny Hohenstauffów pozostał w pierwszéj izbie.

Za kilka chwil, gdy już Stefan na swoim tapczanie w drugiéj izbie leżał, spostrzegł, że grzeczny gospodarz, który mu na odpędzenie myszy głośne chrapanie zalecał, sam go w tym obowiązku wyręczył, gdyż donośnie i regularnie chrapać zaczął, jakby wcale nie był krewnym Hohenstauffów!....

Stefan do różnych swoich przygód dodał i noc dzisiejszą, która nie była bez pewnego uroku. Pomyślał sobie przytem, czy téż słowa mistrza jego z Frankfurtu spełnią się kiedy? Był już rzeczywiście bez jutra, a pierwszym zyskiem téj zaleconéj mu sytuacyi była już noc dzisiejsza i znajomość zabrana w sposób tak oryginalny z krewnym Hohenstauffów!!.. A to nie nastąpiłoby nigdy, gdyby z jakim takim zasobem w kieszeni zajechał do hotelu i tam w czterech ścianach się wysypiał!

— Życie bez jutra, pomyślał sobie, może miéć także swój urok, gdyby tylko Pan Bóg nie stworzył zimna i głodnego żołądka! Bez tych rzeczy byłoby znośniéj na świecie!

To pomyślawszy zakrył sobie kilimkiem uszy i zasnął tak słodko, jak już dawno tego nie doświadczał. I właśnie zaczął coś śnić o potomku Hohenstauffów, gdy go nagle jakiś stuk obudził.

Przed nim stał Fichtenau we wczorajszym stroju mastalerza. Trzymał w ręku jakiś garnuszek szczerbaty i uśmiechał się do Stefana, jakby w tym garnuszku miał dla niego jaką niespodziankę.

Stefan przetarł oczy i spojrzał na zegarek: była już godzina dziesiąta.

— Twardo śpisz przyjacielu—rzekł do niego krewny cesarski—jakbyś był rzemieślnikiem! Ja tymczasem wyczyściłem już obu cesarzów i gnój z pod nich wyrzuciłem. I widzisz, nawet o tobie nie zapomniałem: wypiłem tylko połowę mojéj porcyi, a resztę tobie przynoszę.

Mówiąc to, podał Stefanowi garnuszek. Miała to być kawa, ale trudno było nazwać tę mixturę takiém mianem: był to prosty odwar z cykoryi, bez cukru i zafarbowany fałszowanym mlékiem.

Dla Stefana i taki posiłek w téj chwili był upragniony. Wprawdzie połykając tę polewkę, cisnęły mu się łzy do oczu, gdy sobie przypomniał dom rodzinny, salony baronowéj, i tyle a tyle świetnych wieczorków, gdzie z pańskim kaprysem maczał usta w wytwornych napojach...

— Ale nie myśl mój przyjacielu—mówił daléj oryginał —abym za darmo dawał ci połowę mego śniadania. Już wczoraj powiedziałem ci, że człowiek szlachetny nie powinien przyjmować jałmużny. Otóż mam sposób, że mi tę kawę i inną strawę, jaką z tobą dzielić się będę, należycie odsłużysz pewną grzecznością, jakiéj od ciebie wymagam!

— Cóż pan chcesz, abym uczynił? — zapytał Stefan połykając ostatni haust cykoryi.

— Będziesz moim służącym!—spokojnie odparł krewny cesarzów.

— Służącym?—powtórzył Stefan zadziwiony.

— To jest... będziesz odgrywał rolę służącego!

— W jakiż sposób?

Fichtenau wskazał na liberyą wiszącą na kołku i odparł:

— Ubierzesz się w tę liberyą i pojedziesz ze mną... Mam dzisiaj odbyć kilka wizyt. Pojedziemy do księcia X***, potém do hrabiego Y***, a w końcu do barona Z***. Są to wielkie figury przy dworze!

Stefan patrzał ciągle na mówiącego z zadziwieniem.

— Nie potrzebnie dziwisz się!—mówił daléj Fichtenau —nie wchodzę kto jesteś, bo tajemnice cudze szanuję; ale to powiedziéć mogę, że ta liberya odziewała już ludzi nawet znakomitych!... Jeden poeta paradował w niéj dwa tygodnie; malarz rodzajowy nosił ją miesiąc; były bankier nie chciał się nawet z nią rozstać, tak mu się podobała: a były tenor opery sztudgardskiéj chciał nawet ją sobie przyswoić, aż organu publicznego bezpieczeństwa do rewindykacyi użyć musiałem!... Wszystkich tych znalazłem również jak ciebie na noclegu w parku pod srebrnym księżycem!...

Stefan spojrzał z większém uszanowaniem na liberyą, która tyle znakomitych ludzi odziewała... Nie mógł jednak powstrzymać ironicznego uśmiechu, gdy sobie dawne swoje marzenia przypomniał!... Było w tém całém wydarzeniu coś tragi-komicznego, co wyciskało łzy, oraz bawiło...

Zresztą, pomyślał sobie, że nikt go tutaj nie zna, że przejechawszy się w roli służącego po mieście, rozpatrzy się w niém, że zresztą patrząc na niektóre rzeczy ze stanowiska lokajskiego, może coś obaczyć, z czego mógłby korzystać potém... a w końcu do wyboru nic nie miał, jak tylko albo ubrać się w liberyą lokaja, albo opuścić dach gościnny dziwaka i iść w nieznane miasto bez grosza w kieszeni!...

I pomyślał sobie przy téj sposobności, co mu mistrz frankfurtski powiedział, że człowiek *bez jutra* wiele rzeczy zrobi, czegoby inny zrobić nie chciał!... A kto wié, może właśnie te rzeczy będą dla niego początkiem jakiego szczęścia, albo przynajmniéj nowéj przygody, która do szczęścia prowadzi?...

To pomyślawszy wstał z tapczanu i z żartobliwym uśmiechem oznajmił swemu gospodarzowi że jak najchętniéj, jeżeli tak potrzeba, stanie się lokajem!...

Uśmiech ironiczny zadrgnął na długiéj twarzy krewnego Hohenstauffów, z oczu ukośnie zmrużonych strzelił na Stefana jakiś pocisk złośliwy. Zdawało się że Fichtenau chciał coś szyderczego mu powiedziéć; ale uśmiech ironiczny niknął a Fichtenau rzekł smutno:

— Jak widzę jesteś dzieckiem wieku! Obawiam się, że nawet możesz być bogatym, jeśli tak łatwo zdecydowałeś się zostać... lokajem!

— Ależ ja tylko chwilowo rolę jego odgrywać będę— zauważył Stefan z uśmiechem.

Kuzyn Hohenstauffów nic na to nie odpowiedział, tylko ręką machnął i wziął się do ubierania.

Ubierał się powoli i z wielką systematycznością. Zdjął grubą koszulę a natomiast wziął cienką batystową. Wszystkie części jego ubioru były nadzwyczaj wykwintne. A gdy w końcu z papierowego pudła wyjął nowiuteńki, błyszczący cylinder i z fantazyą na głowę włożył, Stefan sam swoim oczom nie mógł uwierzyć, że to jest ten sam człowiek, który niedawno gnój z pod koni wyrzucał i zgrzebłem je czesał! Tyle było w nim pańskości i pewnéj dystynkcyi.

Stefan tymczasem napół z uśmiechem, napół ze łzami ubrał się w liberyą, wsadził liberyjny kapelusz na głowę i wziął na ręce białe, bawełniane rękawiczki.

I przypomniał sobie słowa mistrza o pewnych skrupułach, których się ten pozbywa, co nie ma swojego *jutra!*... W innych okolicznościach nie byłby tak prędko wdział na siebie liberyi...

Tymczasem Barbarossa i Henryk Ptasznik już się niepokoiły. Krewny Hohenstauffów wziął lejce i skoczył z elegancyą księcia na kozioł, a Stefan siadł za nim i według reguły lokajskiéj, założył ręce nakrzyż.

IV.

Niefortunne poselstwo.

Kilka dni trwał ten szczególny stosunek między Stefanem a ostatnim z Fichtenauów.

Stefan miał sposobność poznać większą część miasta, którego jeszcze nie znał. Wejrzał także głębiéj w niektóre dziwactwa swego towarzysza, które go mocno intrygowały.

Hrabia Fichtenau był rzeczywiście w bliskich stosunkach ze znakomitemi domami stolicy. Podczas kiedy tenże z fantazyą gentelmana na karyklu siedział, biegał Stefan z wizytową kartą po pierwszych piętrach to do książąt, to do hrabiów lub baronów.

Dowcipnie jednak urządził się Fichtenau co do rewizyt. W hotelu pod „węgierską koroną“ miał umowę z odźwiernym, który każdemu oświadczał, że hrabia na piérwszém piętrze pod numerem piątym mieszka, ale że *go w domu niema!*

Fichtenau w przejazdkach swoich pysznym ekwipażem zatrzymywał się zazwyczaj codziennie przed hotelem i odbierał od odźwiernego karty wizytowe i listy.

Tym sposobem utrzymywał hr. Fichtenau świetność rodu swego w należytym porządku. Był on święcie przekona-

ny, że żaden przechodzień na ulicy, żaden chłopiec szewski nie byłby mu darował tego śmiertelnego grzechu, gdyby go ujrzano na ulicy idącego piechotą jak każdy inny śmiertelnik chodzi.

Po kilku dniach, gdy krewny cesarzów zajęty był na poddaszu czyszczeniem chomontów, poruszył tę sprawę Stefan, w braku innego lepszego zajęcia.

— Chciéj mi pan powiedzieć— ozwał się do niego, — jaką przyjemność znajdujesz pan w podobném życiu?... Gdyby takie życie było środkiem do dopięcia jakichś ukrytych zamiarów, tobym się nie dziwił, ale odmawiać sobie wszystkiego, nie jeść i nie spać wygodnie, aby tylko godzinę na dzień pomiędzy gapiącą się publicznością, która może pana i nie zna, powozem przejeżdżać: tego nie pojmuję.

Krewny cesarzów chuchnął kilka razy na posrebrzane blachy chomontów, aby potém przez tarcie tém większy połysk z nich wydobyć i odpowiedział:

— Już od pierwszego dnia, kiedyś tak prędko bez żadnego namysłu wlazł w liberyą, poznałem, że mego życia i moich zasad wcale nie zrozumiesz, i zaraz powiedziałem ci, że się obawiam o twoją przyszłość. Z poetą, twoim poprzednikiem, miałem wiele kłopotów nim go okiełznałem. Na widok liberyi stawał dęba jak folblut i bił kopytami; powoli dopiero przyzwyczajał się do téj myśli, że jest lokajem!.... Z malarzem także mi nie lepiéj poszło. Forkał i pluł jak kot gdy nieprzyjaciela obaczy, a gdy już raz wziął tę liberyę to tak smutno wyglądał, aż mi samemu żal się zrobiło. Bankier nawet, co zazwyczaj nie bardzo przebiera, zapierał się rękami i nogami, i z trudnością przyszło mi przyzwyczaić go, aby kapelusza liberyjnego na bakier nie zakładał. A ty mój przyjacielu tak gładko wlazłeś w ten długi surdut, jakby był dla ciebie zrobiony!...

Jakkolwiek Stefuś przyzwyczajony był do dziwacznych słów swego oryginała, jednak te słowa które w téj chwili mówił do niego, sprawiły na nim głębsze wrażenie.

W innych okolicznościach byłby może poturbował krewnego Hohenstauffów za taką mowę, ale w téj chwili, w któréj właśnie zbliżał się obiadek, chociaż nader skromny, ale zawsze dla głodnego jego żołądka bardzo upragniony, wszelka opozycya byłaby nie na miejscu. Wytłumaczył sobie, że odgrywa rolę komiczną, że zresztą dziwak taki, jakim był Fichtenau nie zasłużył wcale na to, aby słowa jego brać na szalę. Połknął więc pigułkę i pomagał daléj swemu dobrodziejowi smarować szory jakąś czarną, lśniącą farbą.

— Ze swego małego stanowiska patrząc na świat, — mówił daléj krewny cesarzów, wycierając całą siłą rzemienie, — tobie się zdaje, że jeśli na ciebie nikt nie zważa, to również i na mnie ludzie się nie patrzą. Ręczę ci, gdybym piechotą raz tylko przez „Kärnthnerring“ przeszedł, to wszyscy chłopcy szewscy biegliby za mną wołając: Oto Max Otto hr. Fichtenau idzie piechotą!....

Stefan nie mógł powstrzymać uśmiechu na te słowa krewnego Hohenstauffów.

— Nie wierzysz — mówił tenże daléj, — bo jak widać nie urodziłeś się tém, czém ja jestem. Są to rzeczy dla was niezrozumiałe. Doktryny wasze zaślepiają was, że nic widzieć nie możecie. Jeśli do tego już przyszło, że burmistrz prowincyonalnego miasta jest ministrem, a obok niego zasiada adwokat, to już widać jak strasznie musi być ciemno na świecie. Ale ciemność ta przejdzie, a wtedy będziesz się czuł szczęśliwym, żeś był lokajem Ottona, Maxa hrabiego Fichtenaua!...

Kiedy potomek Hohenstauffów te słowa wymawiał, słychać było za drzwiami jakieś nienormalne trzeszczenie schodów, ktoś nawet widocznie głową o dach uderzył i wcale nie wiedeńskim akcentem potężnie naklął nie tylko domowi, ale nawet i tym co w nim mieszkają.

Fichtenau przestał wycierać rzemienie i podniósł głowę do góry. W téj chwili otworzyły się drzwi izdebki a jakiś nieznajomy jegomość wcale nie naturalnym sposobem wpadł na sam środek.

— Hrabia masz mieszkanie przeciwne wszelkim przepisom policyjnym!—ozwał się nieznajomy i schylił się po olbrzymi swój kapelusz, który przed nim jeszcze wpadł do izdebki i pod okno się zatoczył.

Krewny Hohenstauffów zmarszczył brwi i srogo spojrzał na nieznajomego.

Był to człowiek niskiego wzrostu, dobréj tuszy i twarz miał okrągłą, gładko ogoloną. Na atłasowéj kamizelce wisiał gruby, złoty łańcuch z funtem rozmaitych dewizek. W szerokich ustach tkwiło grube, zupełnie rozmokłe hawańskie cygaro; na nogach miał buty ze skóry lakierowanéj.

— Mam panu najprzód honor powiedzieć— odpowiedział krewny cesarzów, — że tutaj jest pomieszkanie mego służącego, którego właśnie uczyłem szory czyścić, a ja mieszkam pod „węgierską koroną" na pierwszém piętrze, jak to panu odźwierny hotelu powiedziéć może.

Nieznajomy złożył swoje brzydkie, szerokie usta do uśmiechu, powstrzymał się jednak i rzekł:

— Niech się pan hrabia o to nie gniewa! Byłem kilka razy w hotelu, ale że osobiście chciałem się rozmówić, więc ośmieliłem się szukać hrabiego w mieszkaniu służącego wiedząc o tém, że podlegając szlachetnéj i prawdziwie arystokratycznéj namiętności dla koni, najmiléj tutaj przebywasz!

Krewny Hohenstauffów rozjaśnił zasępione czoło, oddał szory Stefanowi, a sam usiadł na stołku.

— Któż pan jesteś—zapytał,— i jaki interes przyprowadza cię do mieszkania mego służącego.

— Jeśli to być może, prosiłbym o słowo na osobności w interesie pilnym,— odpowiedział nieznajomy!

— Służący jest zazwyczaj niczém u takich ludzi, z jakim obecnie rozmawiasz! Mów pan tak jakbyśmy byli sami! — zauważył Fichtenau i dał znak Stefanowi aby się do drugiéj izdebki oddalił.

Nieznajomy kontentował się tém ustępstwem, i rzekł po chwili do krewnego Hohenstauffów:

— Jestem plenipotentem znakomitego handlowego domu z Wrocławia, którego firma znaną jest całéj Europie.

— Jakże się ten dom nazywa? — zapytał Fichtenau podnosząc brwi do góry.

— *Pipkes et Trutkes!*— odpowiedział plenipotent i szeroko rozkraczył nogi.

— *Pipkes et Trutkes!*.... tam do kata!.... Rzeczywiście znakomite nazwiska!... Osobliwie pierwszy z nich przypomina coś cesarza Pipina!... I czegóż ta znakomita firma żąda odemnie?

— Ta znakomita firma chce rozszerzyć zakres swojéj działalności na exploatacyę pewnych produktów, które jeszcze nie dość należycie wyzyskane są w państwie austryackiém!...

— Jakaż jest dotychczasowa działalność téj szacownéj firmy, tych bliźniaków krewnych?

— Dotąd— odpowiedział z dowcipnym uśmiechem plenipotent— działalność nasza odbywała się wyłącznie w sferze brudów i ciemności!

Krewny Hohenstauffów z zadziwieniem spojrzał na mówiącego. Takiéj szczerości nie spodziewał się od plenipotenta „wielkiego domu“ według znaczenia dzisiejszego. I przyszło mu nagle do głowy, że stojący przed nim człowiek jest kandydatem do jego liberyi, gdyż lada dzień zastanie go na bezpłatnym noclegu w parku miejskim... Uśmiechnął się do téj trafnéj myśli swojéj i już chciał coś odpowiedzieć, gdy plenipotent go uprzedził i zadowolony z dowcipnego zwrotu swojéj mowy, dodał:

— To jest, firma trudniła się na wielką skalę fabrykacyą mydła i świec jako antydotów na wszelkie brudy i możliwe ciemności tego świata!

— Nieoceniona firma!— mruknął krewny Hohenstauffów,— ale po cóż ta firma do mnie przychodzi? Niechby udała się ze swoimi antydotami w sfery ministeryalne... ja dzięki Bogu nic nie mam do prania, a jeszcze mi dosyć świta w mojéj głowie!

Plenipotent uważał za rzecz stosowną rozśmiać się na całe szerokie gardło z dowcipu gospodarza. Za to chciał siebie zaraz wynagrodzić i usiadł na krawędzi krzesła. Krewny cesarzów nie zapraszał go pierwéj do siedzenia, a teraz nic nie miał przeciw temu, jeśli on sam wziął sobie to prawo.

— Firma nasza—mówił daléj plenipotent,—która wzięła sobie za cel tak zaszczytne zadanie jakiém jest pranie brudów i rozpraszanie ciemności, nie lękała się dotąd żadnéj konkurencyi ludzkiéj, ale nie liczyła nigdy na konkurencyę wszechwładnéj natury, w obec któréj czuje się upokorzoną!

— Znakomita firma zaczyna mnie intrygować!—zawołał śmiejąc się potomek cesarski.

— Dopókąd materyałów dostarczały nam woły i barany, dotąd byliśmy górą w całéj Europie; ale jak natura otworzyła wewnętrzne żyły swoje i bezpośrednio zaczęła oddawać haracz swój, to firma uznała za stosowne wejść z naturą w spółkę, z którą walka byłaby daremna!

— W imieniu znakomitéj firmy mów do mnie jaśniéj, szanowny panie!

— Mówię tutaj o nafcie czyli oleju skalnym, nazwanym także kamfiną.

— Aha! Więc ta konkurencya grozi waszym świecom Apollina Belwederskiego!

— Dotąd ona nie grozi, ale hasłem rozsądnéj polityki jest starać się o sojusz tego, który na przyszłość może być groźnym wrogiem naszym!

— Czy odemnie żąda firma tego sojuszu?

— Firma postanowiła zawiązać wielkie towarzystwo akcyjne, którego celem będzie exploatacya nafty na wielką skalę w górach styryjskich!

— W górach styryjskich?.. Dotąd o ile mi wiadomo pokazuje się ona tylko w Galicyi!

— Mniejsza o to. Przedłożymy akcyonaryuszom sprawozdanie pewnego amerykańskiego inżyniera, który w górach styryjskich znalazł takie same pokłady ziemi jakie są w Galicyi.

— Czegóż chcecie odemnie? Nie jestem ani inżynierem, ani geologiem!

— Chcielibyśmy abyś hrabia znane swoje powszechnie nazwisko dał za firmę tego przedsiębierstwa!

— Czyś pan oszalał? Ja mam być na czele exploatacyi nafty?

— Hrabia o niczém wiedziéć nie będziesz. Otrzymasz hrabia znaczną pensyę i część akcyj zakładowych.

— A po cóż wam próżniaka w takiém przedsiębierstwie? Ja nic téj rzeczy nie rozumiem!

— Nazwisko hrabiego jest już dla nas kapitałem!

— Wytłumacz mi pan to jaśniéj!

— Publika jest głupią. Ona nie wierzy ludziom pracowitym, ale wierzy w pewny dźwięk starożytnych nazwisk, które są niejako dla niéj gwarancyą!

Krewny Hohenstauffów uśmiechnął się złośliwie: twarz jego rozjaśniła się wewnętrznym tryumfem.

— A dlaczegóż wasi dzisiejsi ludzie — ozwał się po chwili, — owi pracowici „Pipkes et Trutkes" nie dają publice téj gwarancyi, jakiéj od naszych nazwisk się spodziewacie?

— Jeśli przedsiębierstwo obliczone jest na większą skalę, jeżeli chce wciągnąć w swoją działalność ciemne massy, to musi czémś działać na te massy!... A przecież daleko więcéj gwarancyi dla tych mass mają nazwiska, o których one od kilku wieków słyszą, niżeli te, których właściciele dopiéro w pierwszéj generacyi dorobili się pracą i oszczędnością!

Potomek Hohenstauffów miał w téj chwili jakieś nie najlepsze zamiary względem plenipotenta tak zacnéj firmy, ale na razie powstrzymał je na czas niejaki. Przybrał nader spokojny wyraz twarzy, uśmiechnął się nawet łagodnie i rzekł do plenipotenta:

— Firma wasza czyni mi zaszczyt nie mały, jeśli uważa za stosowne dobijać się o moje nazwisko.

— Jest to interes obopólny! Na takim gruncie budują się wszystkie dzieła wieku!

— Jak pan pojmujesz ten wyraz, „obopólny?“

— To jest interes spółki do exploatowania nafty i interes pana jako prezesa!

— A czy niema w tém jeszcze trzeciéj strony?

— Hrabia zapewne masz na myśli odbiorców i kupców naszych akcyj?... To już rzecz nie nasza. Naszą rzeczą jest aby spółka wykazała pewnemi środkami swoją żywotność!

— A jakież byłyby te środki?

— Kurs papierów spółki na giełdzie! Do tego prowadzą znowu inne poboczne środki, które spółka bierze na siebie. Są to ludzie obeznani z całą maszyną takich operacyj!

Krewny Hohenstauffów myślał czas niejaki. Z pod oka patrzał od czasu do czasu na szeroką twarz plenipotenta, jakby sobie coś na wąsy motał, po chwili z wielkim spokojem ozwał się:

— Darujesz mi pan, ale ja w świetne interesa téj spółki wcale nie wierzę. Najprzód w styryjskich górach jak świat światem nikt o nafcie nie słyszał!

— Spółka postarała się o raporta znakomitych geologów amerykańskich, które tak są sformułowane, że każdy w nie uwierzyć musi! Zresztą niektóre próby okazały ślady...

— Wszystko to może być dobrém dla ściągnienia znacznego kapitału, ale czy ten kapitał da przyobiecany procent? Czy exploatacya okaże się możliwą i zyskowną?...

Plenipotent roześmiał się z widocznem politowaniem. Posunął się daléj na krzesło i rzekł:

— Darujesz hrabia, że tutaj ośmielę się istotę takiego przedsiębiorstwa nieco wyjaśnić. Każde przedsiębiorstwo przemysłowe zależne jest od wielu okoliczności, na które ani spółka ani nikt wpływać nie może. Najpewniejszą jedynie korzyść daje założycielom. Każdy bowiem z założycieli téj spółki otrzymuje na wstępie pewną ilość akcyi po bardzo niskiéj cenie, albo za pewne usługi i poparcie przedsiębiorstwa. Gdy w pierwszéj chwili przedsiębiorstwo znaczny rozgłos otrzyma, i akcye w górę pójdą, posiadający je pozbywa

się ich za gotówkę i pieniądze chowa do kieszeni! Taki jest proceder mniéj więcéj każdego przedsiębiorstwa.

— Ale jakimże sposobem mogą pójść akcye do góry, jeśli przedsiębiorstwo niema pewnych nadziei?

— Na to są różne środeczki,— odparł z dowcipnym uśmiechem plenipotent, — kupuje się pierwszy lepszy wpływowy dziennik, który trąbi na cały świat o kopalniach złota w nowéj Kalifornii!... Prócz tego są pewne operacye giełdowe, kontrminy i sztuczne haussy, których tu bliżéj wyjaśniać nie chcę. Dosyć że właściwie tak zwani założyciele zawsze dobrze wychodzą, a do takich tylko za użyczenie swego nazwiska i hrabia należeć będziesz!.. Interes czysty jak bursztyn!

Twarz krewnego Hohenstauffów przedłużyła się, brwi podniosły do góry... i zdaje się że groziła jéj jakaś rewolucya. Uśmierzył to jednak Fichtenau i spokojnie zapytał:

— A jeśli samo przedsiębiorstwo stratę w przyszłości przyniesie, kogóż trafia ta strata?

— Strata—mówił powoli plenipotent,—trafia tak zwanych konsumentów, wydanych przez spółkę akcyj. Jest to zazwyczaj strata nieznacznych, pojedyńczych sumek...

— Które są całym majątkiem biednych— zawołał głośniéj krewny Hohenstauffów.

Plenipotent spostrzegł, że się zadaleko posunął i myślał nad odwrotem.

— Hrabia mnie nie zrozumiałeś! — odrzekł z pewną indygnacyą.

— Aż nadto wyspowiadałeś się mości panie — przerwał mu oryginał podniesionym głosem, — nadto odsłoniłeś zbrodnicze wasze zamiary, któremi dzisiejsze społeczeństwo rozbijacie!... Piszecie tyrady na feodalne czasy, na zamki dawnych Raubgrafów, a czém wy dziś jesteście, wy, sławne firmy *Pipkes i Trutkes?...* Dawniejszy Raubgraf występował śmiało ze swymi pachołkami, a wy pod maską cywilizacyi, exploatacyi i przemysłu wysyłacie bandy rozbójnicze w formie waszych akcyj, aby łupić biédny gmin społeczeństwa i wydzierać mu ostatnie mienie jego!... Kapitał w waszych

rękach, to broń wasza zbrodnicza, to wasze sokoły, które wy puszczacie w świat, aby wam zwierzynę łowiły!...

— Panie hrabio! — przerwał mu z indygnacyą plenipotent.

— Tysiące biédnych ofiar padają pod waszym mieczem, których durzycie zyskiem, a tymczasem okradacie ich jak prości złodzieje i rabusie!... Czyś nie słyszał o bankructwach waszych „wielkich domów“ na które płaczą tysiące pobitych ofiar, które tym domom zawierzyły!... Jeżeli który z „naszych domów“ upada, to płaczą także tysiące, ale płaczą dla tego, że ten dom ich żywił i nimi się opiekował!... Nasze „domy“ to walące się zamki w gruzach! Gdy upadną nie zabiją nikogo prócz myszy i szczurów. Wasze „domy“ to zgrabnie wyklejone kamienice czteropiętrowe, które waląc się zabijają tysiące lokatorów!...

— Przecież przyznasz panie hrabio — odparł z ironicznym uśmiechem plenipotent, — że nasze domy przemysłowe tylu książętom, hrabiom i baronom państwa dają chléb!

— Niestety, mówisz prawdę — smutno rzekł Fichtenau, — to upadek rodu, to choroba wieku, która i najtwardszéj stali się czepia!... To jednak nie przeszkadza, abym was wszystkich w czambuł nie nazwał po prostu rozbójnikami!

— Jeżeli hrabia w ten sposób się zapominasz — rzekł wstając z krzesła plenipotent, — to nie pozostaje nic innego, jak z wielkim żalem opuścić progi, w które wstąpiłem z jak najlepszemi zamiarami! Bóg świadkiem, że interes był czysty i pewny! Spółka nasza ma wyobrażać kapitał pięciu milionów złotych reńskich!...

Krewny Hohenstauffów stał przed plenipotentem i cierpliwie czekał końca jego mowy. Wymówiwszy ostatnie słowa, które nader przyjemną cyfrę wyrażały, spojrzał plenipotent z pod oka na hrabiego, jakie wrażenie one na nim sprawią.

Krewny Hohenstauffów miał twarz surową, lecz nadzwyczaj spokojną. Bez oznaki najmniejszéj namiętności, z posągową spokojnością wyciągnął rękę nad karkiem pleni-

potenta, ujął go żylastemi palcami za kołnierz i rzekł ze spokojną powagą:

— Imieniem obrażonéj ludzkości mam sobie za obowiązek wymierzyć nad tobą karę według wyszydzonego przez was kodexu średnich wieków, to jest „prawa pięści“ i jednym onego paragrafem wypchnąć cię z progów moich!

Plenipotent protestował przeciw dowolności wyroku, mówił coś o policyi i sędziach, ale tymczasem dosyć szybko zbiegł po schodach i zniknął bez wieści.

Stefan wyszedł teraz z drugiéj izdebki, a na twarzy jego malowało się jakieś wzruszenie.

— A co?— rzekł do niego ostatni z krewnych Hohenstauffow— czy słyszałeś wszystko? Czy słyszałeś jak mężnie walczyłem przeciw złemu wieku i jego kusicielowi?

— Odwaga była prawdziwie rycerska — odpowiedział Stefan,— tylko argumenta...

— Czy myślisz o tym ostatnim argumencie?— zapytał rycerz i pokazał kułakiem ku progu.

— Ten argument był dla mnie obojętny... myślałem tylko o tém, że hrabia niewłaściwie potępiłeś wszystkie spółki przemysłowe, z których bardzo wiele jest korzystnych dla społeczeństwa, jak również niewłaściwie wykląłeś wszystkich książąt i hrabiów, którzy w nich udział biorą!

— Przyjacielu, ty walki nie rozumiesz. Jeżeli walka prowadzi cię przeciw idei wieku, to już tam wyjątków być nie może! A ja taką walkę prowadzę i przyznam ci się, że z dzisiejszéj kontent jestem!

— Tak, ale jest to zawsze system herodowy!— z uśmiechem zauważył Stefan.

— Być może, ale bądź pewny że i ja tym systemem nie zabiję Chrystusa!

V

Na tropie.

Od téj sceny stał się Stefan mocno zamyślonym. Wesołe rozmowy towarzysza wcale go nie bawiły. Biegała mu ustawicznie ta dziwna rozmowa z plenipotentem firmy wrocławskiéj po głowie i ani na chwilę nie mógł się od niéj oderwać.

Szczęściem dla niego krewny Hohenstauffów dostał jeszcze tego samego wieczoru zwykłego ataku podagry, która go najprzód do futrzanego buta, a w konsekwencyi do domu przykuła.

Stefan miał teraz kilka dni wolnych i nie potrzebował odgrywać roli lokaja, która mu się już sprzykrzyła i nic już nowego mu nie obiecywała. Żywot bowiem krewnego Hohenstauffa był bardzo jednostajny. Jedne i te same przejazdki, wizyty, które kończyły się oddaniem karty i nic więcéj. Do tego zdawało się Stefanowi, że niektórzy ludzie już na niego patrzą i że dalsza rola lokajska mogłaby mu na seryo zaszkodzić.

Rad więc był mimo wszelkiego afektu dla swego dobroczyńcy, że tenże z futrzanego buta nie mógł nogi wyjąć, a tém samém uwalniał go od liberyi.

Wprawdzie musiał teraz całą służbę przy Barbarossie i Henryku Ptaszniku objąć, ale ta służba nie bardzo mu dokuczała, bo nikt go w takim razie nie widział.

Mając więc więcéj czasu wolnego, wymykał się często do miasta i tam wałęsał się po różnych ulicach, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Rozpatrywał się tylko po ludziach, patrzał w okna magazynów i pod kapelusze fertycznych niemek, które do niego uśmiechały się z przymileniem.

Rozmowa plenipotenta z oryginałem nie dała mu pokoju, ale przed nim stawała zawsze najbliższa myśl egzystencyi, któréj dotąd nie umiał w żaden sposób rozwiązać.

U starego dziwaka miał wprawdzie tapczan i garnuszek jakiéj takiéj strawy, ale za to groziła mu tam nieustannie wisząca na kołku liberya. Mógł ją jak mniemał, kilka dni dla kaprysu i ironii losu nosić, ale dalsza z nią zażyłość zagrażała mu niechybnie.

Mógł także w jakim handlu znaleźć dla siebie przyzwoitsze utrzymanie, ale droga taka nie była wcale w jego planie. Raz wszedłszy na tę drogę mógłby już zagrodzić sobie całą swoją niegdyś tak świetnie wymarzoną przyszłość. Najwięcéj mógłby zostać tak zwanym subjektem, w najlepszym razie ożenić się z córką jakiego ubogiego rzemieślnika i za pomocą oszczędzonego fundusiku mógł sobie na bocznéj ulicy otworzyć mały magazynik.

Taki żywot zapewniłby mu wprawdzie rano kawę, na obiad kawałek mięsa a na wieczerzę kufelek piwa i krómkę chleba z masłem; Stefan jednak o tak spokojném i regularném spożywaniu kawy, piwa i chleba wcale nie myślał. Zamiast dążyć długą pracą do téj regularności, wolał pocierpiéć męczarni głodu i zimna, wolał liberyą miéć na sobie przez czas niejakiś, aby kiedyś przy zdarzonéj okazyi coś grubszego upolować.

Najtrudniéj jednak było w téj chwili o amunicyę. W kieszeni nie było ani grosza. Stary dziwak był goły jak swięty turecki. Nikt go w mieście nie znał!....

Sytuacya ta była smutną, nader smutną. Nerwy w głowie pękały mu aby coś wymyśléć, ale bez znajomości, bez ludzi trudno o ich exploatacyą.

Po kilku dniach takich przechadzek i medytacyj przyszedł Stefan wcześniéj do domu i zastał krewnego Hohenstauffów leżącego na tapczanie i palącego fajkę porcelanową. Był to znak, że podagra trochę zwolniała; malowało się to nawet na wypogodzonéj twarzy jego. Mimo to trzymał jeszcze jednę nogę w olbrzymim futrzanym bucie z daleka od siebie na stołku i z wielką troskliwością co chwila patrzył na nią, jak matka na chore dziecię swoje, które na chwilę zasnęło.

Stefan usiadł na stołku po drugiéj stronie i smutno patrzał przed siebie zamyślony.

— Nad czém tak myślisz przyjacielu?—zapytał potomek Hehenstauffów wydmuchując dym z fajki.

— Myślę nad ładnémi kobiétami, które po Grabenie chodzą!—odpowiedział Stefan z uśmiechem.

— Co ładne, to ładne!. Nieraz aż oko zaboli, gdy się uśmiechnie!.

— Dziwi mię to, że hrabia śród tylu ładnych kobiét zostałeś bezżennym!

Krewny Hohenstauffów musnął ręką po twarzy od czoła aż do brody, uśmiechnął się z wewnętrznem zadowoleniem i spojrzał na nogę z wielką troskliwością.

— Widzisz mój przyjacielu—odpowiedział z uśmiechem—nad tém myślałem już wiele, a nawet przed chwilą rozbierałem w głowie różne myśli, tyczące się tegoż przedmiotu!

W téj chwili stęknął nieznacznie, bo nieszczęsna podagra ozwała się w wielkim palcu.

— Dotąd o téj ważnéj kwestyi życia nic mi hrabia nie powiedziałeś!—zagadnął Stefan.

— Jakto?. To nie widziałeś jak na rogu *Kärntherstrasse* patrzała na mnie ta jejmość w fijołkowéj sukni z balkonu pierwszego piętra?.

— Tyle kobiét zazwyczaj patrzy się na nasz elegancki ekwipaż!

— Ekwipaż ekwipażem! Ramy złote są ładne, ale przeto ńie podziwiamy ram, tylko obraz!

— Prawda... ale są kobiéty, które tylko na ramy patrzą i tylko ramy widzą!

— Jeśli ramy są cenniejsze od obrazu!

— Czy byłeś hrabio w sprawach serca nieszczęśliwy?

— Ja,... nieszczęśliwy?. Widzę że nie znasz ani świata ani ludzi!. Jakim sposobem mógłby być który z Fichtenauów nieszczęśliwym?

— Kobiéty mają czasem kaprysy!

— Już ci za to ręczę, że dla człowieka z takiém nazwiskiem jak moje, żadna kobiéta kaprysów miéć nie może. Jedynym jéj kaprysem wtedy jest—posiąść to nazwisko!

Krewny Hohenstauffów chciał tutaj z fantazyą wydmuchnąć dym aż na środek izdebki, gdy nagle znowu coś go w wielki palec ukłóło; poprzestał więc na puszczeniu dymu pod samym nosem.

— Gdybym się chciał tysiąc razy ożenić, byłbym się ożenił—mówił po chwili—i to jeszcze z kobiétami znakomitych rodów. Amorów z niższemi odemnie w to nie liczę.

— Czegóżeś hrabio tego choć raz nie uczynił!

— Nie wiele brakowało, ale zawsze na niczem się skończyło. Pamiętam, będzie temu.... księżniczka Iza kochała się szalenie we mnie. Miałem wtedy angielski karykiel ze stalowemi w tył wyginanemi skrzydłami. Dwa kare rumaki, z których jeden miał prawą pęcinę białą a drugi lewą. Odbijało to cudownie. Do tego na chomontach były królewskie lilie w kształcie arabesków z rzucanemi srebrnemi punktami! Mówię ci, księżniczka szalała jak mnie w tym ekwipażu ujrzała!

— Dlaczegóż do końca nie oszalała?

— Ona-by do końca oszalała, ale widzisz przyjacielu, ja nie chciałem oszaleć; księżniczka bowiem prócz starożytnego rodu i małéj nóżki nie miała—pieniędzy.

— Pieniędzy?.... Sądziłem że ten warunek życia tylko w niższych sferach ma wagę.

— Mylisz się! W naszych sferach to jest jedyny i główny warunek każdego małżeństwa. Wy macie miłość, a nam jest ona zbyteczną. U was miłość może cztery puste ściany uprzyjemnić, nam zaś do ścian domu potrzeba ekwipaży, ludzi w liberyi, makatów i gobelinów. Dla tego nasze małżeństwa są prostym rachunkiem, o czém cały świat wié!. Na nas bowiém ciąży święty obowiązek utrzymać lustr domu i należycie reprezentować go przed światem, bo to do naszego uroku należy. Weź najpierwszego bohatera świata, i cofnij go bez żadnéj przegrody między ludzi, to zapomną o tém, że jest bohaterem i wezmą go za równego sobie. Otóż tę przegrodę od innych ludzi mogą nam tylko dać pieniądze; tylko za pomocą pieniędzy możemy sobie stworzyć ten parawan!

— Czy po księżniczce nie było bogatszéj?

— Była contessa jedna, która także przepadała za mną. Miałem wtedy strzelca, młodego czecha w pierzatym kapeluszu na głowie i srebrnemi axelbantami. Na niepogody kazałem mu zrobić płaszcz oficerski z tyłu na dwa herbowe guziki zapinany. Konie miałem wtedy gniade z małą łysinką na czole. Jeden z nich miał pęcinę prawą białą... Contessa szalała, a nawet miałem z tego powodu małe nieprzyjemności.

— I znowu nie było dostatecznych pieniędzy?

— Znowu ich nie było!... Mówię ci, żebym i na wołowéj skórze nie spisał tego wszystkiego. I nic dziwnego: umiałem nosić moje nazwisko, co bardzo wiele znaczy!... Nazwisko to jak ubiór od dobrego krawca: nie dosyć miéć go, trzeba go umiéć nosić!.

Nastąpiła długa przerwa. Krewny Hohenstauffa zamarzył słodko o minionych czasach a Stefan jak się zdaje poszedł za jego przykładem. Po chwili uśmiechnięty podagrzysta mówił daléj:

— I dzisiaj jeszcze napadają mnie kobiéty.... i dzisiaj niemam spokoju, ale także sprawa trudna!

— Prawda, przy braku młodości jest to sprawa nader trudna!

Podagrzysta spojrzał rozmiłowaném okiem na chorą nogę w bucie futrzanym i odparł:

— Mylisz się, jeśli mniemasz, że młodość w naszych małżeństwach gra rolę: nazwisko jest tu wszystkiém. Czy sądzisz, że kobiéta, którąby na kartach wizytowych miała wydrukowane: comtesse Fichtenau, wymagałaby więcéj do szczęścia swego?...

— Mówiłem już, że czasami mają kobiéty pewne kaprysy!.

— To tych kaprysów się nie widzi.

— W czémże ta dzisiejsza trudność zależy? Czy znowu w pieniądzach?

— Zgadłeś!... cóż mi z tego że każda pochłania mnie wzrokiem swoim, gdy memi cesarzami jadę przez Graben lub Kärthnerring; cóż mi z tego że z okien, balkonów i z powozów posyłają mi łaskawe spojrzenia... jeśli jedne nic nie mają, o innych dowiedziéć się nie mogę! Naprzykład ta fijołkowa contessa z balkonu przejechać mi nie da koło swojéj kamienicy, ale cóż z tego, kiedy zaledwie na średnie życie jéj posag wystarczy!... Albo ta księżna wołoska, którą spotykamy zawsze w tym faetoniku z siwkami.... aż ledwie sama nie przemówi.... ale i tam niéma co robić. Ugania nawet po Praterze jedna wcale nie szpetna baronowa w ładnym koczyku, a nawet nie odgadnionym dotąd sposobem dostała mi się do rąk jéj fotografia... ale o téj nawet jeszcze nic nie wiém!

— Czy nie mógłbyś hrabio okazać mi téj fotografii?

Szczęśliwy potomek Hohenstauffów chciał się ruszyć, aby życzeniu swego towarzysza zadosyć uczynić, gdy nagle mu noga w bucie futrzanym zastrzykała. Oparł się napowrót o poduszki.

— Tam jest w książce—rzekł z westchnieniem—w poezyach hr. Hahn-Hahn!

Stefan rozłożył książkę i ujrzał fotografią!

Twarz jego przybrała szczególny wyraz.

— Widzisz! — zawołał szczęśliwy śmiertelnik — aż ci oczy białkiem zaszły!.. Ładna bardzo nie jest... podobna do kreolki... ale ma coś szatańskiego w tym uśmiechu koło ust!

Stefan nic nie słyszał tylko wpatrzył się w obraz kobiéty, jaką przedstawiała fotografia.

Była to postać nader malowniczo rzucona na axamitny fotel. Przed nią na małym stoliczku stały kwiaty. Jedną ręką sięgnęła po ledwo rozkwitłą różę, drugą przysłaniała prześliczny swój biust, z którego chusteczka koronkowa na dół upadała...

Twarz była silnych rysów, oczy duże, ciemne, gorzały nieukojoném pragnieniem, usta wydatne i ostro wycięte, były spalone gorączką..

Stefan patrzał i patrzał... zamyśliwał się i znowu patrzał... Jego twarz ożywiła się, po czole przebiegały jakieś dziwne myśli.... ręka jego drżała widocznie ze wzruszenia.

Była to... Paulina!

— Przeklęta podagra! Znowu mi dokucza!—mruczał szczęśliwy adonis.

VI.

Dawni znajomi.

Jakkolwiek Stefan nie umiał jeszcze zdać sobie sprawy z tego, o czém w téj chwili się dowiedział, głos jednak wewnętrzny mówił mu wyraźnie, że to może się stać dla niego bardzo ważném.

Przybrał więc o ile mógł, spokojny wyraz twarzy i z udaną obojętnością zaczął się bliżéj wypytywać rozmownego gospodarza o tak zwaną baronowę, która widocznie miłosne sidła na niego zarzuca.

Krewny Hohenstauffów, który widać miał potrzebę ulżenia sobie w ukrytych marzeniach swoich, opowiadał mu różne drobne oznaki niezaprzeczonego szczęścia swego, ale z nich nie mógł Sfefan w żaden sposób złożyć sobie jakiéj takiéj całości co do stanowiska Pauliny.

Dowiedział się tylko, że w pewnych przedobiednich godzinach przejeżdża się eleganckim ekwipażykiem po Praterze, że ma lokaja w granatowéj liberyi z szerokimi galonami a konie gniade, z których jeden ma gwiazdkę na czole a drugi białą pęcinę u lewéj nogi. Spotkanie się jéj z ekwipażem Fichtenaua jest zawsze nader romantyczne, zawsze trzeba się wymijać na dosyć wązkiéj przestrzeni, przyczém posyła

mu z pod zasłony koronkowéj długie, powłóczyste wejrzenie a czasem i uśmieszek nader wymowny... ale prócz tego nic więcéj. Fichtenau nie wiedział nawet gdzie mieszka, tylko jakiś znajomy powiedział mu, że to baronowa ***, a za dwa dni tajemniczym jakimś sposobem dostała się do rąk jego jéj fotografia, którą dotąd przechowuje w poezyach hr. Hahn-Hahn!....

Więcéj nie dowiedział się Stefan od szczęśliwego marzyciela. Uważał on za stosowne nic mu nie mówić, bo sam jeszcze nie był pewny, czy to jest Paulina, czy tylko nadzwyczaj podobna do niéj osoba.

Dla siebie jednak wierzył, że to Paulina. Takiego wyrazu oczu, tych ust pełnych, gorączką spalonych nie mogła mieć inna kobiéta. Samo serce które na jéj widok nagle żywo uderzyło, mówiło mu że to ona.

Kiedy już spostrzegł, że krewny Hohenstauffów nic więcéj o swojéj nieznajoméj królowéj nie wié, udał się pod pozorem znużenia do drugiéj izdebki, aby tam na tapczanie wszystko to dobrze w głowie uporządkować i możliwe z tego nici dla swego najbliższego jutra wysnuć.

Najprzód uroił sobie całe zdarzenie w nieco poetycznéj barwie; miał bowiem zawsze skłonność do pewnéj, bajrońskiéj poezyi. Jeżeli mu się w życiu nie wiodło, lubił narzekać na świat i oskarżać go o brak serca i poezyi. Uważał siebie za ofiarę i zasiadłszy sam na trybunale, wytaczał przed samym sobą skargi i żałoby na świat podły i nikczemny, który lepszych uczuć ocenić nie umié!

Otóż teraz wyobrażał sobie, że Paulina prawdopodobnie za jakiegoś barona poszła, do czego mogła jéj dopomódz wielka scheda, jakiéj zawsze w miasteczku dla Gewontów oczekiwano. Mogła rodzina Radziwiłłów przyznać się do niéj i wrócić jéj mitrę kiążęcą. Wszystko to było prawdopodobném.

W takim razie uczuł Stefan żal do świata, że jest tak podłym i zepsutym. Scena w altanie stanęła mu żywo przed oczyma. Wtedy Paulina wyraźnie szeptała mu do ucha

najsłodsze słówka miłości.... a kiedy została bogatą i mitrę w herbie odzyskała, to zapomniała o nim a poszła za jakiegoś barona!....

Gdy sobie to wszystko Stefan wyobrażał i żywo tém się przejął, uwierzył w to i zaczął w duchu skarżyć się na los swój okrutny, na nieszczęśliwą gwiazdę, która ustawicznie wisi nad nim!

I tak był pewny że jego żal i skarga są słuszne, że byłby z najspokojniejszém sumieniem na nie przysiągł. Puścił więc wodze rozżalonemu sercu i oskarżał cały świat przed Bogiem!

Kiedy już temu uczuciu, z którego zawsze białym jak śnieg wychodził, zadość uczynił, zaczął powoli przypuszczać inne kombinacye, mniéj poetyczniejszego uroku.

Nic łatwiejszego jak w wielkich stolicach odgrywać pewne role. Ludzie nie znają się i ograniczają się przy znajomościach na pewnych, powierzchownych formach, O formy zaś te jest bardzo łatwo. Potrzeba do tego trochę talentu i jakiego takiego gruntu materyalnego.

Czyż Paulina nie mogła wejść na tę drogę? Czyż nie mogła talentem swoim, który ją tak wielce wyróżniał w małém miasteczku, odegrać zgrabnie téj roli, w jakiéj poznał ją Fichtenau?

A na takiéj drodze kto wié czém mogłaby być dla niego?...

Do téj myśli nawiązywało się wiele, bardzo wiele marzeń!... Stefan zaparł oddech, aby tych marzeń nie płoszyć, bo były nader ponętne, dziwaczne, zuchwałe!...

W obec tych myśli upadła wszelka poezya liryczna, bo Stefan pani baronowéj w takim razie wszystkoby darował!... Nie była ona już wtedy dla niego celem ale środkiem tylko, środkiem obojętnym, jakim jest koniec kija, którym pomiędzy błotem szukamy zaginionéj złotówki!...

A gdy całe pole tych marzeń obiegł, wrócił znowu do pierwszéj myśli.

Gdyby Paulina była w saméj rzeczy baronową... gdyby była wdową po jakim baronie, który nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności został jéj mężem... a była wdową bogatą, jeśli w eleganckim ekwipażu przejeżdża się po Praterze... wtedy... wtedy... i znowu zbudziła się w nim strona poetyczna, znowu wracał myślą do altanki, w któréj Paulina tyle pięknych rzeczy wyszeptała mu do ucha...

Tak na przemianę bawiąc się tém i owém uczuciem, zasnął Stefan na twardym tapczanie i prowadził daléj we śnie marzenia swoje... Widział bogate salony, widział Paulinę w atłasach i koronkach, klęczał u jéj nóg, przysięgał jéj miłość dozgonną, miłość gorejącą!...

Tymczasem na drugim tapczanie chrapał nader pospolicie krewny Hohenstauffów i przez dziwne pokrewieństwo myśli miał sny zupełnie podobne do snów Stefana z wyjątkiem tylko altanki. Zamiast altanki stał przed nim jakiś zamek średniowieczny z poszczerbionemi basztami, a na zamku powiewała czerwona chorągiew z trzema wilczemi zębami (herb Fichtenauów) na znak że pan zamku jest w domu. Przy bramie zamku był róg myśliwski zamiast dzwonka.

Gdy dzień rozświtał, stanął Stefan przed krewnym Hohenstauffów i rzekł mu, że prawdopodobnie za gościnność jego przyjdzie mu podziękować, gdyż dzisiaj właśnie oczekuje listów, które mogą go wyzwolić od roli służącego i przywrócić mu dawne jego stanowisko.

— Wielka szkoda—odparł poważnie krewny cesarzów— przyzwyczaiłem się do ciebie mój przyjacielu, a teraz tracę cię. Ale tak to zazwyczaj w świecie bywa. O czém nie myślimy, to nas prześladuje i odczepić się od nas nie chce, a jeśli choćby na chwilę tém się zajmiemy, to natychmiast ginie nam z przed oczu. Obawiam się, aby to samo nie stało się z moją baronową. Dotąd nie wiele o niéj myślałem, ale wczoraj rozgadaliśmy się i przez całą noc nie wyszła mi z głowy! Daję ci słowo, że może już ją więcéj nie ujrzę!. Taki jest los wszystkich naszych marzeń!...

— I ja nie odchodzę ztąd bez pewnego wzruszenia— wtrącił Stefan z ukrytym uśmiechem.

— Wierzę ci!—odparł biedny rycerz – feudalne czasy miały i tę zaletę, że sługę do pana a pana do sługi przywiązywały prawdziwą przyjaźnią. I ja coś czułem dla ciebie mój przyjacielu. A teraz znowu będę musiał nocą polować po ławkach parku, aby jaką ofiarę dzisiejszych doktryn upolować. Ale kogo upoluję, to nie wiem. Niektórzy dali mi się bardzo we znaki. Poeta wiele mi krwi napsuł, nim go w liberyę wpakowałem, a wysłużony tenor liryczny z opery sztudtgardskiéj, trzy razy na dzień upijał się jak geniusz nieoceniony!... Ty przyjacielu zostawiasz mi bardzo miłe wspomnienie. Umiałeś nosić moją liberyę, jakby na twoją miarę była robioną!

Krewny Hohenstauffów mówił jeszcze wiele, dawał Stefanowi różne skuteczne rady na drogę żywota i przyrzekł mu zawsze gotowe schronienie pod dachem i nocleg na tapczanie, jeźli nieszczęsne „doktryny wieku” wypędzą go znowu pod gołe niebo!

Stefan przyjął z wdzięcznością wszystkie rady, rozczulił się nad dobrém sercem starego dziwaka, a wziąwszy swój węzełek pod pachę, pożegnał swego dobrodzieja i gościnne poddasze.

W drodze do miasta ułożył sobie plan najbliższych kroków swoich.

Zaraz w pierwszym handelku starych, używanych rzeczy sprzedał swój zegarek, ostatni fundusz jaki posiadał. Z uzyskanych pieniędzy kupił na Grabenie w pysznym magazynie „prawdziwie angielski zegarek ze złota *Talmi*“ z łańcuszkiem i brelokami za trzy złote reńskie. Kupił sobie jasne rękawiczki, chustkę z chińskiego batystu i elegancką lornetkę. Resztę pieniędzy pozostałych, przeznaczył na pokoik w hotelu i kilka dni życia.

Gdy już wszystko sobie urządził i w pokoiku odległego hotelu swój węzełek umieścił, wyszedł na ulicę jak żołnierz,

któremu na dni trzy dano amunicyi i prowiantu, aby się przedarł przez linie nieprzyjacielskie.

Pierwszy dzień ubiegł bez najmniejszéj korzyści a prowiantu ubyło.

Stefan chodził przez dziesięć godzin po Praterze, po Grabenie i Kärntherringu, a baronowéj i jéj ekwipażu nigdzie nie spotkał. Zaglądał we wszystkie angielskie karety i francuzkie faetony, ale Pauliny nigdzie nie obaczył.

Tak samo spełzł na niczém dzień drugi i prowiant tegoż dnia spożyty został bez żadnéj korzyści!

Wreszcie nadszedł dzień trzeci. Wychodząc z domu westchnął Stefan do Boga, bo zdawało mu się, że Pan Bóg powinien mu w nieszczęściu jego dopomódz... Ale Pan Bóg jakoś nie usłyszał westchnienia jego, Stefan chodził długo, bardzo długo po najludniejszych ulicach i placach stolicy, a baronowéj nigdzie nie było!

Wreszcie już nad samym wieczorem, gdy z głową spuszczoną przerzynał tak zwany „*Opernring*,“ najechał na niego elegancki ekwipażyk tak, że ledwo z drogi mógł się ustąpić.

Stefan spojrzał z boku do powoziku i poznał—Paulinę!

Wszystka krew uderzyła mu do głowy... chciał coś powiedzieć... chciał wołać i krzyczeć... ale powozik pomknął już za daleko, a Paulina wcale go nie widziała!...

Skoczył w pierwszą lepszą dorożkę i kazał pędzić za powozikiem...

Przy rogu „Kärnthnerstrasse“ zatrzymał się powozik. Z otworzonych drzwiczek wysunęła się drobna nóżka, dotknęła się lekko ziemi i zniknęła pod szeleszczącą suknią, która powoli wsunęła się do sieni.

Stefan zatrzymał się przed domem, przeczytał numer i kazał się daléj podwieźć: tam wysiadł i piechotą puścił się ku niezabudowanym placom dawnéj „bastei.“

Zdaje się że czuł potrzebę świeżego powietrza. Chciał się ochłodzić, bo niespodzianka ta wzburzyła mu krew i przy-

śpieszyła mu oddech. Nogi drżały pod nim z jakiegoś dziwnego wzruszenia.

Wciągając w piersi chłodne powietrze wieczora, dziwił się wzruszeniu które go opanowało.

Po wielu latach, ujrzał dzisiaj kobietę, na którą dawniéj mało co zważał, któréj miłość odepchnął, a która dzisiaj wywołała w nim tak przyspieszone bicie serca?...

Cóż było tego powodem? Czy dlatego że ją ujrzał otoczoną dostatkiem i komfortem? Czy aureola bogactwa wywarła na nim taki wpływ magiczny?... Kobieta ta stała niegdyś przed nim w całym dziewiczym uroku, z oczami gorejącemi, z sercem kochającém, ale nie miała dla niego téj potęgi co teraz! Dzisiaj, po różnych kolejach losu, staje mu znowu w drodze ta kobieta, a jemu na jéj widok oddech zapiera się w piersiach!...

Była to może obawa niepewności, czy ją zastanie w takiéj sytuacyi, w jakiéj ją sobie życzył?... Dosyć, Stefanowi zdawało się, że bądź co bądź, będzie to zawsze ważny krok w jego życiu, krok od którego może najbliższe jego jutro zawisło!... A jutro to było już bez amunicyi, bez prowiantu!..

Już dobrze zmierzchać się zaczęło, gdy Stefan na róg „Kärnthnerstrasse“ powrócił.

Spojrzał w okna pierwszega piętra: były ciemne, tylko w dwóch skrajnych się świeciło.

Stefan ucieszył się, bo to oznaczało, że Paulina jest tylko sama.

Z bijącém sercem wszedł do sieni. Zapytał się stróża o panią baronowę i o jéj męża.

Stróż powiedział mu, że pani baronowa wprawdzie tu mieszka, ale pana barona nigdy nie widział.

Słowa te rozweseliły Stefana, słuchał on stróża z zapartym oddechem.

Powoli, odmierzonym krokiem, po rozścielonym kobiercu wszedł na schody.

Pociągnął za dzwonek.

— Czy jest pani baronowa... i czy przyjmuje?—zapytał młodéj służącéj.

Wiedeńka złożyła usta do figlarnego uśmiechu, pokazała mu swoje piękne, co jest w Wiedniu wielką rzadkością, ząbki, obejrzała go od stóp do głowy i zażądała karty wizytowéj.

— Proszę powiedzieć że dobry, dawny znajomy!—rzekł Stefan z przymilającym uśmiechem.

Uśmiech Stefana podobał się niemce, obróciła się jak fryga na pięcie i pobiegła po rozkazy.

Stefan stał przy progu z bijącém sercem. I znowu przyszło mu na myśl, dlaczego mu teraz tak niespokojnie serce bije, gdy ma stanąć przed oczyma téj saméj kobiety, do któréj niegdyś, zbliżał się zupełnie obojętnie?... Czy ten dywan już w przedpokoju rozpostarty, czyż ta atmosfera salonu, przez pół otwarte drzwi działa na jego nerwy?...

— Proszę—zawołała niemka z intrygującym uśmiechem—ale niech pan tutaj chwilkę zaczeka.

I wprowadziła go do salonu.

Salon był nadzwyczaj elegancki. Stare obrazy w ciężkich, złotych ramach wisiały na ścianach, przedzielały je lustra olbrzymie ze szkła weneckiego; meble z drzewa palisandrowego były kryte błękitnym aksamitem; kosztowny fortepian z otworzoną klawiaturą stał w kącie; adamaszkowe firanki przyćmiewały nader malowniczo cały salon: na etażerkach mnóstwo kosztownych fraszek a na parkietach olbrzymi dywan francuzki.

Stefan był oszołomiony. Atmosfera bogactwa i dostatków dziwnie wpłynęła na niego. Uczuł taką rozkosz, że za cenę téj atmosfery byłby ślepo oddał siebie na całe życie, bez względu na to komu!

I pozwolono mu dłuższy czas rozkoszować w téj atmosferze. Chodził po salonie, oglądał obrazy i rzeźby, przeglądał się w zwierciadłach weneckich i dziwném wydało mu się w téj chwili ubogie poddasze krewnego cesarzów i liberya wisząca na kołku...

Nagle zaszeleściała suknia... na progu zaczepiła się gdzieś... potrzeba ją było podnieść i okazać chiński pantofelek złotem haftowany... lecz wnet upadła suknia w naturalnych fałdach... a przed Stefanem stanęła—Paulina!

Czy to było skutkiem zmroku, czy nadzwyczajnego wzruszenia, Paulina stała chwilę w milczeniu.

Stefan także nic nie mówił. Po niejakiéj chwili dosyć spokojnie wyrzekła:

— Jeżeli się nie mylę... pan Stefan.

— Czekałem pierwszego słowa od pami—odpowiedział z widoczną boleścią Stefan—bo nie wiedziałem jak mnie pani po tylu latach powitać raczysz!

Paulina wyciągła drobną rączkę, która jednak była spokojna i zimna jak z alabastru.

— Witam pana serdecznie—rzekła powoli, jakby się namyślała co daléj powiedzieć.

Stefan wziął wyciągnioną rączkę i długi czas zatrzymał ją w swojéj dłoni.

Zdawało mu się, że ta rączka powoli rozgrzewa się i jak dawniéj... drzeć zaczyna.

— Dziękuję pani—odrzekł—rączka ta mała była dla mnie mówniejszą od ust!

Paulina w téj chwili ożywiła się, jakby dopiero z zadziwienia do siebie przyszła, a może być że miała inne powody do téj powściągliwości w słowach.

— Nie, panie Stefanie—zawołała z właściwą sobie żywością—nie bierz pan tego na karb mojéj niepamięci, bo ja niestety, niczego w życiu nie zapomniałam? Możeby lepiéj było, gdybyśmy wiele rzeczy zapomnieć mogli... ale nie tych, które się wiążą do naszych wspomnień dziecinnych!... Cóż pan tu porabiasz? Zkąd pan przybywasz? Co się z panem dzieje?... O będziesz mi pan wiele, bardzo wiele rzeczy miał do opowiadania! I bardzo pan dzisiaj dobrze trafił do mnie!... Proszę bliżéj.

Wyrzekłszy te słowa otworzyła drzwi i weszła do drugiego pokoju: za nią poszedł Stefan.

Był to mniejszy, ale z równą elegancyą urządzony salonik. Zdaje się, że w tym saloniku czyli raczéj buduarze najmiléj przebywała; widać po rozłożonych książkach i dziennikach, po zaczętych robotach kobiecych, że tutaj było miejsce jéj życia.

Stefan rozpatrzył się w tém niebie kobiecém, w którém ona tylko była królową. Całe urządzenie było zastosowane do tego: adamaszek na meblach był koloru płowego, aby nie przyćmiewał jéj wdzięków; tapety były także blade, aby korzystnie mogły służyć za tło; firanki u okien miały kolor czerwono-brunatny, aby ożywiały padające światło i cały koloryt czyniły ciepłym; kilka wazoników kwiatów napół rozkwitłych stały na małym stoliczku.

Paulina usiadła na sofie a Stefanowi wskazała najbliższy fotel.

Na stole świeciły się trzy świece w kandelabrze.

Teraz mógł Stefan dobrze przypatrzyć się Paulinie.

Twarz jéj nie zmieniła się wiele, były jednak na niéj ślady sztuki. Płeć stała się delikatniejsza, oczy były trochę podmalowane. Gęste, czarne brwi zostały te same i oczy piwne miały tę samą barwę i ten blask co dawniéj, tylko wyraz ich zmienił się trochę. Za to włosy uległy zupełnéj przemianie, tworzyły one arcydzieło sztuki fryzyerskiéj: nad czołem i nad skroniami rozsypywały się w drobne loczki jak puch przezroczysty, potém zbitym szeregiem pięły się mocno do góry, zkąd znowu w bezładnych kędziorkach z grubego węzła spadały jak kaskada na szyję. Ramiona były napół obnażone i jaśniały pełnością kształtów aż do rąbka żółtawego szarawanika, który okrągłą linią odcinał się od białego ciała.

Paulina również patrzała w téj chwili na Stefana. Zmienił on się znacznie przez te trzy lata: zmężniał i nabrał w twarzy jakiegoś energiczniejszego wyrazu; zawsze jednak był bardzo przystojnym mężczyzną, a nawet kilka fałdzików na roztropném czole, które te trzy lata tam zaznaczyły, dodawały mu pewnego uroku myślącego człowieka.

— Lękam się uczynić panu jakiekolwiek zapytanie — ozwała się po niejakiém milczeniu Paulina—bo nie zawsze radzibyśmy usłyszeć odpowiedzi, których się nie spodziewamy!

— Zdaje mi się—odrzekł Stefan—że właśnie doświadczenia życia powinny nas zahartować!

— Prawda,... ale dobrze zahartowane żelazo nazywa się... sztyletem!

— Przebóg! — przerwał z uśmiechem Stefan,— przecież pani nie zechcesz być nim w téj chwili!

— A ja właśnie obawiam się tego od pana!—z takim samym uśmiechem odparła Paulina.

Po tych słowach nastąpiło chwilowe zawieszenie broni. Paulina prawdopodobnie miała powody które kazały jéj unikać wszelkich zwierzeń. Dla tego może lękała się czynić Stefanowi zapytania, które pociągałyby za sobą obowiązek wzajemności; Stefan zaś z prostéj przyczyny lękał się pytać, bo odpowiedzi Pauliny mogłyby mu popsuć niejedno marzenie... Przeciągał więc chwilę niepewności, bo strach go zbierał, gdy mu się wszystko odsłoni!

Ale wszystko ma swoje granice, a tém bardziéj milczenie między dwojgiem młodych ludzi.

— Powiedz mi pan najprzód—ozwała się Paulina —czyś pan żonaty, czy wdowiec, czy narzeczony?...

— Ja żonaty... czy wdowiec?..—odpowiedział z ironicznym uśmiechem Stefan—a jakżeby się to stać mogło? Czyż dzisiaj kobiety kochają?...

Paulina lekko westchnęła, uszczknęła z bukietu, który stał na stole mały listek i odrzekła:

— Kobiety bez miłości żyć nie mogą: albo kochają prawdziwie, albo wmówią w siebie że kochają! Mówię to panu z doświadczenia, bo byłam—mężatką!

— Pani *byłaś* mężatką? —z widoczną radością zapytał Stefan.

Paulina rozskubała listek w drobne strzępki i przypatrując się tym strzępkom odrzekła:

— Jakto? Czy pan nie wiedziałeś o tém?... Jakże bez zamążpójścia mógłeś mnie pan zastać w takiém położeniu?... Oto jest portret mego nieboszczyka męża!

Mówiąc to wskazała na medalionik na szyi.

Stefan spojrzał na medalionik i przypomniał sobie, że przed wielu laty na téj saméj szyi, podziwiał misterną broszkę z herbem Radziwiłłów... przypomniał sobie, jak różane paluszki Pauliny tę broszkę odejmowały z tego pięknego biustu...

Stefan rzucił pobieżnie okiem na jakąś pyzatą twarz mężczyzny i cofnął w tył głowę aż do poręczy fotelu; westchnął głęboko i załamał w końcu ręce.

— Są ludzie — rzekł patetycznie — którym już od kolebki gwiazda nieszczęścia świeci! Ci ludzie nadaremnie walczą z losem, nadaremnie odpierają od siebie fale nacierającego nieszczęścia; nadaremnie kryją się przed jego grotem: muszą popaść w jego paszczę! Ci ludzie tracą wiarę!

— Więc pan byłeś dotąd nieszczęśliwym w miłości! — zauważyła Paulina, a jéj spalone usta zadrgały skrytym uśmiechem zadowolenia.

— Powiedz pani raczéj, że nigdy jéj nie znalazłem!

— To być nie może! Mówią poeci, że każdemu człowiekowi bije raz w życiu godzina szczęścia! Czyż pan jéj nigdy nie słyszał? Czy nigdy nie doleciał pana jéj dźwięk do ucha?

Wymawiając te słowa pochyliła się naprzód, tak że mógł uczuć na twarzy, jéj gorący oddech.

— Zdawało mi się kilka razy — odpowiedział smutno Stefan — że słyszę dźwięk téj godziny... ale okazało się że biła, tylko nie dla mnie!

— Nie mówisz pan szczerze! — rzekła Paulina i uderzyła go urwaną gałązką heliotropu po ręce — nie jesteś pan szczerym, a przecież ja o tém mogę bardzo dobrze wiedzieć!

— Nie przeczę, że pani wiesz o tém! — odparł Stefan i zadumał się.

— Ależ pan inaczéj sobie miłość pojmował!

— Każdy człowiek rodzi się z pewną organizacyą serca, według któréj tak lub owak na świat się zapatruje!

— Serce jest jedno i to samo u wszystkich, podobne do igły magnetycznéj, która zawsze w jedno miejsce wskazuje; ale my fałszujemy kierunek tego magnesu, otaczając go kruszcem!...

Stefan uśmiechnął się z ironią Bajrona.

— Świętą prawdę pani wyrzekłaś—odpowiedział—tylko że ta prawda nie może być przeciw mnie skierowaną; przeciwnie, jabym mógł oskarżać innych o sfałszowanie tego świętego magnesu...

— Czyż tak wiele rzeczy z życia swego pan zapomniałeś?

— Wolałbym zapomnieć!... Ale bolesne zawody mają tę właściwość, że długo, bardzo długo nie mogą się zgoić! Tém trudniéj, im gorętsze uczucie je wywołało!...

— Pau umiesz sam siebie idealizować... Znałam malarza, który miał passyę malować swoje portrety *en beau*, przez co nigdy go poznać nie mogłam!

— Pani mnie także nie poznaje... nie gniewam się za to, nie znasz bowiem dziejów moich!

— Dzieje te były prawdopodobnie tylko w marzeniach!

— Kilka ostatnich rysów tylko rzucę pani... Żal po stracie mego ojca był tak wielki, że nie mogłem ani chwili dłużéj pozostać w mieście rodzinném, gdzie każdy kamień przypominał mi dziecinne, rozkoszne lata i opiekę kochających rodziców, którzy mi wszystkiém byli na świecie!

Paulina milczała i uszczknęła z bukietu mały, błękitny kwiatek.

— Chciałem się więc oderwać jak najprędzéj od tego miejsca—mówił daléj z boleścią Stefan—chciałem uniknąć nawet widoku tych ludzi, którzy mi szczęśliwę czasy przypominali, i z rozdartém sercem sprzedałem dom rodzinny i wyruszyłem w świat daleki, aby tam szukać choć w części tego, co tam utraciłem, szukać serca, które kochać jest zdolne!...

Błękitny kwiatek uległ temu samemu losowi co dawny: strzępki z niego spadły na ziemię.

— I tego serca nie znalazłeś pan nigdzie?—zapytała z lekkiém westchnieniem Paulina.

— Tego serca nie znalazłem nigdzie! — wygłosił z emfazą Stefan.

Lekki uśmiech zaigrał na spalonych ustach Pauliny.

— I gdzież pan go szukałeś—zapytała po chwili.

— Szukałem go wszędzie, gdzie tylko myślałem, że go znaleźć mogę. Szukałem go w salonach stolicy, szukałem w wiejskim domku, w romantycznych wycieczkach u wód... i wszędzie dowiedziałem się, że ten święty magnes, jak się pani wyrażasz, nic prócz kruszcu nie potrzebuje, nic innego przyciągnąć go nie może!...

— Ach ten kruszec!—westchnęła Paulina.

— Wtedy powiedziałem sobie, że muszę mieć ten kruszec. Najprzód spróbowałem drogi najkrótszéj, byłem czas niejaki w Homburgu: fortuna nie sprzyjała mi; potém wałęsałem się czas niejaki po większych stolicach Europy i szukałem tam różnorakich dróg do szczęścia, i znalazłem je wszędzie zamknięte!... Dzisiaj przybyłem tutaj, a jakaś szczęśliwsza gwiazda pozwoliła mi ujrzéć panią...

Paulina długie wejrzenie utopiła w jego twarzy. Jéj usta drżały jakąś myślą, którą jeszcze w głębi duszy ukrywać chciała; a myśl ta była słodka i rozkoszna, bo oczy jéj zapalały się coraz więcéj...

Stefan patrzał w te oczy piwne i gorejące. Twarz jego wyrażała boleść i żal, jaki miał w téj chwili do całego świata, a może i do siedzącéj naprzeciw niemu kobiety!

Piękny biust Pauliny podniósł się lekkiém westchnieniem, spuściła oczy do ziemi i długi czas milczała; Stefan milczał także, jakby wyczekiwał jakiéjś odpowiedzi na ostatnie słowa swoje.

Odpowiedź ta wkrótce nastąpiła.

— Więc pan to nazywasz szczęśliwą gwiazdą—rzekła powoli podnosząc na niego wzrok powłóczysty—żeś mnie

znowu w życiu spotkał!.. Szkoda, że ta szczęśliwa gwiazda wtedy zeszła nad panem, gdy już w ludzi i w serce wierzyć przestałeś!

— Ludzie i ich serca stały się tego przyczyną!

— Ludzie i serca?... Wszak ja to samo mogłabym powiedziéć! Gdy mnie serce moje po raz pierwszy zawiodło, o czém pan prawdopodobnie nie zapomniałeś, to nie przeklęłam całego świata, jak to pan w téj chwili czynisz, ale sądziłam, że zawód mój był tylko pomyłką, a moje szczęście może jeszcze gdzieś być na szerokim świecie, które sobie samemu znaleźć potrzeba!... Wyszłam w świat szeroki... czy pan dowiedziałeś się o tém?

— Nic nie wiedziałem: byłem wtedy zagranicą odcięty od wszelkich stosunków dawnych!

Paulina zamyśliła się chwilkę: widoczne zadowolenie przemknęło po jéj twarzy.

— W świat szeroki—mówiła daléj—wzięłam z sobą wiarę w ludzi jako jedyny i najdroższy mój klejnot! Zdawało mi się, że kobiéta wstępnym bojem może sobie szczęście zdobyć. Dotychczasowe osamotnienie moje przypisywałam ciasnym granicom, jakie nam społeczeństwo nakreśliło. W tém pogwałceniu praw naszych widziałam źródło wszystkich nieszczęść, jakim obecnie kobiéta podlega. Obyczaj wiekowy, średniowieczny zagrodził jéj drogi do szczęścia, a szczęście samo najczęściéj do niéj przyjść nie chciało! Z oburzeniem na ten obyczaj, z żądzą walki przeciw ograniczeniu naszych praw, wyszłam w świat z najczystszém pragnieniem szczęścia, a jedynym posagiem moim było serce, serce pragnęło kochać i być kochaném!... Tyle bo naczytałam się, że kobieta jest ideałem życia... Chciałam komuś być tym ideałem i sądziłam, że na szerokim świecie pomiędzy tysiącami przecież znajdę kogoś, komubym tym ideałem być mogła!... Pracując w początkach krwawo na kawałek chleba poświęcałam całe bezsenne nocy, aby wykształceniem zbliżyć się do tych heroin, o których tyle czytałam! Przy ognistéj żądzy wyrównania im, przyswoiłam sobie w nader kró-

tkim czasie tyle wiedzy i nauki, do któréj inni lat potrzebują!... Widzisz pan, czytam i mówię po francuzku, gram na fortepianie, a nawet mogę lepszą kopię z jakiego znakomitego obrazu zrobić, od niejednéj uczennicy Ouwerbecka!...

Paulina umilkła tutaj na chwilę i spojrzała z uwagą na Stefana; pótem ciągnęła daléj:

— I cóż tém wszystkiem osiągnęłam? Owe dumne marzenia zbuntowanéj kobiéty, która praw swoich od społeczeństwa domagać się chciała, rozbiły się o jéj nieudolność walczenia, gdyż ona do walki nie jest stworzoną!... Tysiące przeszkód znajduje ona na arenie życia, o których najmężniejsi szermierze ani wyobrażenia nie mają!... Walka i kobiéta to są rzeczy wprost sobie przeciwne... Ona walczyć skutecznie może tylko swoją biernością, aureolą męczeństwa, łzami ofiary, to jest bronią, jaką walczą zazwyczaj i zwyciężają najświętsze idee! Wszystko inne jest mrzonką! Na tém bowiem tylko polu jest kobiéta niezwyciężoną, jest zwycięzcą; na tamtém prócz cierni nie kwitną dla niéj żadne róże! W nieszczęściu bywa czasem i złudzenie szczęściem, a śród rozczarowań nie masz go więcéj!

— Więc i pani byłaś nieszczęśliwą?—zapytał z lekkiém westchnieniem Stefan.

— Z wiarą w szczęście zbliżyłam się do świata— mówiła daléj Paulina—i wierzyłam ludziom. A ludzie mówili mi słodkie słówka, okazywali mi na dłoni serce swoje... ale przekonałam się, że to była tylko obłuda a nic więcéj!.. Byli to egoiści, którym nie chodziło wcale o szczęście moje, bo szczęście moje to było dla nich zbyt droga zapłata za ich szczęście!.. I szły szeregiem rozczarowania za rozczarowaniami; *sercem* jedynie szczęścia zdobyć nie mogłam! Postanowiłam więc sobie zamiast rozkoszy miłości, zdobyć spokojny kawałek chleba. Człowiek już wiekowy, który również jak inni zrazu chciał mnie tylko pozorami łudzić, skłonił się wreszcie uklęknąć ze mną w obliczu Boga i dać

mi nazwisko swoje i prawowitą opiekę. Dzisiaj już on nie żyje...

Paulina zamilkła przy tych słowach i długiemi rzęsami przykryła piwne oczy swoje; Stefan odetchnął pełną piersią: potoczył okiem po bogatych sprzętach salonu i zadumał się.

— Walka kobiéty ze światem—mówiła po chwili Paulina—jest dla jéj serca nader niebezpieczna. Są kobiety, które żądają dla siebie téj walki jako zrabowanego im prawa, jako wydartego im przywileju. Nierozsądne! W najlepszym razie już sam przebieg téj walki, choćby zwycięztwem uwieńczony, przynosi z sobą tyle rozczarowań bolesnych, że zwycięztwo to staje się w końcu istną przegraną! Do tego kobieta, odziana białą szatą kapłanki życia, gdy się raz tylko przez tłum przeciśnie, zbruka tę szatę, o któréj słusznie czy nie słusznie twierdzą, że się już wyprać nie da!..

— Więc owe rozczarowania śród walki były i dla pani tak okrutne?...

— Były one okrutne, ale wyznaję panu, że mimo to nie straciłam wiary w ludzi!

Stefan uśmiechnął się; po chwili odrzekł:

— Niekażdy ma to szczęście być policzonym do wyjątków.

— Wiara moja w ludzi—mówiła Paulina—wraca najczęściéj, gdy wracam myślą do moich lat najmłodszych... do mojéj poczciwéj babki... do mego ogrodka... mojéj altanki...

Stefan posunął ręką po czole, jakby się niepokoił: twarz jego wyrażała wzruszenie.

— Te wspomnienia—ciągnęła daléj żywo Paulina—napawają mnie jakiémś nieokreśloném szczęściem, zdaje mi się wtedy, że całe od tego czasu życie moje odkroiło się odemnie jak tynk narzucony i odpadło, a ja znowu jestem tą samą, pragnącą lepszych uczuć Pauliną co dawniéj...

Pierś Stefana podniosła się głębokiém westchnieniem. W jego szafirowych oczach zamigotało światło ciche i spokojne jak światło wschodzącéj jutrzenki!

— Wierzaj mi pan—mówiła z namiętnością Paulina i chwyciła silnie Stefana za rękę—wierzaj mi pan, gdyby mi ktoś mógł wrócić owe szczęśliwe chwile moje, gdyby do tych chwil urwanych nawiązał dla mnie nowe życie, nowe szczęście, zapomniałabym o tém wszystkiém, co między owym czasem a dzisiejszym zaszło w duszy mojéj, zapomniałabym o wszystkich przebytych rozczarowaniach, darowałabym światu wszelkie nieprawości i widziałabym wszystko w dawnéj różanéj atmosferze!..

— Ach pani!—przerwał Stefan z żywością—jeżeli już dla pani powrót szczęścia ma tyle uroku, jakże wielkim byłby ten urok, gdyby z tém szczęściem łączyło się szczęście drugiego czlowieka?..

Stefan mówił te słowa szczerze i wierzył w to co mówił. Widok możliwego szczęścia zarysował się przed nim, a to szczęście mogłoby mu służyć przynajmniéj za port wypoczynku po różnych przygodach...

— Szczęścia dla siebie saméj nie pojmuję—żywo odpowiedziała Paulina trzymając ciągle Stefana za rękę—a jeśli o niém mówię, to mam zawsze na myśli tego, z którymbym to szczęście podzielić mogła...

Stefan uczuł teraz lekkie drżenie ręki Pauliny a nawet niewyraźny uścisk. Niewyraźny uścisk odwzajemnił zbyt wyraźnym i właśnie chciał coś powiedzieć w dodatku do tego uścisku, gdy Paulina przerwała:

— Szczęście moje, które sobie wyobrażam, byłoby tak wielkie, że z wielką ochotą zrzekłabym się dla niego wszelkich dzisiejszych dostatków, które mnie otaczają!

Niejakie zadziwienie malowało się na twarzy Stefana.

— Dlaczegoż miałabyś pani zrzekać się dostatków?—zapytał powoli, jakby obawiał się odpowiedzi.

— Dlatego, że te dostatki w téj chwili nie są moje!—odpowiedziała spokojnie Paulina.

— Te dostatki nie są pani?—powtórzył dziwnym głosem Stefan i cofnął rękę swoją.

Uśmiech szyderczy zaigrał na spalonych ustach Pauliny. W piwnych oczach zabierało się coś na błyskawicę z gromami... ale skończyło się na nieszkodliwém błyskaniu.

— Te dostatki—odrzekła z pewnym spokojem wymuszonym, mogą być moje, a nawet mogą być i większe, jeżeli nie najdzie mnie ochota, wrócenia do moich dawniejszych marzeń!..

— Czémże są dawniejsze marzenia bez... bez...

— Bez dostatków! chcesz pan powiedzićć—dokończyła z ironicznym uśmiechem Paulina.

— Nazwałbym to potrzebami życia!—odparł Stefan i posunął swój fotel na środek pokoju.

— Potrzeby życia, to wyrażenie zbyt względne. Dla jednych dwa pokoiki na trzeciém piętrze pokrywają zupełnie potrzeby życia, dla innych trzeba salonów pierwszopiętrowych! Zdaje mi się że to od tego zależy, w czém się urodziliśmy!

— Nie zgodziłbym się na to; zależy to od tego, do czego dłuższém życiem przyzwyczailiśmy się!

— Są czasem przyzwyczajenia fałszywe!

— Być może, ale rzecz przeto pozostaje niezmienną. Przyznam się, że jakkolwiek urodzenie moje nie daje mi pretensyi do wyższych potrzeb życia, jednak przyzwyczajenie i kierunek wykształcenia mego, czyni mi te potrzeby niezbędnemi!..

— A mnie się zdaje, że im więcéj nauki i wiedzy nabywam, tém łatwiéj mogłabym znieść brak tego komfortu, który mnie dzisiaj otacza, byle w zamian zyskałam inne szczęście...

Stefan odsunął jeszcze daléj swój fotel tak, że go już więcéj Paulina za rękę ująć nie mogła.

— To są tylko marzenia sielankowe—odpowiedział z suchym uśmiechem—które nas wtedy tylko nachodzą, gdy nie jesteśmy głodni i spragnieni!.. Niegdyś sielanka tylko w salonach z zapałem uprawianą była, jak to nas uczy histo-

rya literatury! Poeci w perukach i jedwabnych pończochach po obiedzie z wykwintnemi bakaliami, czytali dla konkokcyi bukoliki i deklamowali czułe dyalogi między Daphną i Filis, garnirowane sérem i owczem mlékiem!..

Paulina podparła rączką piękną głowę i piwne oczy do połowy nakryła czarnemi rzęsami. Z pod tych rzęs jednak strzelał jasny promień i padał wprost na twarz Stefana, z któréj nagle ustąpiło dawniejsze wzruszenie, a natomiast osiadła zwyczajna, codzienna obojętność...

Trudno było poznać czy Paulina była z tego zadowolona, czy zasmucona. Miała ona w téj chwili twarz spokojną o pięknych marmurowych kształtach, a w oczach był więcéj wyraz badawczy, niżeli żalu lub zawodu...

— Może masz pan i słuszność, ozwała się po długiém milczeniu—my kobiety kierujemy się zazwyczaj wrażeniami chwili...

— Gdybym również wrażeniom chwili podlegał—odparł Stefan—usłyszałabyś pani odemnie w téj chwili wcale inne słowa...

— Ale mimo téj różnicy zdań naszych co do wrażeń chwilowych, pozostaniemy zawsze w przyjaźni!..

— Właśnie to samo powiedziéć chciałem...

— *Voilà! Les beaux esprits se rencontrent!*— zawołała z czarującym uśmiechem Paulina— i z wdziękiem artystki podała mu drobną rączkę, którą Stefan szczerze, chociaż nie z tém co dawniéj uczuciem uścisnął.

Był to dziwny fakt jakiegoś obopólnego porozumienia, któremu nie dano słowem nazwiska, a do którego skrycie oboje dążyli po niektórych wzajemnych wyjaśnieniach.

W téj chwili przyszła Niemka z figlarnym swoim uśmiechem, trzymając w ręku kandelaber z dwiema świécami.

— *Der Herr Baron!*—rzekła do Pauliny—a resztę dopowiedziały oczy.

— Ach znowu przychodzi mnie nudzić! — gniewnie ozwała się Paulina—ale niech pan się zatrzyma kilka chwil. Barona pozbędę się prędko, tłumacząc się migreną, a potém

wypijemy razem herbatę i zjemy wieczerzę, przyczem opowiem panu o tym baronie!

Stefan powstał szybko z fotelu. Wizyta zapowiedziana popsuła mu jakoś chwilową illuzyę. Ponieważ jednak dzień jutrzejszy zagrażał mu brakiem wszelkiéj amunicyi do walki życia, nie miał innego wyboru, jak zastosować się do życzeń Pauliny.

Niemka z figlarnym uśmiechem i kandelabrem stała już przed nim, aby być jego gwiazdą przewodnią. I poprowadziła go ta gwiazda przez dwa pokoiki do trzeciego i tam na stole świecznik postawiła. Wskazawszy na stolik, na którym leżały rozłożone dzienniki, życzyła mu przyjemnéj zabawy, i zostawiła w dodatku swój figlarny uśmieszek.

VII.

Hieroglify.

Gwiazda Stefana weszła widocznie dzisiaj w inną konstellacyę. Takie przynajmniéj miał mniemanie, gdy się ujrzał w tym pokoiku odosobnionym.

Chwilowy wypoczynek, w którym mógł pozbierać i uporządkować nawał cisnących się mu do głowy myśli, był dla niego w téj chwili wielkiém dobrodziejstwem.

Najprzód więc chciał się rozpatrzyć w pokoju, w którym go teraz osadzono.

Był to mały pokoik, ale z równą co i tamte elegancyą urządzony. Kilka widoków w stylu Salwatora Rosy wisiało na ścianach. Olbrzymie zwierciadło z misterną rzeźbą przedzielało je w środku. Pod zwierciadłem była mała konsolka, na któréj stał złoty zegar pod szklaném nakryciem.

Przed małą sofką, wełnianym adamaszkiem obitą, stało zamiast stolika, wykwintne biórko palisandrowe z różnemi rzeźbami. Na biórku stał kałamarzyk z fijołkowym atramentem, obok niego leżały pióra i ołówki w różnych kolorach. Daléj pod bronzowym lwem był papier listowy i koperty. Na pułce leżał lak i opłatki różnokolorowe. Oprócz

tego leżały książki na pół porozcinane, a na stoliku pod oknem były najświéższe dzienniki francuzkie.

Stefan z tych wszystkich rzeczy jakby z hieroglifów jakich chciał coś stworzyć, chciał coś odczytać. Mówią że urządzenie mieszkania charakteryzuje człowieka. Cóżby więc to wszystko oznaczać miało? Cóż naprzykład znaczy ten filigranowy kałamarzyk z atramentem fijołkowym, te dwie rączki do piór, misternie z kości słoniowéj rzeźbione? Do czegoż może służyć ten materyał, który lew z otwartą paszczą przyległ jakby tam strzegł Bóg wié jakich skarbów? Cóż za tajemnice zwykł pieczętować ten lak purpurowy?..

Stefan łamał sobie czas niejaki głowę nad temi hieroglifami, ale nic nie mógł ułożyć. Odkrywszy jednak za jakąś książką illustrowaną pudełko z cygarami, dał pokój hieroglifom, a tymczasem zapalił sobie cygaro, którego dymek był tak wonny, jak nigdy!

Z zapaloném cygarem usiadł swobodnie na sofie, aby zebrać sobie w głowie wszystkie główniejsze wrażenia i myśli dnia dzisiejszego.

Najprzód ogarnęła go rozkosz nieopisana, gdy sobie przypomniał, że przed kilkoma dniami miał tylko ubogi tapczan do spoczynku, a dzisiaj otoczony jest zbytkiem wybrednym, w którymby i sam krewny Hohenstauffów mógł z pewnością rozkoszować!..

Zbytkowne te rzeczy należą do osoby, któréj życie wprawdzie jest tajemnicze, jak to się nieraz w wielkich miastach wydarza, ale osoba ta jest dla niego dzisiaj ową nicią Aryadny, która go powoli z labiryntu dzisiejszego życia może wyprowadzić na polankę upragnionego szczęścia!..

Wprawdzie pierwsza, więcéj instynktowa niżeli rozsądna myśl nie udała mu się, bo dostatki téj osoby mają pewne warunki, ale mimo to, przecież nie jest już tak samotny w nieznanéj mu stolicy!..

Kiedy właśnie wpadł myślą na te warunki tajemnicze, wiążące się do dostatków Pauliny, zatrzymał się dłużéj nad tą myślą.

Jakież to mogły być te warunki? Czy jaki możny bankier otoczył ją tutaj temi dostatkami, aby mieć chwilę wytchnienia i poezyi, gdy się giełda zamyka? Czy może jaki marnotrawca, rozrzucając majątek ojcowski, hula sobie w ten sposób w tém mniemaniu, że to znaczy kochać i serca kobiece podbijać? A może jaki starzec, obarczony liczną rodziną, śród trosk rodzicielskich chce gwałtem wrócić do wspomnień swoich młodych i zdaje mu się, że te wspomnienia wrócą się i staną rzeczywistością, jeśli patrzyć będzie w piwne oczy młodéj kobiéty?

Różnorakie myśli przechodziły przez głowę Stefana, ale żadnéj nie zatrzymał na czas dłuższy. Wszystkie wydawały mu się nieprawdopodobne. On chciał wierzyć, że Paulina jest inną, bo tego potrzeba mu było dla siebie samego. Ona w téj chwili była dla niego jedyném ogniwem, o które nową fazę swego życia mógł zaczepić. Nie było mu więc obojętném, jakie było ogniwo, bo od tego zależało dalsze jego powodzenie na świecie, którego tak gorąco pragnął!

Tworzył więc sobie dla przepędzenia czasu najrozmaitsze tajemnicze historye. Być może, że syn jakiego znakomitego domu, ukochał ją i tymczasem otacza tutaj dostatkiem, zanim gniew okrutnego ojca, może znowu jakiego krewnego Hohenstaufów, przełamie!..

Tu znowu zarysowała mu się jeszcze dziwaczniejsza historya. Może jakaś wysoko w hierarchii społeczeństwa położona osoba połączyła się z Pauliną związkiem morganatycznym i tu w ukryciu tych grubych murów zgotowała sobie raj ziemski, aby w nim od czasu do czasu odetchnąć czyściejszą atmosferą dla serca, niżeli tą, jakie mają wysokie pałace?..

Takie i tym podobne myśli przechodziły mu przez głowę, podczas gdy wonny dym z amerykańskiego cygara unosił się w najrozmaitszych postaciach po całym pokoju.

Gdy właśnie pochylił się nad biórkiem, aby na popiół z cygara stosowne miejsce wynaleźć, spostrzegł że papierowa

podkładka była zapisana różnemi słowami, cyframi i figurami, jakby tutaj ktoś pióro, atrament lub ołówek probował.

Zwrócił na te niespostrzeżone dotąd hieroglify uwagę. Jeżeli to były proste próbki pióra i atramentu, to były zawsze ciekawe. W takich próbkach zdradza się często myśl piszącego pomimo jego woli. Z pióra wychodzą wtedy najczęściéj słowa, które objawiają myśli, jakie właśnie w téj chwili pracowały w głowie piszącego. Wychodzą wprawdzie w aforyzmach, ale z aforyzmów tych czegoś dowiedziéć się można, tak samo jak z pozostałych ułamków skulptury egipskiéj odczytują się dzieje.

A były to rzeczywiście hieroglify egipskie. Obok luźnych słów, stały rysunki koni, psów i kotów. Obok liczb były ludzkie głowy tak wybitnie naszkicowane, jakby były portretami!...

Stefan zaczął się bliżéj przypatrywać tym nowo odkrytym hieroglifom.

Widoczném było, że wiele rąk składało się na nie. Charaktery pisma i rysunków były odmienne. Również nie wszystkie w jednym czasie były wykonane.

Najprzód kilkakrotnie grubemi literami było wypisane: „Pauline“. Czasami do tego imienia dołączona była winieta składająca się z kwiatów i liści, lutni i nut. Widać było że wprawna w rysunku ręka rysowała te winiety... Potém następowały po francuzku i niemiecku różne aforyzma, które przetłumaczone na polskie znaczą: „Miłość bez serca czy serce bez miłości“, „Dusza kobiéty to cytra, na któréj grają struny metalowe“... odmienném, nader drobném pismem, stało: „Wolna żegluga na Dunaju musi być uważaną jako kwestya europejska“, „Przymierza Napoleona prowadzą do wojny, a wojny z nim prowadzą do przymierzy“... Daléj uwieczniły się jakieś prywatne interesa piszącego: „Anna niesłusznie mnie ocenia, któż temu winien jeżeli nie on?“ „Szkoda mego afektu, z tych akcyj nie odetnę żadnego kuponu“... „Listy kredytowe spadły o dwa procent“... Za tą giełdową sprawą był odmienném pismem jakiś rachunek

jakby budżetu państwowego, bo złożony był z samych prawie milionów i zsumowany nadzwyczaj starannie.

Oddział artystyczny zajmował dosyć wiele miejsca. Wyróżniała się między innemi jedna nader wprawna ręka. Były to szkice koni, drzew i głów ludzkich. Inni jak widać, naśladowali tylko tę rękę, ale dosyć nieudolnie. Osobliwie jedna karykatura, jak się zdaje, osoby znanéj i publicznéj, znalazła bardzo wielu amatorów. Powtarzano ją w rozmaite sposoby, z rożnemi dodatkami, a w końcu nawet podpisano pod nią pewne litery, które tę osobę oznaczać miały.

Gdy Stefan to wszystko należycie przejrzał, zamyślił się głęboko.

— Cóż mogą te aforyzma tutaj oznaczać?—zapytał w duchu—czyja ręka nakreśliła je tutaj? Czy byli to ludzie podobni do mnie, którzy tutaj czekając z niecierpliwości kreślili różne zygzaki, pisali bezmyślnie słowa i aforyzmy, albo rysowali te zwierzęta i karykatury?.. Jacyż to ludzie mogliby być? Bankierzy, artyści, politycy a może... i ze sfer układających budżety?..

Stefan powstał i szerokim krokiem zaczął się przechadzać po pokoju.

Obraz Pauliny zaćmił się mocno w jego oczach...

Coś go wewnątrz drasnęło i zaniepokoiło. Był to zabłąkany instynkt naturalny... instynkt który bezmyślnym zwierzętom nie każe zbliżać się do ziół szkodliwych...

I być może, że tego instynktu usłuchałby Stefan, gdyby mu nie groziło srogie *jutro!*

Był bez jutra, nic nie uczynił czemby sobie to jutro mógł zabezpieczyć... jakiż miał wybór dzisiaj?.. Cóż miał jutro z sobą zrobić?

A w téj chwili przyszły mu złote słowa mistrza do pamięci, który wyraźnie mówił: że człowiek bez jutra tem jest wyższym od człowieka chowającego się do małéj skorupki, że nie podlega owym nieracyonalnym oscyllacyom sumienia, o co już Augustyn św. skarżył się! Człowiek walczący o swoje jutro, nie ma do wyboru pomiędzy środkami, jakie-

mi to jutro zdobywa. A w tém właśnie zależy sekret szczęścia, aby nie być wybrednym i tkliwym w wyborze tych środków!

Stefan przypomniał sobie to wszystko i uznał, że były to rady bardzo praktyczne!

Podgarnął włosy i stanął przed biórkiem, aby jeszcze raz te hieroglify przejrzéć!

— Hm! — rzekł do siebie—jak widać są to ludzie pewnego wpływu. Może to właśnie do mego szczęścia należy, że te wpływy za pomocą Pauliny uzyskam!.. Cóż na tém zależy, jakiemi drogami szczęście do nas przychodzi, jeżeli tylko przyjdzie?..

Po chwili rozjaśniła się twarz jego, skrupuły znikły, a przyszłość była przed nim różowa!

Przeszedł się kilka razy, a w krokach jego było widać pewną otuchę.

Teraz, mając już niejako prawdziwą sytuacyę Pauliny, jak mniemał, przed sobą, zaczął się nad tém zastanawiać, jak go ona przyjęła.

Zdawało mu się, że z razu zaniepokoiła się jego widokiem. Towarzysz taki lat jéj dziecinnych, jakim był Stefan, mógł być dla niéj niewygodnym w stolicy. Być może, że ona pewną tajemnicą pokryła tutaj przeszłość swoją, a on mógłby czasem wymówić się... Z tego wypływało, że potrzeba jej jego sojuszu, a z tego położenia przymusowego mógł dla siebie korzystać i jéj możliwe wpływy spożytkować.

Chwilową jéj sentymentalność wziął poprostu za oznakę niepokoju, jakim ją jego nagły widok napełnił. Chciała tym sposobem odnowić dawne wspomnienia, aby jéj w niczém roli dzisiejszéj nie psuł.

Tak sobie teraz to wszystko przedstawił i właśnie cały przegląd myśli dzisiejszych ukończył, gdy drzwi się otworzyły a do pokoju wsunęła się Niemka z tym samym figlarnym uśmieszkiem i oświadczyła mu, że pani prosi go na herbatę.

Gdy Stefan do saloniku przyszedł, zastał Paulinę siedzącą na fotelu z podpartą głową. Piękne jéj oczy były czerwone od płaczu.

— Cóż pani tak smutnego tak krótka chwila przyniosła?—zapytał Stefan.

— Być może, że pan właściwie winieneś żem płakała! —odpowiedziała gniewnie.

— Byłoby to dla mnie bardzo wielkiém zmartwieniem!

— Przeciwnie... powinieneś pan cieszyć się z tego!..

— Słowa pani są nader zagadkowe. Spodziewam się, że mi zechcesz choć niektóre rzeczy wyjaśnić!

— Sama czekam niecierpliwie téj sposobności... ale chodźmy do herbaty!

I podniosła się zgrabnie z fotelu, a Stefan z fantazyą podał jéj ramie.

Przeszli do jadalnego pokoju. I ten pokój był nader stosownie urządzony.

Na środku był stół nakryty na dwie osoby, ale na nim stało tyle dobrych rzeczy, jakby na jakiém weselu!

Stefan, który tydzień cały był na skromnéj strawie u krewnego Hohenstauffów, a przez trzy dni ostatnie żył tylko kawą i kawałkiem zimnego mięsa, uczuł nagle niewysłowione rozkosze gastronomiczne, gdy ujrzał najprzód kawał indyka z truflami, kompót z wyszukanych owoców, majonez z kapłona, sér francuzki i całe stosy najznakomitszych ciast i cukrów. Prócz tego widział kilka butelek ciemnego i jasnego wina najlepszych francuzkich gatunków, a jako korona tego wszystkiego stało w środku olbrzymie srebrne naczynie, z którego pomiędzy bryłami lodu wyglądała gruba szyja od flaszki z korkiem starannie umocowanym. Gdzieś z kąta słychać było syk samowaru.

Stefan zapomniał o wszystkich skrupułach, jakie przed chwilą go naszły i rozpromieniony szczęściem i przyszłą rozkoszą gastronomiczną usiadł do stołu, jakby klękał do ślubu.

— Czy majoneza, czy rulady? — zapytała Paulina z wdziękiem arystokratycznym.

Zaiste, Stefan nigdy nie spodziewał się, aby z wnuczki staréj Gewontowéj mogła się stać tak przyzwoita baronowa, która przy otoczeniu tak wykwintnéj zastawy, wyglądała rzeczywiście nie jak baronowa, ale jak księżna.

I uginając się pod tym urokiem, który u niego miał zawsze wielką wagę, wziął Paulinę za drobną rączkę i za zgotowanie dzisiejszego szczęścia, serdecznie ją ucałował.

Paulina odwzajemniła ten pocałunek uściśnieniem ręki, i rzekła:

— A teraz muszę panu powiedziéć, że ten baron, który w téj chwili do łez mnie namartwił,... to mój mąż przyszły!

— Przyszły mąż pani?—powtórzył Stefan połykając spory kawał indyka.

— Tak jest,... tylko widzisz pan... on ma jeszcze żonę!

— Ma jeszcze żonę!.. tam do kata!.. *Fräulein*, proszę mi podać komputu... albo nie, pierwéj sałaty!... Ma żonę ten baron!

— I to całe moje nieszczęście, które mnie bardzo wiele zmartwienia kosztuje!

— W saméj rzeczy, nie małe zmartwienie!... *Fräulein*, czyby nie można téj butelki otworzyć? Chateau la Fitte!

Niemka odkorkowała butelkę i nalała mu w kieliszek ciemno-wiśniowego płynu.

— Więc ten baron ma żonę?—rzekł Stefan popijając wino—tam do kata, jakim sposobem przyszedł on do téj żony?... *Fräulein*, proszę o majonez... octu i oliwy!

— Ożenił się z nią przed laty dwudziestu!

— Przed laty dwudziestu!.. Do kata!.. I ta żona tak długo egzystuje!

— Od kilku lat lekarze przepowiadają jéj koniec, ale dotąd nie sprawdza się ta przepowiednia!

— Głupia kobiéta! Jakto? Czy nie wierzy w umiejętność medycyny?.. *Fräulein*, proszę o drugi kieliszek!.. Wino wyborne, ma bukiet!... Więc ta żona barona...

— Ta żona barona jest chorą na suchoty i wygląda już teraz jak nieboszka!

— Chora na suchoty!.. Wszak w marcu powinna była umrzéć! W tym miesiącu zazwyczaj wyprowadzają się z tego świata suchotnicy... Czyż ona o tém nie wié?

— Baron jest tak poczciwy, że otacza ją wszelkiemi wygodami!

— I zapewne nie każe jéj mówić kiedy jest miesiąc marzec!.. Proszę jeszcze kapłona!.. Więc ten baron jest taki zacny i poczciwy człowiek! Proszę, tegobym się nie spodziewał!

— Ach to dobroć i zacność chodząca!.. tylko czasem trochę nudny!

— Trochę nudny?.. to nic! Trafia się to najzacniejszym i najlepszym ludziom!

— Byłoby wszystko dobrze, gdyby tylko żona jego nie była taką zazdrosną!

— Zazdrosną?.. Czy oszalała? kobiéta, która w marcu już powinna była umrzéć, jest w sierpniu jeszcze zazdrosną! To rzecz niesłychana! Biédny baron! Proszę teraz komputu.

— Baron kazał mi z magazynu przynieść fijołkowego aksamitu na kostium cieplejszy, a ona dowiedziała się o tém i aksamit dla siebie zabrała!

— Ach to już istna waryatka! Kobiéta, która według wyroku lekarzy od kilku lat już nie żyje, która w marcu zapomniała lokal ziemski opuścić... kobiéta ta bierze aksamit fijołkowy na kostium! Nie, to rzecz nie do uwierzenia!.. na honor, nie do uwierzenia!.. *Betty*, proszę jeszcze kieliszek!

— A baron to taki poczciwy! Wyobraź pan sobie, całą tę wieczerzę kazał z hotelu przynieść w téj nadziei, że razem będziemy to jedli, a gdym mu powiedziała, że dzisiaj mam migrenę i chciałabym sama pozostać, nie powiedział ani słowa, tylko zaraz się wyniósł!..

— Ach, to zacny, nieoceniony człowiek! Jestem mu wdzięczny aż do końca życia!..

— Pamiętaj pan, abyś mu kiedy jakiego zmartwienia nie sprawił!

Paulina wychyliła przy tych słowach pół kieliszka wina i pogroziła Stefanowi różowym paluszkiem.

Stefan uchwycił ten paluszek i ucałował; po chwili odrzekł ze śmiechem:

— Stosunki nasze będą nader przyjazne, jeśli z jego strony nie zajdzie jaka zmiana, to jest, jeżeli pozostanie takim jakim się dzisiaj na wstępie mi okazał!..

Po szóstym kieliszku otarł Stefan usta serwetą z cyfrą barona, wyciągnął nogi pod stół i odetchnął głęboko jak człowiek szczęśliwy. W téj chwili strzelił korek z butelki, i zawsze uśmiechnięta niemka nalała zgrabnie musującym płynem dwa wysokie kielichy.

Stefan i Paulina wzięli kielichy do ręki.

— Więc na zdrowie szanownego barona i przyszłéj małżonki jego—zawołał Stefan.

— Na zdrowie i powodzenie przyjaciela z lat młodych i szczęśliwych!—odpowiedziała Paulina i szybko zakryła oczy czarnemi rzęsami, bo coś w nich zamigotało jakby krople łez...

Wychylono kielichy. Gdy Stefan postawiwszy kielich na stole na Paulinę spojrzał, ujrzał ją dziwnie zmienioną. Twarz jéj zarumieniła się, ciemne plamy wystąpiły na policzkach; oczy piwne były zmącone, jakby strumień łez przepłynął przez nie i osad jakiś tam zostawił.

Stefan był pewny, że to wino na wrażliwą kobiétę tak działało.

Paulina kazała sobie drugi kieliszek nalać: Stefan nie zostawił jéj saméj.

Wypito po drugim kieliszku, ale tym razem bez toastu.

Niemka podała Stefanowi cygara a Paulinie papierosy.

— Kiedy usta mamy nieco wolniejsze—ozwał się Stefan—chciej mi teraz pani bliżéj coś powiedzieć o tym nieoszacowanym baronie, rozumie się, jeśli na przyjaźń dawnego przyjaciela chcesz pani liczyć.

— Na przyjaźń pana liczę—odpowiedziała Paulina— i spodziewam się nawet, że mogą nadejść okoliczności, gdzie obopólnie będziemy od siebie żądać dowodów przyjaźni!..

— Zdaje się, że ja pierwszy zacznę dopominać się o to! —wtrącił Stefan z uśmiechem.

— Tém więcéj mnie pan zobowiążesz! – odpowiedziała Paulina i ścisnęła mu rękę.

Kilka chwil zapanowało milczenie. Zdaje się, że oboje myśleli nad temi dowodami przyjaźni.

— Otóż wracam do barona—przerwała milczenie Paulina—i muszę panu bliżéj nieco ten mój stosunek do niego określić, bo przy wieczerzy, mogliśmy tylko pół słowami rozmawiać... Jak widzisz pan, ten baron jest żonaty, a stosunek uczuciowy z podobnym człowiekiem uważa zwykły świat za pewne wykroczenie, albo przynajmniéj za lekkomyślność!

Stefan wyciągnął rękę i posunął nią kilka razy w powietrzu tam i nazad, co miało oznaczać, że z tém zdaniem zwykłego świata wcale się nie zgadza. Paulina mówiła dalej:

— Trzeba bliżéj wglądnąć w świat dzisiejszy kobiecy, aby należycie ocenić podobne postępowanie jak moje. Obyczaj srogi i średniowieczny nakazuje nam zamykać się w naszych więzieniach, czy one nazywają się domem rodzicielskim, czy inaczéj.... i czekać tam zmiłowania bożego, póki nie zapuka jaki mężczyzna i o pannę się nie oświadczy!.... Obyczaj ten powiada, że panna jest jak klejnot drogi, który każdy znajdzie, kto klejnotu szuka!.... Tymczasem jest to obyczaj najzgubniejszy dla nas!.... Tysiące ludzi pomija nas, nie widzi, a nam nie wolno samym iść im w oczy!.... Gdybym była do dziś dnia u babki została, byłabym.... starą panną.. Wprawdzie miałabym reputacyę bardzo uczciwéj, bogobojnéj .....staréj panny!... Stara panna... to nie jest śmieszność, jak niektórzy z pismaków ją przedstawiają, to—tragedya!...... A do takiéj tragedyi nie miałam ani sił ani chęci!.... Zerwałam więc z tym starym, srogim obyczajem i wyszłam w świat, aby tutaj śród walki zdobyć sobie szczęście, do ja-

kiego miałam prawo!..... Szczęście to, jak panu mówiłam, chciałam zdobyć sercem, ale przekonałam się, że to towar na dzisiejszéj giełdzie życia nie notowany!.... Doznałam różnorakich rozczarowań, po których nic innego nie pozostało, jak zmierzać do portu, jeśli nie szczęścia, to przynajmniéj spokoju, takiémi drogami, które tam prowadzą!..... Baron człowiek już nie młody—żona jego od kilku lat skazana przez lekarzy na śmierć—cóż jest w tém tak nadzwyczajnego, jeśli naprzód wyciągnęłam rękę po szczęście moje, aby mi potém nie uszło?. Życzę baronowéj jak najdłuższego życia—mogę czekać.

Stefan nalał nowe kieliszki i jeden z nich podał Paulinie.

— Byle tylko to czekanie nie było turbowane przez kobietę, która wedle wyroku lekarzy nie powinna już dawno nikogo turbować na świecie!—rzekł Stefan i uderzył w kieliszek Pauliny.

— Teraz znasz pan całą moją sytuacyę—ozwała się Paulina—i spodziewam się, że pozostanie między nami stosunek prawdziwéj przyjaźni, jeśli inaczéj się nie stało!

Stefan uścisnął podaną rączkę i odpowiedział:

— Sytuacya pani jest mi teraz znaną, chodzi obecnie o to abyś pani moją poznała. Da się ona streścić w kilku słowach: nie mam, na dzień jutrzejszy ani złamanego szeląga!

— Możesz pan do mnie przychodzić na obiady a czasem na wieczerzę: *Betty* powié kiedy pana nie będę mogła przyjąć u siebie.

— Obiady i herbata w towarzystwie pani są dla mnie prawdziwą rozkoszą, ale te jeszcze nie zaspokoją wszystkich moich potrzeb! Możeby pani miała jakie wpływy....

— Wpływy?.... możeby się znalazły.... trzeba się jednak najprzód porozumiéć, w jakim zawodzie.....

— O zawodach tutaj myśléć nie można, bo ja właściwie do żadnego zawodu nie sposobiłem się.... ale tak.... możeby jakie wyższe znajomości.... ręczę pani że przy takich znajomościach łatwiéj jest czasem w jednéj minucie zrobić

cały majątek, niżeli przy pracowitym jakim zawodzie w dziesiątkach lat!....

— Więc pracy jakiéj codziennéj nie chciałbyś pan się podjąć?

— Uchowaj Boże! Alboż ja wół, abym w pługu cały dzień orał?

Paulina zamyśliła się: uśmiech zadowolenia przebiegł po jéj zarumienionéj twarzy.

— Nie chciałbym— mówił daléj Stefan, wypiwszy świeży kieliszek szampana—nie chciałbym jak pracowity nurek spuszczać się na dno morza i tam brodzić w błocie za jaką perłą; ale chciałbym pohulać na wysokich falach życia, gdzie czasem wprawdzie tylko pianką się żyje, ale gdzie można także ułowić jaką zdobycz, która nam piankową strawę sowicie wynagrodzi!

Paulina uśmiechnęła się. Wypiła resztki z kieliszka i rzekła:

— Takie życie ma rzeczywistą ponętę, chociaż czasem trzeba być przygotowanym na niemiłe niespodzianki!

Stefan przypomniał sobie liberyą na kołku u Fichtenaua!

— Pojmuję to wszystko—odparł—ale lepiéj być zawsze sztabowym oficerem niż prostym żołnierzem. Gdy bitwa przegrana, to tak samo sztabowy oficer nogami zbiera jak prosty żołnierz; ale za niejaki czas sztabowy oficer będzie znowu oficerem, podczas gdy prosty żołnierz znowu prostym zostaje!

— Masz pan słuszność.... ale trzeba najpierwéj myśléć o wyekwipowaniu tego oficera!

— Do tego właśnie zdążam! Mówiłem pani że jestem bez szeląga!

— Na niejaki czas mogę panu dopomódz, ale trzeba na przyszłość o czémś pomyśleć.

Paulina po tych słowach wyjęła z kieszonki elegancki pugilaresik.

— Tymczasowo pożyczam panu tę bagatelkę—rzekła i wsunęła mu do ręki bilet bankowy.

Stefan nie wiedział jakim sposobem to się stało, ale—zarumienił się.

Zmiął bilet bankowy w ręku i rzucił go do kieszeni.

Kilka chwil panowało milczenie. Stefan stracił jakoś nagle wątek do rozmowy. Zamyślił się, a czoło jego pofałdowało się pod ciężarem jakiéjś myśli.

Potém przypomniał sobie, że tu przedewszystkiém nie chodzi o żadne myśli, ale o *jutro*, ktorego idąc tu nie miał wcale, a ten bilet bankowy może mu przynajmniéj kilka takich juter zapewnić.

Pierzchły więc przy téj ostatniéj myśli wszystkie skrupuły i uprzedzenia. Nalał nowe kieliszki, podał jeden Paulinie a drugi sam wziął do ręki i rzekł:

— Na wysokich falach życia używajmy szczęścia, gdy nas ta fala pod niebo wynosi, bo być może, że nas za chwilę w bezdenną przepaść strąci! Zdrowie pani!

— Jest na to sposób: aby nie upaść w przepaść, trzeba być lekkim! Zdrowie pana!

— Zycie na żart, to rozkosz—na seryo, to trud!

Po tych filozoficznych aforyzmach przy szampanie nastąpiła dłuższa pauza.

Oboje widocznie byli z siebie zadowoleni. Nastąpiło jakieś ostateczne porozumienie między niémi, które jednéj i drugiéj stronie obiecywało korzyści.

— A teraz dla najbliższéj przyszłości pana—ozwała się Paulina—mam naprędce mały planik. Nie jest to nic tak wielkiego, ale zawsze może być do niejakiego czasu punktem oparcia dla pana!

— Słucham z całą uwagą!

— Znam tutaj pewną damę, węgierkę z rodu, która jest nadzwyczaj bogatą.

Stefan zatarł ręce.

Dama ta nie jest młodą, ale jest sama i nudzi się. Lubi nadzwyczaj towarzystwo męzkie, i codziennie można u niéj

zjeść dobry obiadek i wyśmienitą wieczerzę. Prócz tego znaleźć tam można liczne towarzystwo, co panu ułatwi różne znajomości. Ja ją jutro uprzedzę i zapowiem wizytę pana. Tylko *il faut se faire beau*—dodała z uśmiechem—bo dama lubi bardzo przystojnych!

Stefan założył nogę za nogę, ręce wetknął pod ramionami do kamizelki i odparł:

— Znam ja już wybornie takie towarzystwa! To są nieocenione *restaurant-caffè*, gdzie można wybornie jeść, znakomite cygara palić i w dodatku za to nic nie płacić!

— Przeciwnie, dama ta jest tak dobroczynną, że czasem można zrobić znaczną pożyczkę!

— Ach to nieoceniona dama! Czy nie należy ona do towarzystwa dobroczynności?.... Ale żart na bok. Ostatni kieliszek!.... Dotąd miałem w sercu żal do kobiét, że nie kochają, że nie są zdolne wyższych uczuć; dzisiaj cofam to wszystko i powiadam, że są aniołami!

Uderzył w kieliszek Pauliny i oboje wychylili duszkiem na cześć tego toastu.

Ponieważ już była godzina późna, wstał Stefan, ucałował drobną rączkę Pauliny, a filuterna niemka już stała z gotową świecą, aby szczęśliwego człowieka z wyżyn szczęścia sprowadzić na ulicę.

— Przyjemnych snów!—rzekła przez szparę drzwi za nim Paulina i znikła.

VIII.

Sierota.

Nazajutrz rano cała ludna ulica „Kärnthnerstrasse” miała bezpłatne widowisko.

Głównym aktorem tego widowiska był człowiek około sześćdziesiąt lat mający. Strój jego był tak w obec strojów stolicy niezwykły i oryginalny, że ściągnął na siebie uwagę wszystkich przechodzących; a jak tylko pierwsi się zatrzymali, zatrzymała się cała cyrkulacya i w oka mgnieniu urosła w ogromną massę ludzi, która połowę wielkiéj ulicy napełniła.

Człowiek ten miał na sobie jakąś szaraczkową kapotkę, na piersiach czarnemi pętlicami zapinaną. Z pod téj kapotki wyglądały buty kozłowe, na fałdach mocno kurzem okryte. Na głowie zwieszała się czapka z czarnym barankiem. Twarz tego człowieka była chuda i koścista, ręce duże, w różnych kierunkuch grubemi żyłami poprzerzynane. W jednym ręku trzymał chustkę kraciastą i od czasu do czasu pot kroplisty z wysokiego czoła ocierał.

Przy nim stała z wystraszoném wejrzeniem młoda panienka mająca nie więcéj jak lat siedmnaście. Była nadzwyczajnéj urody! Twarz miała bladą z melancholijnym

wyrazem, oczy czarne rozmarzone, włos ciemny jak odarta kora z drzewa cedrowego.

Ubiór jéj był nader prosty: ciemna bluzka spięta paskiem lakierowanym uwydatniała prześliczną jéj figurę; kształty piękne, zaledwie rozwinięte, uderzały rafaelowskim rysunkiem. Mały, słomkowy kapelusik nadawał jéj podobieństwo do jednéj z tych sielankowych prostaczek, za któremi w końcu zeszłego wieku szalała poezya i przepadały salony.

Kilka więc rzeczy zebrało się razem, aby przechodzącą publiczność tutaj zatrzymać.

Zdaje się, że pierwszy powód do tego dała uroda nadzwyczajna młodéj dziewczyny. Prawdopodobnie zatrzymał się jeden i drugi aby podziwiać piękną wnuczkę Belizaryusza, na którego oryginalny człowiek zakrawał. Tymczasem mniemany Belizaryusz wziął to za rodzaj wyzwania i podniósł na natrętnych adonisów swój kij sękaty, jakiego ziemia niemiecka tak świetnie wyprodukować nie mogła. Kij ten bowiem nie tylko że był z natury hojnie w sęki obdarzony, ale przyłączyła się i sztuka, aby go uczynić ze wszech miar wspaniałym okazem w swoim rodzaju! Był on u góry tak misternie wygięty i pyskiem węża zakończony, że musiał mimowoli, oprócz grozy wzbudzić także nadzwyczajną ciekawość u amatorów. Zgięcie bowiem było dokonane w niemowlęcym jego wieku, a potrzeba było długich lat, aby do dzisiejszéj grubości doszedł. Charakteryzował on już tém samém pewny systematyczny upór posiadacza, który przedsięwziął pracę, na któréj skutki długie lata musiał czekać.

Oprócz niezwyczajnego ubioru, kunsztownie zgiętego kija i nadzwyczajnéj piękności dziewczyny, przyczyniły się jeszcze do zatrzymania mass, słowa tego oryginalnego człowieka, wymawiane sumiennie w dwóch językach dla uszanowania ustawy o równouprawnieniu narodowości.

— *Was ist du zu schauen!* Co tu jest do gapienia!—wołał machając misternym kijem po przed oczy wiedeńczyków a kapelusikiem swojéj towarzyszki,

Niemcy śmiali się na widok téj taktyki chronienia pięknéj twarzy od złych oczu.

— *Ich bitte*, proszę; *es schickt sich nicht*, to przecież nie uchodzi!.... Anusiu chodź na tę stronę, bo tamten sowizdrzał z szkiełkiem w oku uwziął się na ciebie!

Anusia poszła z jednéj strony Belizaryusza na drugą. W szeregach publiczności śmiech.

Was ist du zu lachen! Z czego się tu śmiać!—wołał Belizaryusz odganiając kijem falę. Anusia, wróć nazad na tę stronę, bo tamten świstak nosem cię przebije.

Anusia zmieniła znowu stanowisko.

— *Das ist nicht artig*, to nie jest grzecznie!—*Meine herren ich bitte Platz*, moi panowie, proszę się ustąpić!... Anusia stań za mną!

Zdaje się, że Belizaryusz stracił już cierpliwość i gotował się do zaczepnych kroków; rzemyczek bowiem od kija owinął o rękę a samym kijem takiego młyńca puścił nad głową, że nagle otworzyła się przed nim luka, dosyć przestrona.

— Anusiu, chodź za mną! — krzyknął bohaterski przewodnik pięknéj dziewczyny, ale luka zamknęła się nagle przed nimi.

Belizaryusz wziął się teraz do wojennego podstępu. Widząc po prawéj stronie ogromną sień, wpadł do téj sieni i pociągnął śród śmiechu całéj massy zagrożony skarb swój za sobą i nie obejrzał się aż na pierwszém piętrze, mając trzy grube mury za sobą.

Tam zatrzymał się, otarł pot z czoła, poprawił kapelusik na głowie swojéj towarzyszki i rzekł:

— Otóż widziałaś niewdzięcznych! Tacy to są ludzie téj ziemi! Parę wieków temu, to tam z tej wysokiéj wieży, patrzano dzień i noc z upragnieniem, kiedy się nasze wojska pojawią, a gdy się pojawiły, to nie było końca radości, a dzisiaj patrzą na nas jakby na jakie widowisko!.... Dobrze to téż łaciński poeta powiedział: *Donec eris felix, multas numerabis amicos, tempora si fuerint nubilla, solus eris!*.... Czy rozumiesz Anusiu te słowa?

— Rozumiem! — odpowiedziała dziwnie dźwięcznym głosem melancholijna dziewczyna.

— Tak to na świecie!.... Czy ci ten sowizdrzał z szkiełkiem w oku co zrobił?

— Nic mi nie zrobił.... Możebyśmy już dalej iść mogli?

— Czekaj, niech się troszkę przerzedzi na ulicy!... Ależ miałem ochotę, machnąć jednego i drugiego po tych pudłach okrągłych! Dobrze że mię Bóg ustrzegł!

W téj chwili otworzyły się drzwi do nich, a jakaś wystrojona dama ukazała się na progu.

Była to Paulina. Widziała ona przez okno to całe pocieszne widowisko i widziała Belizaryusza wchodzącego do jéj sieni. Wyszedłszy do przedpokoju słyszała całą ich rozmowę.

— Czy pan przybywasz z Galicyi?—zapytała nieznajomego.

Usłyszawszy język polski osłupiał Belizaryusz, wytrzeszczył oczy, i stał tak czas długi. Usta jego ruszały się, ale żadnego słowa nie mógł z nich wydobyć.

— Przybyliśmy od Krakowa—odpowiedziała z przytomnością melancholijna Anusia.

Teraz przyszedł dopiero Belizaryusz do siebie. Rzucił kij sękaty i zawołał zdejmując czapkę:

— O świat i korona! O któżby się spodziewał, że człowiek tak nagle swój język usłyszy!.... O stokroć dzięki za tych słów kilka, dzięki jaśnie wielmożnéj pani!...

Rzekłszy to, posunął naprzód, pochwycił Paulinę za rękę i zaczął całować.

— W jakimże interesie pan tutaj przybywasz?—zapytała zdziwiona Paulina.

— O to wielmożna pani długa historya, długa!...

— To proszę do pokoju—rzekła Paulina, bo zachowanie się Belizaryusza zaczęło ją intrygować, a twarz młodéj dziewczyny wydała się jéj nader sympatyczną.

Belizaryusz ze swoją towarzyszką weszli do pysznego salonu.

Widać było po starym człowieku że przepych salonu sprawił na nim wielkie wrażenie. Towarzyszka jego żywém okiem obiegła wszystkie kąty, a twarz jéj ożywiła się.

— Proszę spocząć—rzekła Paulina i usiadła na fotelu—i opowiedzieć mi coś z téj długiéj historyi, jeśli można!

— O można, można wielmożna pani!.... można... można —powtarzał Belizaryusz niemogąc sobie dać rady z swoim misternym kijem, który mu ustawicznie po ślizkiéj posadzce umykał—można, wielmożna pani, można... tam do kata.

Schwytawszy zbiega przed samą nóżką Pauliny, położył go na krześle i przysiadł.

— Widzi wielmożna pani—zaczął mówić—jak człowiek jest biédny to biédny!... Jestem nieprzymierzając bakałarzem małéj szkółki, małego miasteczka. Biada to, biada być bakałarzem, bo nie tylko głodno i chłodno, a tu krzycz na malców cały dzień boży z rana do wieczora.... ale nawet ludzie potém nie umieją ocenić tego mości panie!... Wyuczyłem naprzykład abecadła pewnego ucznia, który teraz jest kanonikiem.... czy sądzi wielmożna pani, że pamięta?...

— Ludzie zazwyczaj są niewdzięczni! — zauważyła Paulina z ukrytym uśmiechem.

— Tak, niewdzięczni! to złota prawda!... Miałem w szkole jednego chłopca ... lampart był co się zowie, łamał ławki, pisał po murze a nawet na mnie gałkami rzucał... prawda że mu czasem dobrze wytatarowałem... bo to widzi wielmożna pani ja nie zgadzam się z dzisiejszym systemem, który bić nie każe! Bić, bić, dobrze bić to dobra metoda.... Otóż ten lampart... Ale o czém to miałem mówić?.... Przepraszam, tak mnie ci niemcy zalterowali, że w głowie myśli nie mogę dobrze uporządkować... oraz i ta radość...

— Obiecałeś mi pan coś o swoim interesie w Wiedniu opowiedzieć!

— O interesie?... Djabelny interes! nie życzyłbym nikomu takiego interesu!

— Czy to jest córka pana?

— Kto taki? Anusia?.... Nie, wielmożna pani, to jest sierota, a ja jéj opiekunem!

— Czy pani w jakim celu tutaj przybyła?—zapytała Paulina Anusię.

Anna zarumieniła się i spojrzała na opiekuna.

— W celu, nie w celu—odpowiedział bakałarz—bo to widzi wielmożna pani, historya długa! Najprzód wielmożnéj pani muszę się przyznać że mam dziewięcioro dzieci. Dzięki Bogu zdrowe wszystkie i dobrze się prowadzą. Mimo głodu i chłodu dobrze nawet wyglądają. Dwóch już jest na swoim chlebie, trzeci w seminaryum i niezadługo będzie księdzem, a czwarty, Michaś, mówię to wielmożnéj pani, dziecko jak rajskie jabłko!... Nawet mam jednego...

— Chciałabym słyszéć coś o przybyciu pana do stolicy.

— Zaraz, zaraz, wielmożna pani, wszystko będzie, ale w porządku. Otóż jak powiedziałem, Bóg udarował mnie dziewięciorgiem dzieci, a prócz tego umarła moja krewna, po któréj została się Anusia, dwóletnie dziecię. Ej, myślę sobie, trzeba sobie czémś na łaskę Pana Boga zasłużyć... pójdź sieroto do nas! Gdzie jest dziewięć, tam pomieści się i dziesiąta!... Wprawdzie z nieboszką żoną, chociaż to była bardzo zacna kobiéta, świeć jéj Panie! miałem trochę, jak to mówią perepałki, ale jakoś w końcu to się załatwiło i Anusia chowała się w domu.

— Więc panna Anna jest tylko krewną pana!

— Tak jest wielmożna pani, jest sierotą!... Ściągałem się jak mogłem, myliśmy i czesali jak swoje, potém ksienia klasztoru Benedyktynek pozwoliła jéj nauki tam pobiérać... i jakoś przy pomocy Pana Boga udało się nam tak ją wyedukować, że nawet teraz może miéć kawałek chleba, bo nie tylko że wszystkie nauki expedyte umié, ale nawet coś francuzczyzny i klawikortu zarwała!

— Więc pani sposobiłaś się na nauczycielkę?

— Tak jest pani!—już z większym spokojem odpowiedziała Anna.

— To wielmożna pani, było naszém marzeniem!—mówił daléj bakałarz—i byłoby może do tego przyszło, gdyby Bóg nie dopuścił na nas wielkiego nieszczęścia!... Co to znaczy jechać z panienką biednemu bakałarzowi do Wiednia!

— Cóż to za nieszczęście?

— Oto żyję z pocztmistrzem w przyjaźni i czasami chodzę do niego na gazety. Razu jednego wyczytałem inserat w okazałych ramkach, że pewien jegomość, który w Wiedniu mieszka potrzebuje dla ciemnéj matki swojéj lektorki i towarzyszki!... Myślę sobie dobra rzecz! Dziewczyna w takiém mieście może się jeszcze czegoś poduczyć. Piszę listy, odpisują mi i żądają fotografii. Posyłam fotografię i interes był skończony. Przysłano pieniądze na drogę. Ale pomyślałem sobie: hola, choć to sierota, ale przecież nie można jéj tak samopas w świat puszczać. Napisałem do dwóch synów; synowie złożyli się i przysłali mi na drogę fundusik. Pojechałem z nią więc do Wiednia i podług adresu zaraz udałem się do mieszkania owéj ciemnéj niewiasty!... Ba, ale zeszedłem całą kamienicę, a ciemnéj niewiasty nigdzie nie znalazłem!... Jegomość, który zemną korrespondował, mieszka tam w wytwornych pokojach, jest starym kawalerem i nie wiem nawet czy kiedykolwiek miał jaką matkę!.... Zwąchałem pismo nosem, zatrzasnąłem drzwi i otóż cała historya!...

— Więc to był podstęp jakiś!

— Podstęp czy żart głupi, wielmożna pani, to tego nie wiem, bo ludzie bogaci to mają takie koncepty, jakich biédni nawet nie rozumieją!

Paulina spojrzała z uwagą na Annę. Przypomniała sobie, że już nieraz myślała o jakiéj towarzyszce dla siebie. Ta myśl wydała jéj się dzisiaj jeszcze ponętniejszą, że w domu i na przejażdżkach będzie mogła rozmawiać się rodzinnym językiem i mieć kogoś koło siebie, ktoby jéj rodzinne strony mógł przypominać. To pragnienie odzywało się w niéj często.

— Dziwne jest to wprawdzie—rzekła po chwili—ale właśnie chciałam się starać o towarzyszkę dla siebie. Jestem wdową i samą. Jeżeli pan nic przeciw temu mieć nie będzie, a panna Anna na to się zgodzi, to możemy umówić się o warunki.

Bakałarz obejrzał się jeszcze raz wkoło po bogatym salonie. Do buduaru były także drzwi otwarte. I tam błyszczało wszystko od złota i bogatych mebli.

Biédny bakałarz miał zawsze wielką cześć dla bogactwa.

— Wielki Boże!—zawołał—wszak to widoczny palec Opatrzności dla nas! Bo przyznam się wielmożna pani, żebym nie miał czém powrócić z biédną sierotą!

I otarł łzy biédny człowiek i Anna sięgnęła do oczu...

Jeszcze tego samego dnia ulokowała się Anna u Pauliny, a stary bakałarz został jeszcze dwa dni w Wiedniu i płakał z radości, gdy ekwipaż Pauliny obwiózł go kilka razy po stolicy, a rozmowny stangret okazywał mu i objaśniał niektóre osobliwości. Bakałarz za to odwdzięczył mu się dosyć szczegółowém opowiadaniem tego, co tu się działo przed kilkoma wiekami, poczém obaj wychylili w narożnym szynczku po kieliszku anyżówki i serdecznie się uściskali.

Tym sposobem załagodził bakałarz nieporozumienie swoje z mieszkańcami Wiednia i zdawało mu się, że stosunek międzynarodowy sprowadził napowrót do stanu normalnego.

IX.

Nowa suknia.

Kiedy ten mały epizodzik odbywał się na „Kärnthnerstrasse“, przechadzał się Stefan z dobrą fantazyą po Grabenie i rozpatrywał się w nowém swojém położeniu.

Położenie to było dziwne. Kobiéta, która razem z nim w ubogiém mieście wzrosła, na którą on wtedy nie wiele uwagi zwracał, stała się tutaj jedyną nadzieją dla niego jakiejkolwiek przyszłości.

Wprawdzie mimowoli rumienił się zawsze gdy o tém myślał, bo w głębi duszy tliła tam jeszcze iskierka lepszych marzeń młodzieńczych, jakich żadne przygody życia do szczętu nie utłumią. Wzgląd jednak na niepewność jutra bez téj kotwicy, brak wszelkich środków zarobienia sobie na to jutro, trzymał go przykutym do téj kotwicy, a tak zwany rozum praktyczny wynajdywał najrozmaitsze sofistyczne argumenta, jakiemi uspokajał wszelkie jego skrupuły. Wyobrażał sobie, że Paulina co najwięcéj może mu tylko posłużyć za środek do utorowania sobie niezależnéj drogi, na któréj potém i bez niéj będzie się mógł obejść. Tym sposobem strąci wszystko z siebie, co go dzisiaj walać mogło.

Takie były myśli Stefana w lepszych jego momentach, jakich nigdy nie brak w życiu każdego upadłego człowieka. Te myśli pozwalały mu spokojnie używać obecnéj chwili i marzyć o lepszém jutrze.

Chodził więc swobodnie po Grabenie i po parku, z dobrą fantazyą palił cygaro, a krok taki miał pewny i przyzwoity, jakby był najpoczciwszym człowiekiem w świecie!

Niemki oglądały się za przystojnym mężczyzną, który swobodnemi ruchami i wyższemi manierami odbijał od zbyt naturalnych, lub nienaturalnie wystrojonych Wiedeńczyków.

Za pieniądze otrzymane od Pauliny, trochę się oporządził. Nie było to wiele, ale zawsze najniezbędniejsze potrzeby jakotako pokrył. Inne, kosztowniejsze sprawunki odłożył do lepszych czasów, a tymczasem kontentował się surrogatami, jak np. papierowym kołnierzykiem i t. p.

Gdy już się dostatecznie z nowém położeniem oswoił, postanowił skorzystać z rady Pauliny i zrobić znajomość z ową nieocenioną damą, która miała wielką przyjemność otaczać się liczném męzkiém towarzystwem i karmić je przyzwoicie.

Z rana na drugi dzień, przejrzawszy się należycie w zwierciedle, a na ulicy w pierwszych kryształowych drzwiach magazynu który napotkał, zaprawiony wonią paczulową, zadzwonił do przedpokoju owéj damy węgierskiéj.

Służący otworzył drzwi, a ujrzawszy wystrojonego eleganta, nie zapytał się nawet o jego nazwisko, tylko zaraz otworzył drzwi do salonu i prosił go czekać, aż hrabina ukończy swoją toaletę.

Stefan rozpatrywał się tymczasem w salonie. Był to salon nadzwyczaj wytworny. Bogactwo kapało ze ścian, zalegało całą przestrzeń. Dywany francuzkie, marmurowe kolumny, wazy etruzkie, odlewy z bronzu podług oryginałów najznakomitszych mistrzów, zbiór rycin na palisandrowym stole i mnóstwo różnych fraszek, zapełniało jakby w jakim sklepie galanteryjnym całą przestrzeń.

Oprócz tych widomych rzeczy cała atmosfera salonu napełniona była jakiemiś narkotycznemi woniami, które dziwnie drażniły błony oddechowe. Stefan musiał kilka razy odkrząknąć nim się do téj atmosfery mógł przyzwyczaić, która mu mimowolnie przypominała aptekę miasta rodzinnego.

Po niejakim czasie zaszeleściał jedwab', otworzyły się drzwi boczne, a do salonu wtoczyczyła się niska jak karykatura ubrana babulka mająca lat sporo po sześćdziesiątce.

Byłaby z niéj wcale nieszpetna, sędziwa kobieta, gdyby w całéj jéj postaci nie przebijała wszędzie śmieszna pretensya młodości. Już sam ubiór czynił ją śmieszną. Był to tak zwany kostium używany przez młode panienki z obcisłą spódnicą i stanem wysoko podniesionym. Charakterystyką tego kostiumu było, że był nader krótki i mógł dostatecznie odsłonić wdzięk młodéj okrągłéj nóżki. Również i co do figury, był on obliczony wyłącznie na wdzięki młodości.

Ubiór taki z każdéj wiekowéj a nawet często średniego wieku kobiéty musi zrobić karykaturę.

Trudno opisać, jak w takim ubiorze wyglądała sędziwa córa Arpadów! Zamiast okrągłych elastycznych kształtów napełniała ten ubiór jakaś massa bezkształtna, która prócz chudych i kościstych nóg żadnego innego ruchu nie miała. Na rękach skóra była pomarszczona jak na okazach anatomicznych, a włosy z natury już siwe przypruszone były białym pudrem i rozrzucone w tak niemiłym bezładzie po całéj głowie, że mogły być oznaką prawdziwéj waryatki.

Babulka ta obaczywszy Stefana, złożyła do słodkiego uśmiechu swoją twarz cery kominiarskiéj i dygnęła wstydliwie jak pensyonarka, niepytając się nawet o nazwisko gościa.

Stefan miał wielką ochotę roześmiać się na całe gardło, ale przypomniał sobie, że praktyczny rozum nie każe się śmiać z śmieszności ludzkiéj, ale z niéj korzystać.

Ukłonił się więc jak mógł z największą powagą, wygłosił swoje nazwisko i wspomniał coś o Paulinie, która się mieniła być jéj przyjaciołką.

Dama pomyślała chwilkę, przypomniała sobie że Paulina istotnie o nim mówiła i prosiła go spuszczając oczy, aby usiadł i jéj coś opowiedział o stronach z których przybywa.

Stefan plótł różne rzeczy, które mu tylko na myśl przyszły, opowiadał o Kabylach i Hottentotach, z którymi grywał w tarroka i unosił się szeroko o koronie św. Szczepana, którą osobiście widział i zgięty jéj krzyżyk na wierzchu, własnemi oczyma podziwiał.

Dama dziękowała mu za grzeczność, z jaką składał hołd jéj krajowi rodzinnemu, zapytała mimochodem jak mu się czarnookie Węgierki podobają i czy się w któréj kochał. A gdy Stefan z ubolewaniem temu zaprzeczył, opisała mu w krótkich rysach rozkosze miłości węgierskiéj, która jest zupełnie inną od miłości innych, pośledniejszych cór Ewy!..

W tym tonie trwała rozmowa i skończyła się na zaproszeniu Stefana, aby codziennie o każdéj godzinie, „jeżeli się bardzo nudzi“ do niéj przychodził, czy to na obiadek czy na wieczerzę z tokajskiém winem.

Stefan przyrzekł posłuszeństwo, a nawet dawnym polskim obyczajem damę w rękę chciał pocałować, czemu ona jednak się oparła, utrzymując że narodowo-węgierski zwyczaj każe nie rękę, ale twarz całować.

Tym razem różnica narodowości skończyła się na słowach a Stefan wyszedł z salonu zadowolony, że na wszelki wypadek ma już drugi asyl, do którego w razie losów przeciwnych będzie się mógł schronić. Na ulicy dopiéro wybuchnął śmiechem z pretensyonalnéj babulki i tak się śmiał nieoględnie, że kilkunastu Niemców nagle przed nim stanęło podziwiając jego donośne gardło.

Kilka dni upłynęło Stefanowi nader przyjemnie. Sytuacya była dla niego nową, a po tapczanie krewnego Hohenstauffów, była nawet bardzo wygodna. Wprawdzie było to coś jeszcze gorszego niżeli liberya kołkowa, ale przynajmniej

były inne pozory, a pozory te były daleko na oko przyzwoitsze. Do tego jeszcze i strawa była smaczniejsza niżeli z garnuszka krewnego cesarzów, co w realnie pojętém życiu bardzo wiele znaczy. Ileżto ludzi dla smacznéj strawy niepoświęca wszystkiego, co Pan Bóg dał im przy urodzeniu?

A zresztą jakaż była dla niego inna droga? Cóż miał począć aby w najbliższém jutrze z głodu nie umarł? Do tego stolica miała tyle rozrywek, które wprawdzie kosztują wiele pieniędzy, ale za to pozwalają człowiekowi uśpić w sobie to wszystko, co się tam w nim gdzieś z głębi czasem odzywa!..

Stefan przepędził te dni dosyć szczęśliwie. Obiadki i wieczerze u Pauliny były smaczne i zabawne, u babulki zaś prawdziwie królewskie. Towarzystwo liczne, które się tam zbierało, pozwalało zawiązać co dzień nowe znajomości, z których w czasie coś się skorzystać dało. Również i u Pauliny zapoznał się z ludźmi, którzy przy zdarzonéj sposobności mogli mu być w jego zamiarach pomocni. Byli to po większéj części młodzi ludzie z bogatych domów, a niektórzy nawet z dawnych rodów.

Stosunki jednak z takiemi ludźmi wymagały znaczniejszych wydatków. Przedewszystkiem potrzeba było postawić się z nimi na równi, bo podrzędniejsze stanowisko byłoby go zniżyło w ich oczach do roli nader podrzędnéj.

Fundusik od Pauliny już się wyczerpał. O drugi trudno się było upominać, bo Paulina sama wskazała mu drogę, gdzie go ma szukać.

Droga ta jednak miała ciernie. Było w niéj coś upakarzającego.

Wydarzenia jednak z ostatnich dni były tego rodzaju, że zmuszały go do większych wydatków. Poznał się z kilkoma hrabiami węgierskimi, jednym wołoskim księciem i trzema włoskimi młodzieńcami z bogatych domów, którzy obiecali go za kilka dni odwiedzić, uważając go za równego sobie.

Stefan mieszkał dotąd w małym pokoiku bardzo podrzędnego hotelu; wypadało, jak mniemał, zaprezentować się inaczéj, bo od tego zależały dalsze jego plany.

Przed sobą nie miał żadnéj innéj drogi, jak tylko próbować szczęścia u babulki.

Myśl ta sprawiła mu wielką przykrość. Jakaś nieokreślona obawa ostrzegała go przed tym krokiem. Czy to było proste przeczucie smutnych następstw podobnego kroku, czy zabłąkana iskra jakiegoś lepszego uczucia, która protestowała przeciw podobnym egzystencyom niektórych ludzi?.. Stefan nie śmiał sobie z tego zdać sprawy, czuł jednak, że podobna droga była mu wstrętna.

Kiedy właśnie bijąc się z temi myślami po Grabenie się przechadzał, spotkał go jeden z hrabiów węgierskich, przywitał się z nim jak z przyjacielem i rzekł do niego:

— No, *baratom*, nie gniewajcie się, żeśmy jeszcze u ciebie nie byli, ale *Istvan* mówił mi właśnie że z księciem Mirzą wybiera się do ciebie pojutrze na partyjkę z herbatą, do czego i ja się przyłączę. Dziś albo jutro niezawodnie uwiadomię cię o tém.

Stefan syknął jakby mu kto na bolącą nogę nadeptał, ale usta jego powiedziały Węgrom tyle słów słodkich i uprzejmych, ile potrzeba było do podtrzymania tak znakomitéj znajomości.

Teraz wobec niebezpieczeństwa tak znakomitéj wizyty upadły resztki skrupułów. Nie było już innego sposobu. Stefan najbliższą drogą poszedł do babulki.

Babulka właśnie otrzymała od krawca nową suknię z grubéj jedwabnéj materyi i na próbę w nią się ubrała.

Suknia była wytworna. Pozawieszane były na niéj różne kosztowne dodatki w koronkach i falbanach. Rzeczywista figurka babulki znikła pod draperyami kosztownéj materyi, a oczom prezentowało się tylko arcydzieło sztuki krawieckiéj. Wprawdzie twarz i włosy siwe pozostały te same, ale babulka przeglądając się w dużém zwierciedle, widziała tylko pyszną suknię i oszołomiona jéj urokiem uwierzyła, że gdyby w téj chwili kto ją zobaczył, mógłby się w niéj szalenie zakochać! Zresztą, marzyła sobie, serce się nie starzeje, a suknia za dwieście złotych reńskich znaczy także coś we wdziękach kobiety!

Nieszczęśliwe te marzenia podnieciła jeszcze poufna jéj służąca, przebiegła Niemka.

— *Frau Gräfinn*—mówiła do niéj wyekspensowawszy przy jéj ubieraniu dziesięć tuzinów szpilek—*frau Gräfinn* zrobi dzisiaj w téj sukni wielką konkietę!... Graf *Lajas* będzie zazdrośny, jeżeli przyjdzie *der schöne Stefan!* Ja już przedwczoraj to spostrzegłam!

Hrabia *Lajas* miał lat sześćdziesiąt i był codziennym gościem hrabiny.

— Co téż ty mówisz!—odpowiedziała z radośnym uśmiechem babulka wykręcając się do zwierciadła—co téż ty mówisz! Gdzie mi tam do miłości!

— Cóż to! Przecież hrabina nie jesteś wcale starą! *Eine Füntzigerinn* może przecież jeszcze serca zdobywać! Księżna *Monnachehini*, u któréj służyłam, odbierała liściki miłosne, gdy miała już lat siedmdziesiąt!

— Ja siedmdziesiąt lat nie mam, ani sześćdziesiąt, ani... —mówiła babulka kręcąc się jak manekin przed zwierciadłem—ale... zawsze aby ich kochać... a zresztą widzisz *Marie* dawniéj to można było. Ja sama znałam wypadki takie, ale dzisiaj jest młodzież tak popsuta...

— Jest popsuta to prawda, ale przecież hrabina tego powiedzieć nie możesz, abyś była bez adoracyi!

— No... widzisz... to prawda... znajdą się ludzie, którzy mi jeszcze kadzą podchlebstwem...

I znowu wykręciła się przed zwierciadłem, aby festony sukni należycie admirować.

— Nie jest proste pochlebstwo... ja sama przecież wiem, że hrabia *Ivanyi...*

— Et, pleciesz! — odpowiedziała uradowana babulka i uderzyła Niemkę po ramieniu... — tobie wiele rzeczy tylko tak się wydaje! Gdzieżby hrabia Ivanyi kochał się we mnie!

Tym trybem szła daléj rozmowa. Babulka przeczyła słowom Niemki, ale dla tego tylko, aby Niemka coraz więcéj dowodów wydobywała, że w niéj ten lub ów się kocha, że jest jeszcze do zakochania się.

Słowa te sprawiały jéj wielką przyjemność. Przeglądając się w zwierciedle, widziała się po każdém słowie Niemki młodszą i ładniejszą. Wynajdywała najlepsze pozycye oświetlenia i widocznie chciała sama siebie z wielką ochotą oszukać. W tym celu pod pozorem, że światło ją razi, kazała nawet niżéj firanki spuścić.

Do tego dobrowolnego złudzenia nie mało przyczyniła się nowa suknia. Misterne jéj draperye kunsztowném światłem oświetlone tworzyły bardzo piękny widok.

— Widzisz Marie—rzekła w końcu szczęśliwa babulka —ze wszystkich tych o których mówisz że kochają się we mnie, lub mogą się zakochać, najlepiéj mi się podobał pan Tarło!

— Prawda, bardzo przystojny mężczyzna! *Ein echter polnischer Graf!*

— Ja byłam brunetką i dlatego lubię blondynów!

— Jakto? Hrabina jeszcze dotąd jesteś brunetką!... Przecież aby być brunetką, to nie tyle od włosów zależy, ile od cery twarzy. A hrabina masz cerę twarzy prawdziwéj brunetki! Hrabina jesteś brunetką jakiéj drugiéj nie łatwo znaleźć w całém mieście!...

Babulka uśmiechnęła się do zwierciadła, które w téj chwili odbiło jéj twarz w nader korzystném rembrandowskiém oświetleniu, przy którém wszystkie zmarszczki nagle zniknęły!...

W przedpokoju ozwał się dzwonek.

— *Herr von Tarło!*—zawołał z salonu służący.

— Widzisz hrabina!—rzekła Niemka—czyż nie jestem dobrą wróżką?...

Babulka była w téj chwili najszczęśliwszą kobiétą pod słońcem.

Z uśmiechem szczęścia, o dziesięć lat młodsza nadzieją zwycięstwa wyszła do salonu.

Dziwna rzecz! Nigdy jeszcze nie wydała się Stefanowi tak brzydką jak w téj chwili!

Dlaczegóż wydała mu się tak brzydką? Czy usposobienie jego dzisiejsze temu winne?...

Zdaje się, że sama babulka była temu winna. Starość bowiem w szatach pretensyonalnych, starość z nadzieją zwycięstwa na twarzy jest brzydką, strasznie brzydką!... I taką rzeczywiście była w téj chwili babulka.

— Zapewne jakieś psotne duszki powiedziąły panu abyś przyszedł w téj chwili!—rzekła do niego z słodkim uśmiechem. Usiadła na kanapie i obok siebie zrobiła miejsce Stefanowi.

— Czy ta chwila jest tak dobrze obrana?—zapytał z pogardliwym uśmiechem Stefan.

— W duchowym świecie kobiety są pewne chwile, które są dla niéj nader niebezpieczne!

Stefan ugryzł się w usta, aby bólem fizycznym przytłumić jakiś ból wewnętrzny, który w téj chwili uczuł.

— Wiele zależy—odpowiedział—od usposobienia mężczyzn, właśnie w takich chwilach!

— Pan zaczynasz być niegrzecznym!—odparła uderzając go pieszczotliwie po ramieniu—mężczyzna gdy mówi z kobietą, powinien wszystkie swoje usposobienia za drzwiami zostawić!

Stefan westchnął i podparł ręką głowę. Spojrzał melancholijnym wzrokiem przed siebie.

Poza ta miała wyrażać wyższy, poetyczny smutek i zmusić hrabinę do wypytywania się o powody tego smutku; w istocie zaś była ona dla Stefana prawdziwém łożem madejowém! Nie spodziewał on się tak nagłego zwrotu i inny ułożył sobie plan; ale suknia nowa i Niemka wszystko popsuły.

— I czegoż moje *bobo* jest takie smutne?—zapytała z czułością i posunęła mu zmarszczoną, zimną ręką po twarzy, zacząwszy od czoła a skończywszy na brodzie.

Stefan wzdrygnął się. Zdawało mu się, że jakiś zimny płaz przepełzał mu przez nos i czoło.

— Czy zbudziła tam rączka moja jakie marzenia miłosne?—zapytała pieszczotliwie babulka.

Wielką ochotę miał Stefan odpowiedzieć, że rączka jéj nie zbudzić, ale zamrozić mogłaby najgorętsze marzenia, ale powstrzymał się. Przetarł ręką po czole, aby zetrzeć ztamtąd wszelki ślad téj zimnéj rączki.

— Marzenia moje—odpowiedział smutno—są podobne do rozpierzchłych gołębi, na które jastrząb z wysokich obłoków uderzył!.. Trudno, bardzo trudno je pozbierać!

— To nie trzeba latać pod wysokie obłoki!—rzekła babulka biorąc go za rękę — gdzie takie ptaszki latają co mają młodziutkie, lekkie skrzydełka!.. Za takiemi ptaszkami nie jeden karku nakręcił!..

Lepiéj szukać bliżéj ziemi i wybierać między temi, które nie tak wysoko latają!..

Stefan siedział zamyślony i nic na to nie odpowiedział.

— Widzisz? Nic nie odpowiadasz mój *Istvanku*?—szczebiotała znowu babulka—sam uznajesz, że mam słuszność! Boć to święta prawda co mówię! Tylko starzy uganiają za bardzo młodemi! A ty moje *kuku* jesteś przecież tak młodym!

— Chciałbym być bardzo starym!—odpowiedział zgryźliwie Stefan,

— A na co ci tego? To przyjdzie samo z siebie! Ja zawsze ze strachem myslę o starości!... Chociaż w téj chwili czuję się jeszcze młodą, to jest, nie starą, ale zawsze jest to okropnie gdy ta starość przyjdzie!... Prawda!... Dzisiaj jeszcze mam tyle gości ile chcę, a potém to i pies nie przyjdzie!..

Stefan nie mógł powstrzymać uśmiechu mimo zmartwienia jakie miał w téj chwili. Ułożony bowiem plan na nic się nieprzydał, a trudno mu jakoś było do zmienionéj sytuacyi naprędce porwane nitki tego planu nawiązać. Westchnął jednak po chwili i rzekł:

— *Madame!* Przepraszam, że moje odpowiedzi nie zawsze stosują się do słów wyrzeczonych. Jak powiedzia-

łem myśli moje są rozpierzchłe, są przygnębione wielkim smutkiem!

— Wielkim smutkiem!... O mój mały *fru-fru!* czemuż mi o tém nie mówisz? Czy nie wiész że masz we mnie szczerze kochającą siostrę?.

Rzekłszy to, przysunęła się do niego i obie ręce oparła na jego ramieniu.

— To być w żaden sposób nie może!—odpowiedział z tragicznėm westchnieniem Stefan.

— Powiedz tylko mój *pli-pli*, powiédz; proszę cię, powiedz!

— Nigdy w podobném położeniu nie byłem, nie odważę się!

— Mów otwarcie, jak przed siostrą! Mów *baratom!*

— Zlituj się pani nademną... nie pytaj tak natarczywie, bo gotowym uledz!

— Nie, nie przestanę, póki mi wszystkiego nie powiész!.. Może ci potrzeba pieniędzy?

Stefan zarumienił się. Są pewne rzeczy, które w myślach nie sprawiają takiego wrażenia jak w słowach; wymówione po nazwisku mimowoli pędzą krew do twarzy.

— Mów mój *gris-gris*, czy chcesz pieniędzy—pytała natrętnie babulka.

Nieznośna! — pomyślał sobie Stefan — czego ona tak dziwnie stylizuje! Czy nie możnaby to jakoś inaczéj ubrać? Pocóż zaraz rzeczy tak obcesowo po nazwisku nazywać?

Była chwila, ale bardzo krótka chwila, że Stefan chciał wstać i za wszelką pomoc babulki podziękować. Chciał nawet zaprzeczyć, jakoby pieniędzy potrzebował. Było coś nader rozkosznego w téj przelotnéj myśli. Uczuł przelotną rozkosz dumy szlachetnéj... ale to uczucie wnet przeminęło!

Jak zmora złowroga wysunęło się mu przed oczy pojutrze... nowe stosunki jego kazały mu przyjąć wspaniale pojutrzejszych gości, z tego przyjęcia mógłby potém niejedną może korzyść wyciągnąć... jest to chwila dla niego stanowcza! Jeżeli z niéj nie skorzysta, jakież mogą być następ-

stwa? Najsmutniejsze! Nowi znajomi ujrzeliby na nim tylko sztuczny blichtr, w słowach jego widzieliby prostą blagę... odwróciliby się z uśmiechem od niego!...

Nie, tak lekceważyć swego jutra nie można, pomyślał sobie Stefan i westchnął ciężko.

— Zgadłaś hrabina!.. Potrzeba mi pieniędzy—wystękał nie bez bólu.

— Widzisz ptaszku!.. Ja zaraz to po tobie poznałam! —odpowiedziała z kokieteryą babulka.

— Pieniędzy!.. Oj wam tylko pieniędzy zawsze potrzeba! Ale pamiętaj *Istvanku!* Jak mi się przeniewierzysz i nie będziesz tutaj codziennie bywał... to... raz tylko uda się sztuka! A zresztą muszę ci powiedzieć, że jestem mściwa, jestem Węgierka! Gdybyś na to zasłużył, to bądź pewny że moja zemsta wszędzie cię dosięgnie!..

Mówiąc to, podniosła zmarszczone ręce do góry, z których wysuwały się ostre, prawdziwie kocie pazurki.

Stefan się wzdrygnął na widok tych pazurków staréj kotki... ale za chwilę te same pazurki wyjęły z pugilaresiku kilka znakomitych biletów bankowych i wsunęły mu w zanadrze.

Poczuwszy na piersiach tuż przy sercu gruby zwitek banknotów, zapomniał Stefan o pazurkach i przebytych torturach, a rozkoszne pojutrze stanęło przed nim w całym blasku.

Szczęśliwy jeszcze wypadek dopomógł mu w jego nie nader przyjemnéj roli. Ozwał się dzwonek, i nowych gości zapowiedział służący. Stefan miał tylko tyle czasu, że babulkę mocno za rękę ścisnął i szybko ku drzwiom odskoczył.

X.

Tajemniczy człowiek.

W życiu Stefana nastąpiła teraz znaczna zmiana. Z wdzięczności dla Węgierki wziął sobie w hotelu *zur ungrischen Krane* dwa piękne saloniki na pierwszém piętrze, a w księdze podróżnych zapisał się „Graf Tarło“. Z podobnym tytułem kazał sobie wydrukować karty wizytowe.

Odźwierny i numerowy nic nie mieli przeciw temu tytułowi, bo wiedzieli, że wszyscy mieszkańcy z nad Wisły lubią po hotelach ten tytuł, za który sowicie płacą. Przeciwnie, dla hotelu było to nawet pewną dumą, jeśli wiele tytułów mógł na tablicy numerowy wykazać. Opowiadają, że pewnego razu gospodarz hotelu, gdy wstawszy od dobrego śniadanka na tablicę spojrzał i tylko jednego księcia i dwóch hrabiów znalazł, zagniewany odezwał się do odźwiernego:

— *Was ist das? Nur ein Fürzt und zwei dumme Grafen?* Zrób ich przynajmniéj dziesięciu. Żaden się za to gniewać nie będzie i każdy jeszcze więcej zapłaci!... Jutro niedziela, ludzie zazwyczaj przychodzą do hotelu szukać na tablicy dłużników, niechże przynajmniéj mają co czytać!...

I od tego czasu z wielką rozkoszą zapisywał odźwierny każdego hrabiego, a nawet sam dodawał te tytuły, mianowicie jeśli poznał, że lokator po polsku albo po francuzku mówi.

Stefan rzeczywiście, według zdania odźwiernego zasłużył na tytuł hrabiego. Najprzód najpierwszy, to jest najdroższy krawiec Gunkl przysłał mu całą pakę nowych ubiorów. Stefan codzień ubierał się w inne kurtki i żakiety, a trzeba przyznać, że umiał je nosić.

Herbata i partyjka z hrabiami węgierskimi i jednym księciem niemieckim, wypadła świetnie: Stefan nie tylko wygraną pokrył znaczne koszta wieczerzy, ale nawet coś mu się zostało.

Po téj wieczerzy otrzymał obywatelstwo tego kółka, w którém żyli jego goście.

Stefan pozwolił teraz sobie nawet przejażdżki w ekwipażyku, wprawdzie najętym, ale mającym pozory prywatnego; nawet lokaja posadził za sobą.

U Pauliny bywał bardzo często. Osobliwie herbatki *en famille* z nią razem i Anną bardzo lubił. Annę znalazł bardzo ładną i lubił jéj naiwność, którą starannie podtrzymywała Paulina, utrzymując ją względem swego położenia w pewnych złudzeniach.

U babulki zaś bywał rzadko i tak zawsze wizyty swoje urządzał, że zawsze zastawał tam liczne towarzystwo i nigdy ostatni nie wychodził. Babulka nie mogła się z nim wprost rozmówić i tylko przez różne alluzye dawała mu do zrozumienia, że nie jest z niego kontentą, a Stefan był w takim razie tak niedomyślnym, że takich alluzyj wcale nie rozumiał!

Tym sposobem przez kilka tygodni nader przyjemnie upływało mu życie. Prócz tego jeszcze zdarzył się wypadek, że Stefan przez pewnego znajomego Pauliny zażądał protekcyi w wyższych sferach rządowych. Znajomy Pauliny w roztargnieniu zażądał biletu Stefana i na nim kilka słów napisał do referenta, którego znał dobrze. Referent opiera-

jąc się na powadze protektora użył bez namysłu w urzędowéj odpowiedzi tytułu hrabiego.

Urzędowe pismo z podpisem wysokiego urzędnika zostało hrabiemu *dem hochwohlgeborem Hernn Grafen* przez woźnego doręczone na ręce gospodarza hotelu.

Pismo to leżało teraz zawsze u Stefana na stole. Spraszał nawet umyślnie gości, aby mogli obaczyć leżącą na stole urzędową korrespondencyę, w któréj nazwano go: *Graf!*

Trudno było odgadnąć, co właściwie Stefan z tym tytułem zamierzał. Tytuł sam przez się nie był złą rzeczą, ale tytuł dla człowieka biédnego jest wielkim zbytkiem! Kosztuje on w hotelach bardzo wiele!

Stefan jednak nie zważał na to, zdawało się, że wraz z tytułem wszedł w niego duch jakiegoś rzeczywistego hrabiego rozrzutnika: zaczął żyć na wielką, to jest, kosztowną stopę.

Paulina wiedziała, że to pieniądze babulki tak w świat umykają, ale często nad tém myślała, jaki właściwie koniec to wziąć może. I przyszła do tego przekonania, że Stefan rozrzutném życiem chce sobie poprostu kredyt wyrobić, jak to się w wielkich miastach zdarza, aby potém z tego kredytu dziesięć razy więcéj korzystać, niżeli rzeczywiście się straciło! Nie miała nic przeciw temu, bo zwątpiwszy raz o moralnych zasadach ludzkości, nie widziała więcéj w niczém powodów niemoralnych.

Podobało się jéj nawet, że Stefan otoczył się pewną arystokratyczną aureolą, co niemało wpływało na zbierające się u niéj czasem towarzystwo.

Kilka tygodni upłynęło w ten sposób. Stefan był oszołomiony swojém powodzeniem w stosunkach towarzyskich. Co dzień rozszerzało się koło znajomych, a znajomi ci należeli po większéj części do sfer wyższych tak pod względem urodzenia jako i majątku.

Pewnego dnia spostrzegł Stefan, że coś się koło niego dzieje, o czém nic nie wié.

Ile razy szedł do Pauliny na herbatę lub obiadek, widział zawsze stojącego przed kamienicą nieznajomego człowieka, który pilnie mu się przypatrywał i za nim patrzył, gdzie pójdzie.

Był to człowiek wysoki i chudy. Ubiór miał na sobie przyzwoity, gruby złoty łańcuch przy zegarku i funt breloków z których kilka błyszczały drogiemi kamieniami.

Człowiek ten czasami stał w sieni przeciwległéj kamienicy i pilnie go obserwował.

Nawet przy mieszkaniu babulki spotykał często tego człowieka. Widział go nawet po hotelach i jadał z nim przy *tâble d'hôtes*, ale nie mógł się dowiedziéć, ktoby on był!

Człowiek ten widocznie śledził każdy krok jego.

Cóżby to była za przyczyna? Czy grozi mu jakie niebezpieczeństwo? Czy tajemna jaka intryga owija go niewidzialném pasmem, aby go potém nagle w przepaść jaką wtrącić? Czy może zazdrosna babulka najęła płatnego szpiega, który jéj ma donosić o wszystkich jego krokach?...

Zaczął się nad tém zastanawiać. Przechodził najrozmaitsze prawdopodobieństwa, ale po chwili namysłu żadnego z nich nie uznał prawdopodobném. Z władzą bezpieczeństwa nie był dotąd w żadnéj kollizyi. Nie przekroczył żadnego, choćby najnędzniejszego paragrafu kodeksu w znaczeniu litery.

Było to dla niego coś niepojętego, chociaż na ślad już kilka razy myślą wpadał.

Z krewnym Hohenstauffów nie wchodził w bliższe stosunki, raz że był to dziwak, a powtóre że był ubogi. Był jednak u niego i zostawił mu swoją kartę. Krewny Hohenstauffów dowiedziawszy się z karty, że w swojéj liberyi miał hrabiego, pośpieszył prędko z wizytą, a nie zastawszy go w domu zostawił mu nawzajem także kartę swoją.

Pewnego dnia przypomniał sobie Stefan krewnego cesarzów i poszedł do niego. Miał w tém pewny planik, który chciał dla swojéj satysfakcyi przeprowadzić.

Krewnego Hohenstauffów zastał jak zazwyczaj przy czyszczeniu szorów. Właśnie nie miał w téj chwili nikogo do swojéj liberyi i musiał za to wysłużonemu żołnierzowi kilkanaście centów płacić!

— Hrabio—rzekł do Stefana krewny Hohenstauffów— oszukałeś mnie. Wlazłeś tak gładko w liberyą jakbyś był plebejuszem. Tak nie godziło się ze mnie żartować!

— Widzisz hrabio—odpowiedział Stefan z uśmiechem —wszystkiemu temu winny doktryny wieku!

— Ale człowiek wysoko urodzony, powinien miéć wrodzony wstręt do liberyi!

— Zaciera to się czasem hrabio!

— Masz słuszność.. przez mieszanie krwi! Te doktryny wieku wszystkiemu winne!.., Czy wiesz hrabio, jakiego następcę miałeś w liberyi?... Był to dyrektor teatru, któremu przyszło do głowy, dawać w swoim teatrze same sztuki klasyczne! Zbankrutował biedak, bo publiczność chciała głupich fars i karczemnych operetek!... Wyobraź sobie hrabio, znalazłem go na téj saméj ławce co ciebie. Był to człowiek nader wyrozumiały. Od razu wlazł w liberyą, co było bardzo naturalném, bo aktor uczy się wszystkiem być... Biédny dyrektor. Powodzenie Schupego i Offenbacha tak go martwiło, że musiałem go zaprowadzić do domu obłąkanych.... Oto dzisiejsze doktryny!

Stefan zmarszczył czoło, zapalił cygaro i ozwał się po chwili milczenia:

— Ale wracając do liberyi... winieneś mi hrabio satysfakcyę.

— Myślałem o tém—odparł z największym spokojem krewny Hohenstauffów chuchając na posrebrzaną blachę.

— I jakże tę rzecz załatwimy?.... Wsadziłeś mnie w liberyę?

— Prawda i jakkolwiek z niewiadomości to popełniłem, jednak masz hrabio zupełny regres do mnie.

— Przychodzi mi dobry koncept do głowy. Byłem hrabio twoim lokajem, gdy ty jechałeś w swoim ekwipażu... teraz ja w nim pojadę, a ty hrabio będziesz lokajem!

— Nic słuszniejszego nad to żądanie—spokojnie odpowiedział krewny Hohenstauffów— rozumie się, jeśli sprawa jest między równemi. Dowiadywałem się już o rodzie Tarłów i wiem że są godni Fichtenauów!... A więc kiedy hrabia chce téj satysfakcyi?

— Może zaraz?

— Dobrze!

Za godzinę darli dwaj cesarzowie, Barbarossa i Henryk Ptasznik przez „Kärnthnerring“ a za nimi toczył się elegancki powozik z herbem na drzwiczkach.....

Stefan powodził końmi nadwyczaj wprawną ręką i z elegancyą prawdziwie arystokratyczną. Za nim, złożywszy wkrzyż ręce siedział krewny Hohenstauffów z taką powagą i uroczystością, jakby odbywał pokutę za popełniony grzech śmiertelny, poczém miało nastąpić rozgrzeszenie.

Niedaleko swego mieszkania spotkał Stefan znowu tego tajemniczego człowieka, który wszystkie kroki jego śledził. Spotkanie to, jak się zdawało, uradowało Stefana. Nadzwyczaj powoli przejechał koło niego i spostrzegł, że tenże z uwagą przypatrywał się herbom.

Za kilka chwil powiedział krewnemu cesarzów, że już ma teraz wszelką satysfakcyę i że teraz zostaną przyjaciołmi od serca: Fichtenau podał mu rękę i obaj rozeszli się.

Zaledwie do swego mieszkania przyszedł, zapukał ktoś lekko do drzwi.

Do pokoju wsunął się powoli ów człowiek tajemniczy.

Stefan przypatrzył mu się teraz bliżéj!

Był on chudy i wysoki, podobny do illustracyi Don-Kiszota. Osobliwie uderzyło Stefana, że człowiek ten jakby ustawicznie coś połykał: węzeł krtani chodził mu to na dół, to do gory.

— *Herr Graf*—ozwał się tajemniczy człowiek—jestem Jonas Schmilles, jeden z braci znanego tutejszego wekslarskiego kantoru, który prowadzi interesa bankierskie!

Stefan uśmiechnął się, prosił wekslarza aby usiadł i podał mu drogie cygaro.

— Cóż za interes sprowadza tak szanowną spółkę do mnie? – zapytał.

— Interes bardzo dobry i zyskowny, Herr Graf! – odpowiedział Jonas i połknął.

— Czy mogę coś bliżéj o nim wiedzieć?

— Najprzód chcielibyśmy wiedzieć, czy pan graf chce w jaki przedsiębiorczy interes wchodzić?

— Hm... to zależy od interesu! Wprawdzie dawniéj interesa podobne zostawialiśmy innym ludziom, ale dzisiaj zmieniły się idee, a jak pierwéj obowiązkiem naszym było iść na czele hufców wojennych, tak dzisiaj obowiązkiem naszym jest pomagać ludzkości do walki o lepszy byt materyalny!... Są to zawsze obowiązki względem społeczeństwa!

— Pan Graf mówisz bardzo rozsądnie! Tak być powinno, chociaż inni ludzie inaczéj mówią! Dzisiaj „spółka“ to więcéj niżeli największy pan! Co dawniéj sto panów nie zrobiło, to dzisiaj zrobi „spółka“.

— Z jakimże interesem przychodzisz do mnie panie *Jonas Schmilles*?.

— Interes jest teraz u nas jeden i ten sam. Zawiązujemy spółki dla banków, kolei żelaznych i innych przedsiębiorstw! Są to interesa najlepsze i przynoszą miliony!

— Jakto, czy wszystkie tak się dobrze udają?

— Udają czy nie udają, to do nas nie należy... my zakładamy! W tém jedném słowie jest nasz zysk, jest nasza spekulacya!... Jeżeli kto kamienicę buduje na to, aby ją sprzedał, gdy się skończą wszystkie roboty, cóż go to obchodzi, czy ta kamienica będzie stała sto lat czy dwieście!

Stefan uśmiechnął się; znał on się już trochę na takich interesach.

— I jakiż przedmiot do téj spółki obieracie panowie? Tyle jest już banków!

— Banków mamy bez liku! Nasze przedsiębiorstwo będzie czysto przemysłowe. Ogólna nasza nazwa będzie: „Spółki eksploatacyi“. Weźmiemy w nasz zakres wszystko co tylko da się w jakikolwiek sposób eksploatować. Zniży-

my się do najmniejszych napozór artykułów, które jednak w massie miliony przynoszą. Nie wzgardzimy zapałkami ani sztyftami do butów! Drobne bowiem rzeczy zostawione są dotąd fabrykantom ubogim, którzy bez kapitału je produkują: my z kapitałem zabijemy wszystkich i cały zysk zagarniemy!..!

— Chciéj mi pan coś bliższego o tém powiedziéć!

— Całego planu użyczę panu Grafowi późniéj, dzisiaj tylko w kilku słowach zamysły nasze skreślę, w których główną rolę gra zakupno lasów karpackich i większych tamże obszarów ornych, aby je potém z korzyścią parcelować. Na wytrzebionych lasach założymy kopalnię asfaltu, ałunu, potażu, soli, nafty i srebra, którego są już ślady. Słowem „spółka exploatacyi" narobi hałasu na całą Europę, a miliony cisnąć się będą do nas!

Przy słowie „miliony" wyprostował Stefan nogi i wydmuchnął całą chmarę dymu na Jonasa Schmillesa, chcąc go za to słowo otoczyć obłokami! Schmilles Jonas połknął kilka tych obłoków.

— Zależeć to jednak będzie od pierwszego wrażenia!— zauważył Stefan.

— Pierwsze wrażenie już mamy zabezpieczone. Za pewną liczbę akcyj zakładowych pozyskaliśmy kilka znakomitych dzienników, które natychmiast sprawę tę podniosą do znaczenia europejskiego.

— Nie wiem jednakże, czego właściwie spółka odemnie żądaćby mogła!... Na razie nie jestem przy gotowym kapitale.....

Jonas Schmilles połknął, uśmiechnął się nieznacznie i odpowiedział:

— Pan graf nie potrzebujesz dać ani centa! Kto ma takie nazwisko i stosunki, ten już ma kapitał, a o ten kapitał właśnie prosimy hrabiego, abyś go włożył do naszego przedsiębiorstwa.

— Moje stosunki.... moje stosunki nie wiem czy byłyby w tym względzie tak znakomitym kapitałem!

— Pan graf przecież w dobrych stosunkach z panią baronową.... a to wiele znaczy!

Stefan uśmiechnął się jak człowiek nadzwyczaj zadowolony. Uśmiech ten miał być odpowiedzią.

Teraz dopiero przypomniał sobie owe cyfry wysokie, wyczytane z podkładki papierowéj w owym pokoiku Pauliny, które jakaś nieznana tam ręka nakreśliła...

— A nazwisko pana grafa jest nam bardzo potrzebne — prawił daléj wekslarz — bo my przedwszystkiem chcemy przez ustanowienie tanich akcyj działać na sfery uboższe. Jakkolwiek firma nasza „*Gebrüder Schmilles*" znaną jest powszechnie całemu światu finansowemu, ale lud na prowincyi i uboższa klassa po miastach i miasteczkach więcéj lgnie do dawnych rodów i tytułów!

— Więc spekulacya ta obliczona jest przedewszystkiem na sfery uboższe!

Jonas przełknął raz i drugi i odparł:— Tak jest!

Stefan zamyślił się na chwillę. Była to operacya znaczna, mająca głównie na celu ludzi ubogich, łatwowiernych. Spółka namacalnych korzyści na przyszłość nie miała, ale mogła zawsze przez małe akcye zgromadzić znaczne miliony. Coby się stało potém z temi milionami?...

Dziwny jakiś prąd elektryczny przebiegł po całém ciele Stefana. Było to jakieś dziwne, nieokreślone uczucie. Trwoga wewnętrzna opanowała go.

Cóżby to mogło być za uczucie? Czy to jest obawa, że w razie niepowodzenia spółki, tysiące biednych ludzi stracą krwawą pracą uskładane małe kapitaliki i zejdą do nędzy i rozpaczy. Czy to jest proste przeczucie że cała ta operacya jest z góry obliczona na wydarcie tym biednym uskładanego grosza?.... A może ten dreszcz dziwny jest tylko skutkiem tego czarodziejskiego słowa: miliony?...

Była znowu krótka chwilka, ale nader krótka, że Stefan chciał się cofnąć od téj propozycyi. Ale zaraz po niéj przyszła mu smutna myśl, że pieniądze babulki i inne, które za pomocą znajomości swoich uzbierał, już są na schyłku,

a powtórny szturm do babulki nie przedstawiał wiele szans wygranéj!....

Gdy się obliczył, był prawie bez jutra, a całe jego dzisiejsze państwo mogło za kilka dni runąć jak domek z kart i rzucić go napowrót tam, gdzieby już drugi raz w życiu wrócić nie chciał!...

Nie było żadnéj innéj drogi.... potrzeba było iść tą, którą mu los wskazywał!

A zresztą czyż on jeden tą drogą pójdzie? Czyż nią nie idą inni? A do tego!, czyż każde podobne przedsiębierstwo ma być szalbierstwem? Może wprawdzie zbankrutować, akcyonaryusze stracą swoje akcye.... ależ czyż to pierwsze przedsiębiorstwo w ten sposób bankrutuje i jeszcze przecież nikogo do kryminału nie wsadzili?....

— Zachodziłyby tu jeszcze niektóre trudności—ozwał się po chwili Stefan—jakież na przykład byłoby moje stanowisko?

— Byłbyś pan najprzód jednym z założycieli—odpopowiedział Jonas—na prezesa wybralibyśmy jednego ze znakomitych mówców państwa, który należy do skrajnéj opozycyi przeciw ministrowi!

— Ze skrajnéj opozycyi? Co to znaczy? Spółka potrzebuje figur rządowych?

Jonas przełknął, rozśmiał się z pewną zarozumiałością i odpowiedział:

— Mamy w tém jeszcze pewne obliczenie. Minister nie potrzebuje figur, które już są z przekonania i pozycyi rządowemi, ale potrzebuje kaptować oponentów. Im krzykliwszy jest oponent, tém większe może mieć względy, bo chodzi o to głównie, aby mu gębę czém zatkać. Już takich gąbek pozatykało się wiele i ledwie jeszcze jedna z lepszych dla nas została!

— Spółka dobrze umié rachować!

— Idźmy daléj. Gdybyś pan graf był tylko założycielem, to między niémi znikłoby nazwisko grafa, tak samo jak kiedy człowiek między dwódziestoma znika. Otóż spółka

aby należycie spożytkować nazwisko grafa, zamianuje go swoim sekretarzem generalnym w ten sposób, że to nazwisko dwa razy figurować będzie na wszystkich odezwach naszych: raz jako założyciel, a drugi raz jako sekretarz generalny!

— Hm, hm, to myśl nie zła!—zauważył Stefan i wydmuchnął znowu chmary dymu.

— Rozumié się—wtrącił prędko Jonas—że sekretarz pobiérać będzie pensyę dziesięć tysięcy złotych reńskich.

Stefan rozłożył szeroko nogi, zatknął obie ręce do kamizelki pod ramionami i zaczął jedną chmarą dymu po drugiéj puszczać to przez nos, to po pod wąsy aż do drzwi pokoju.

— Oprócz tego pewną ilość akcyj, jaką każdy założyciel bierze sobie za risico interesu i kapitału zakładowego na pierwszy moment!

Stefan podwoił chmary dymu. Chciał jeszcze daléj nogi wysunąć, ale już stawy nie pozwalały!

— Interes jest do przyjęcia—odpowiedział po chwili namysłu z udanym spokojem—chodzi tylko o to, aby przedsiębiorstwo miało dobrą przyszłość.

— Jakabądź jego przyszłość będzie—odparł z ukrytym uśmiechem Jonas—staraniem spółki i jéj kierowników będzie aby pierwsi założyciele i sekretarz generalny dobrze na tém wyszli!

Stefan powstał, bo potrzebował odetchnąć pełną piersią. Na znak zgody podał rękę Jonasowi.

— Więc interes skończony Herr Graf— rzekł Jonas— resztę na posiedzeniu poufném!

I obaj rozstali się jak dawni zażyli przyjaciele.

XI.

U szczytu!

Stefan stanął teraz prawie u szczytu szczęścia swego. Co tylko kiedykolwiek zamarzył, wszystko to było dzisiaj rzeczywistością, a nawet przewyższało wszelkie jego dawniejsze marzenia!

Najprzód oddał hołd swemu mistrzowi z Frankfurtu, który kazał mu pozbyć się swego małego jutra aby zakroić na wielkie i zdobyć je! Poznał teraz, że tylko brak tego małego, wygodnego jutra, pozwolił mu pozbyć się wielkich tkliwszych skrupułów, które zazwyczaj spokojnego człowieka napastują, a o których nic nie wié człowiek, który głodny walczy o swoje jutro!

Gdyby Stefan był mająteczek ojcowski zatrzymał, lub jaką nauką pożyteczną na jutro mógł sobie zarobić, byłby dzisiaj malutkim człowieczkiem o tysiącu najwięcéj złotych dochodu! Byłby chodził po bożym świecie głodny i skulony i żółciowém okiem patrzałby na wszystko coby go otaczało! Rachować-by się musiał z każdym kęsem chleba, z każdą drobną przyjemnością i zdala patrzałby z upragnieniem na ludzi bogatszych, ktorzy swobodnie bożych darów używają!

On zaś dzisiaj stanął w pierwszym szeregu szczęśliwych śmiertelników! On nie potrzebuje na nic się oglądać, potrzebuje tylko zamażyć i chcieć, a wszystko staje się podług jego woli!....

Czy jednak na tém zyskał człowiek moralny?.... Oto w téj chwili nie pytał się Stefan.

Dostatki mają tę właściwość, że mogą zapełnić wszystkie chwile życia. Nieszczęściem byłoby tylko, gdyby nastąpiła jaka pauza! Pauza ta jest tém okropniejszą, że śród niéj odzywa się ów człowiek moralny, który pod natłokiem różnorakiego użycia zapada w letarg i zdaje się być umarłym!

Takiéj pauzy jednak nie było teraz w życiu Stefana.

Operacye nowej spółki rozpoczęły się. Gromadzono ogromne kapitały. Zewsząd małemi strumykami ściekały do głównego koryta małe fundusze ubogich i tworzyły razem miliony.

Ci, co zarządzali tymczasowo témi milionami, brali sobie z nich za trudy swoje pełnémi garściami!....

Bracia Schmilles uwijali się w angielskich karetach po ulicach i rzucali tymczasowo te miliony na giełdę. Generalny sekretarz założył sobie dom wspaniały, bo życzeniem spółki było, aby na massy działać ostentacyą niezmierzonych dostatków!... Dwóch ludzi w liberyi stało w przedpokoju i otwierało na oścież każdemu biédnemu wspaniałe podwoje, który wnosił swój grosz długoletnią pracą złożony! Trzy dzienniki stołeczne i dwa zagraniczne umieszczały codziennie długie artykuły o nowéj spółce, prorokując jéj powodzenie niesłychane!.....

Przez zajęte teraz stanowisko wszedł Stefan w stosunki z najbogatszemi domami stolicy. Wielu było między niémi, którzy w krótkim czasie na giełdzie dorobili się znakomitych majątków.

Ci rycerze giełdy byli to ludzie dziwnego rodzaju. Najczęściéj bez żadnego humanitarnego wykształcenia przyszli nagle, bez pracy, bez stopniowego powodzenia, do milionów. Z milionami przyszła im chęć użycia świata i tego wszyst-

kiego, co życie daje. Życie jednak znali tylko z powierzchownéj skorupy i zdawało im się, że koncha nie dla swojéj ukrytéj perły, ale dla skorupy jest tak drogą!

I tak widząc z przeczytanéj pobieżnie poezyi i ze słuchu, że istnieje miłość na świecie, chcieli użyć obok pasztetów sztrasburskich i ostryg, także i tego specyału, o którym im powiedzieli poeci że jest rodem z nieba i daje wyobrażenie o rozkoszach niebieskich!

Oni mieli miliony, dlaczegóżby przy milionach nie mieć także miłości?

Spędzano więc stada najpiękniejszych kobiét, na które najczęściéj składały się szare ogony taatrów i instytutów choreograficznych i wyprawiano im uczty lukullusowe! Wino lało się potokami, najdroższe przysmaki połykano jak chléb codzienny, sadzono się na ohydne dowcipy, robiono najformalniejsze kontrakty o posiadanie serca na pewny przeciąg czasu, i to nazywano miłością!

Bachanalia takie wzięto za synonim najszlachetniejszego z uczuć ludzkich!

Nie ma szpetniejszéj poczwary nad człowieka, który oślepł na rzeczy szlachetne i wyższe! Jestto gąsienica, która nie tylko objada zielone listki drzewa, ale oślinia oraz miejsca, po których brzydkiém cielskiem swojém przepełznie!...

Śród takich po większéj części ludzi wpadł teraz Stefan. Usposobienie jego kwadrowało wprawdzie do nich, ale przecież prześcignęli go oni w niejednym względzie. Stefan przywiązywał przynajmniéj pewną wagę do pozorów, tamtych atmosfera cuchnęła najgrubszym cynizmem!.. Stefan uważał życie podobne prawie za środek do uzyskania wielkich bogactw, o których zawsze marzył, dla tamtych życie takie było już celem, bo bogactw mieli podostatkiem!

Stefan był teraz w ustawicznym szale. Po kilkogodzinnéj pracy w biórze następowały gromadne zabawy. Urządzano wytworne obiady, potém dla strawienia, szli wszyscy do lóż pierwszopiętrowych, aby pannę Galmejer podziwiać

w „Pięknéj Helenie“ a około północy w zamkniętych szczelnie lokalach zjadano kosztowne wieczerze w towarzystwie wygorsowanych i wyróżowanych bajaderek!

W ten sposób wyobrażano sobie ideał kobiecy!

Przy téj sposobności rozmawiano wiele o różnych odniesionych zwycięztwach. Każdy chełpił się jakąś awanturką niby miłosną i szeroko o niéj swoim towarzyszom opowiadał! Ten znowu odkrył to, drugi owo i zawiązywały się sojusze, aby rzeczy daléj prowadzić.

Stefan powoli oswajał się z tém życiem. Często nawet dla interesu spółki potrzeba było utrzymywać stosunki z takiemi ludźmi. Czasem nawet sami bracia Schmilles dawali pieniądze na takie zabawki. W początkach zawiązku mianowicie i w pierwszych tak zwanych przedwstępnych operacyach, potrzeba było niektórych ludzi, którzy do takiego grona należeli.

Było to więc dla Stefana nieustanne delirium. Tysiące przemykały się mu przez palce. Własny ekwipaż obwoził go po ulicach stolicy. Każdy dzień powiększał koło jego znajomości.

Śród tego nieustannego ruchu, śród téj zmiany ludzi i obrazów, prawdziwym wypoczynkiem dla niego była... herbata u Pauliny.

Paulina miewała także towarzystwo u siebie, ale było to kółko wybrane, które musiało zachowywać pewne pozory towarzyskie. Być może, że takich pozorów sama pragnęła, a być może, że czyniła to dla swojéj towarzyszki, którą się mocno cieszyła. Mimo wszystkich swoich stosunków towarzyskich, czuła się jednak zawsze osamotnioną. Wielką więc dla niéj przyjemnością było, jeśli wkoło siebie miała towarzyszkę, któréj inne mogła wpoić o sobie wyobrażenia, niżeli mieli zwykli jéj goście. Dla téj więc przyczyny nie pozwalała u siebie na żadną głośniejszą zabawę, a wolniejsza rozmowa była z jéj salonu zupełnie wykluczoną!

Być może, że to było potrzebą dla niéj, być może, że było tylko umiejętne wyrachowanie.

Stefan był zawsze u niéj mile widziany. Najprzód przypominał on jéj młode chwile życia, a powtórnie był jéj prawdziwym przyjacielem, jeśli między takiemi ludźmi jakakolwiek przyjaźń istnieć może. Unikał on u niéj tłumnego zebrania i najczęściéj przychodził wtedy, gdy prócz Anny nikogo nie było.

Była to dla niego prawdziwa chwila wytchnienia. Paulina umiała rozmawiać jak kobieta wysoko wykształcona w granicach najwyższéj przyzwoitości, a Anna czyniła to samo, tylko z odmiennego powodu, to jest, że u niéj nie było to ani nauką, ale wrodzoną naturą.

Horyzont Anny nie był zbyt rozległy, ale umiała zawsze i wiedziała tyle, ile dobrze wykształconéj kobiecie potrzeba. Najwięcéj dodawał jéj uroku pewien praktyczny pogląd na świat i ludzi. Mimo melancholijnego uśmiechu, który sieroctwo wycisnęło jéj na twarzy, widziała cały świat i ludzi w różowém świetle. Usposobienie to nadawało jéj cechę naiwności młodego dziecka.

Stosownie do tego usposobienia przekształciła Paulina całą jéj dotychczasową powierzchowność: kazała jéj długą sukienkę zrzucić, splecione warkocze bujnych włosów rozpleść; natomiast włożyła na nią krótki fijołkowego koloru kostium ze stanem wysoko podniesionym. Kostium ten odsłonił prześliczną jéj nóżkę, która nietylko była zgrabną, ale umiała także zgrabnie stąpać. Włosy spadły w naturalnéj fali na barki i długością swoją zachwycały nie jednego Wiedeńczyka.

Postęp ten odbywał się w oczach Stefana, a czasem nawet i za jego radą. Stefan widział, jak to dziecko natury przybierało zwolna skrzydełka motyle, a skrzydełka te, były z każdym dniem piękniejsze, z każdym dniem miały więcéj bogactwa barw i światła!...

Herbatka więc u Pauliny była dla niego jakby małą oazą śród przesytu życia.

Z Anną lubił rozmawiać długiemi godzinami. Budziła się wtedy w nim jakaś struna, która mu pierwsze jego ma-

rzenia przypominała. Śmiejąc się opowiedział jéj nawet przygodę swoją ze starym pedagogiem tyczącą się kominów i ideałów.

Paulinę nastroiła ta rozmowa melancholijnie, a Anna śmiała się z pedagoga, który w wielkim był kłopocie z powodu bliższych wypytywań Stefana o ideały!

Wieczorki te, jakkolwiek dla Stefana nader przyjemne, nie miały jednak z jego strony żadnéj myśli ukrytéj. Paulinę uważał jako dobrą znajomę, któréj stosunki pozwalały mu o kilka godzin pierwéj wiedzieć o różnych telegramach giełdowych, z czego także i dla niéj niejaka korzyść się okroiła; Anna zaś była dla niego bardzo piękną i nader miłą dziewczyną, któréj widok i rozmowa po bachanaliach choreograficznych były bardzo przyjemne. Nadto nic więcéj.

Paulina pod względem swojéj osoby była z nim w dobrém porozumieniu. Po tém co było, i co ich teraz od siebie przedzielało, wiedziała dobrze, że na jakieś lepsze uczucia ze strony Stefana liczyć nie może; wiedziała również, że zupełnie odmienne cele w życiu sobie zakreślili, z czém się przed nią bynajmniéj nie taił; nie była ona zresztą dzisiaj tak pochopną do jakichś złudzeń.

Z Anną była inna sprawa. Młoda naiwna dziewczyna patrzała na świat sercem niewinném; nie wiedziała co złoto, a co moneta zdawkowa.

Być może, że rozmowy z Stefanem wywarły jaki wpływ na jéj serce sieroce. Stefan mógł się podobać na pierwsze wejrzenie, a w chwilach, w których go widywała, był on zawsze lepszym człowiekiem, niżeli zwyczajnie; przynajmniéj mówił tak, jak tylko zacny i poczciwy człowiek mówić może.

W saméj rzeczy Stefan, usiadłszy sobie wygodnie na wysokości swego powodzenia, miał nawet może ochotę zostać lepszym człowiekiem i użyć swoich dostatków lepiéj, niżeli inni to czynili. Główną gorączką jego było przerzucenie się ze sfery biédniejszéj w bogatszą. Nie czynił on złego

dla złego, ale czynił to w tém mniemaniu, że ono może go do celu doprowadzić!

Instynkta więc Anny nie byłyby może tak złe, jakby się napozór wydawały.

Widać było po jéj twarzy, że lubiła Stefana słuchać, gdy rozmawiał, widać było w jéj oczach pięknych niezwykłą radość gdy wszedł do pokoju; a z drugiéj znowu strony były różne dolegliwości moralne i fizyczne, gdy długo u Pauliny go nie było.

Razu jednego, zbiegiem nadzwyczajnych okoliczności, rozwinął się ten starannie ukrywany pączek, w okazały kwiat róży.

Było to jakoś w kilka miesięcy po rozpoczęciu przedwstępnych operacyj spółki, gdy Stefan zmęczony interesami i niewyspany z wczorajszych bachanaliów, zamierzył pójść do Pauliny.

Niemka otworzyła mu drzwi jak dobrzemu znajomemu, ale z boleścią oświadczyła że *madame la baronne* właśnie gdzieś wyszła za jakimś sprawunkiem.

Mimo téj odpowiedzi Niemki, otworzyły się cicho drzwi salonu, a blada twarzyczka Anny uśmiechnęła się do Stefana. Stefan zawahał się na chwilę, czy ma iść do salonu, czy tylko kilku słowy ją powitać.

— Może pan na chwilę wejdzie?—przerwała to wahanie Anna i szybko cofnęła się od drzwi.—Już w samym głosie Anny spostrzegło wprawne ucho Stefana coś niezwykłego. Był on tak drżący, jak struna metalowa i ostro wrzynał się w nerwy słuchowe.

Stefan otworzył drzwi do salonu.

Teraz przedstawił mu się widok tak dziwny, jaki tylko mógł widziéć na scenie w dramacie.

Na środku salonu stała Anna cała drżąca. Długie jéj włosy spadały bezładnie na ramiona. Czoło miała więcéj odsłonione niżeli zwykle. Było ono dzisiaj nader charakterystyczne. Sine pręgi przebiegały w różnych kierunkach. Wyraźnie widać było na niém ruch myśli niespokojnych.

Bladość twarzy była nadzwyczajna: z taką bladością mają tylko duchy chodzić po świecie...

— Ach panie!—zawołała tym samym dojmującym głosem, który wnikał do głębi duszy—ach panie Stefanie, ratuj mnie!.. Ratuj mnie pan, bo tutaj nikogo nie mam więcéj!...

Załamała drobne rączki, spuściła oczy, a twarz jéj oblała się szkarłatnym rumieńcem.

Stefan nie spodziewał się tak nagłego zwrotu: postąpił szybko ku niéj i wziął ją za rękę.

— Cóż pani takiego?—zapytał szybko—czy pani grozi jakie niebezpieczeństwo?

Anna patrzała ciągle w ziemię. Rumieniec na twarzy rozszerzał się coraz więcéj.

— Ja nie mogę tutaj dłużéj zostać! — wyszepnęła z cicha, a dwie łzy staczały się z jéj oczu.

Stefan na chwilę zmieszał się. Jeżeli bowiem atmosfera tego domu wydała się Annie nieczystą, spadała poniekąd wina i na niego, bo i on przebywał czasem w téj atmosferze!

— Do pana mam zaufanie—mówiła daléj Anna—bo pan zupełnie innym jesteś od tych, których tutaj poznałam. Pan do nich nie należysz, bo nawet baronowa jest w obec pana inną!

Stefan odetchnął. Spadł mu kamień z serca Anna policzyła go do wyjątków; mógł więc śmiało teraz zapytać się jéj, jakie właściwie niebezpieczeństwo zagrażało jéj w tym domu.

— Może kto był niegrzecznym dla pani?—zapytał z postawą mściciela.

— Nie, panie. Mnie tutaj nikt nic złego nie uczynił—odpowiedziała Anna—ale... ale ja nie mogę tutaj dłużéj zostać! Muszę ztąd pójść, muszę pójść jak najprędzéj, bo umrę!

Anna mówiła to śród tak widomych cierpień, tak dziwnie drżał jéj głos, a na twarzy tak różnorakie grały kolo-

ry, że Stefan był zmuszony wziąć ją za rękę i powoli na fotelu posadzić.

Głowa Anny z rozwianemi włosami upadła teraz na poręcz fotelu.

Wyglądała w téj pozie czarująco!

Stefan patrzał czas niejaki na ten piękny obraz. Wiedział on już dobrze, o co Annie chodziło; nie chciał więc zbytniem pytaniem drażnić jéj.

— W jakiż sposób chcesz pani opuścić ten dom?—zapytał po chwili—czy masz pani jakie zamysły?

— Nic nie mam, żadnych planów ani zamysłów—odpowiedziała—prócz téj myśli aby jak najprędzéj ztąd pójść!

— Gdzież chcesz się pani udać?

— Nie mam nikogo tutaj; nic nie mam prócz zaufania do pana, prócz...

Anna umilkła nagle, a Stefan zamyślił się.

— Chciałbym jakim sposobem dopomódz pani—rzekł po chwili—ale nic mi nieprzychodzi do głowy!

— Spuszczam się zupełnie na pana, bo mam do pana zaufanie!

— Możeby się znalazło jakie pomieszczenie u moich znajomych?...

— Rozporządzaj pan mną! Będę sługą, będę piastunką do dzieci, tylko tutaj nie będę!

Anna drżała cała jakby była w konwulsyach; wzrok jéj był niespokojny, jakby się ciągle obawiała.

Stefan tymczasem myślał nad jakim sposobem, aby jéj życzeniu zadość uczynić.

Naprędce jednak trudno było coś wynaleźć. Nigdy o podobnych interesach nie myślał, a większa część jego znajomych była tego rodzaju, że nigdyby im ubogiéj dziewczyny nie chciał powierzyć.

— Na razie nic nie mogę wymyślić—odpowiedział—trzeba się dopiero za tém obejrzéć. Jeżeli, jak pani mówisz nikt tutaj pani żadnéj niegrzeczności nie powiedział, to bądź pani cierpliwą i zostań tutaj jeszcze czas niejaki, choćby tyl-

ko kilka dni, a ja tymczasem coś obmyślę i panią o tém zawiadomię.

Anna wyciągnęła skwapliwie rączkę, którą Stefan serdecznie uścisnął.

— Ach, tylko zlituj się pan, nie przeciągaj chwili ratunku, bo każda sekunda będzie mi wiekiem tutaj!...

Stefan musiał się spieszyć, bo z każdego względu nie chciałby, aby Paulina zastała go w téj chwili u siebie; przyobiecał więc Annie, że jaknajprędzéj przyjdzie tutaj i pożegnał ją.

Zdarzenie to wydało mu się tak dziwne, że zaniechał już dalszych swoich wizyt i prostą drogą do domu powrócił. W domu nakazał służącemu nie wpuszczać do siebie choćby najlepszych znajomych.

Pod dziwném wrażeniem usiadł na krześle i zaczął o tém zdarzeniu myśléć.

Widok Anny sprawił dzisiaj na nim szczególne wrażenie. Słaba kobieta, bez nikogo na świecie oddaje mu się w opiekę i wierzy mocno, że nadzieja téj opieki nie zawiedzie jéj!... Miała jakiś nadzwyczajny urok, gdy go o tę opiekę błagała... była tak piękną i zachwycającą...

Stefan zamyślał się głęboko. Myślał długo. Wstał i zamyślony chodził po pokoju i znowu usiadł aby myśléć!..... O czémże tak myślał? Czy szukał między znajoméми miejsca dla niéj?

Wreszcie sen przemógł wszelkie myśli uporczywe. Rano ubrał się szybko, aby wejść między znajomych; ci zaś czekali go już od dawna. Był projekt wspólnego obiadku na większą skalę. Miano także zaprosić kobiéty. Stefan nie mógł się wymówić, bo właśnie na tym obiadku chciał się zejść z niektórymi znajomymi, których potrzebował w swoich interesach.

Obiadek był wesoły i wyśmienity. Szampan strzelał całemi bateryami i rozwiązał język biesiadników, którzy teraz zaczęli przechwalać się z różnych zwycięztw swoich i skarbów.

— Pani Weronika prześliczna osoba!—rzekł jakiś opasły wexlarz i wychylił kielich.

— Kosztuje mnie drogie pieniądze!—odparł sąsiad— Cały jéj sklep z *hautes nouveauté's* za moje obligi pierwszeństwa kolei północnéj!.... Naléj kieliszek!

— To pan urządziłeś jéj ten nieszpetny sklepik?

W ten sposób rozmawiano daléj i o innych pięknościach, które przez szklanne drzwi wyglądają tak pięknie i wspaniale w pysznych magazynach!

Stefan pił dzisiaj więcéj niżeli zwykle, przyjaciele żartowali sobie z jego dzisiejszego usposobienia i wyliczali po tuzinie najpiękniejszych statystek teatralnych, która z nich sprawi na nim najlepsze wrażenie!

Odgryzał się jak mógł i żartował z innych nawzajem używając ich języka. Tym sposobem powoli wciągnął się w ich sposób mówienia, w ich wyobrażenia i zasady. Naśladował z powodzeniem to wszystko, a nawet ku powszechnemu zadowoleniu opowiadał różne wesołe anegdotki i facecyjki. Późno w noc rozeszło się towarzystwo. Stefan musiał nawet kilka choreograficznych artystek do domu odprowadzać.

Nazajutrz wstał wesoły i uśmiechnięty. Ubrał się prędko i zaczął sobie pogwizdywać niektore aryjki z „pięknéj Heleny", która mu zawsze niezrównaną *Gallmejer* przypominała....

Potém kazał zaprządz i pojechał na przedmieście „Wienervordstad."

Tam kazał powoli jechać. Oglądał każdy sklep z wielką uwagą.

Przy jednym z nich kazał stanąć. Był to mały sklepik pachnideł. Na szklannych drzwiach była kartka z napisem: „z wolnéj ręki do sprzedania".

Stefan wstąpił do tego magazynu i tam niejakiś czas z właścicielką rozmawiał.

Potém kazał zawrócić na „Kernthnerstrasse", a wiedząc dobrze, że Paulina w tym czasie wyjeżdza po sprawunki, wszedł szybko na schody.

Anna już go czekała przy drzwiach salonu. Była tak pewną jego przybycia, że odmówiła Paulinie towarzystwa pod pozorem, że cierpi ból głowy.

Z żywém wzruszeniem, z ożywioną twarzą podała mu rączkę na przywitanie.

— Czy pani trwasz jeszcze w swojém postanowieniu?— zapytał Stefan zaraz na wstępie.

— Z mojéj twarzy możesz pan wyczytać odpowiedź, panie Stefanie!—odpowiedziała patrząc na niego.

Stefan patrzał także chwilę, uśmiech radosny igrał koło jego ust ładnym wąsem ocienionych.

— Jeżeli to jest niezłomną wolą pani—ozwał się—to miałbym pewną propozycyę.

— Najprzód na wszystko się zgadzam—żywo odparła Anna—bo już raz powiedziałam, że mam do pana zaufanie nieograniczone!

Przy ostatnich słowach głos jéj drżał widocznie, a oczy spadły nagle na ziemię.

— Niechaj pani wolnéj woli swojéj niczém nie krępuje! —mówił zwolna Stefan—bo propozycya moja może się pani nie podobać. Ja przynajmniéj mam dla pani chęci najlepsze!

— Słucham pana, ale tylko dlatego, że pan każesz mi wprzód słuchać!

— Rozważyłem dobrze położenie pani. Jesteś tutaj obcą. Możesz pani przyjąć obowiązek w jakim domu do dzieci. Obowiązek taki ma pewne niedogodności. Najprzód trudno znaleźć tak wyrozumiałych ludzi, którzyby podobną osobę w domu swoim otaczali pewną czcią i miłością. Osoby takie zazwyczaj uważają się za proste sługi, tylko lepiéj płatne i znosić muszą wszelkie upokorzenia, nie tylko od starszych, ale i od tych którym są nauczycielkami!.....

Anna westchnęła. Zwiesiła smutno główkę i zadumała się. Stefan mówił daléj:

— Zdaje mi się, że najlepiéjby było, gdybyś pani od razu dążyła do stanowiska niezawisłego!

— To być w żaden sposób nie może! — odszepnęła — jestem uboga!

I duże jéj piękne oczy zwróciły się na Stefana.

— Znalazłby się na to sposób — mówił daléj Stefan — gdybyś tylko chciała pani zdecydować się....

— Wszak już panu powiedziałam, że wszystko uczynię co pan każesz.

— Ale o rozkazach pani Anno mowy tu być nie może!... Ja tylko jako przyjaciel, dla którego pani masz zaufanie, mogę pani radzić, a pani wolno przystać albo nie.

Anna zamiast odpowiedzi zwróciła tylko swe duże, czarne oczy na niego.

— Niezależność jest najdroższym skarbem w życiu — mówił Stefan — a dla téj niezależności trzeba czasem poświęcić coś ze swoich dawnych urojeń!.... Widzisz pani i ja niegdyś marzyłem o inném stanowisku, a dzisiaj muszę się wysługiwać spółkom przemysłowym, a kto wié czy nie skończę na jakim magazynie z herbatą lub rumem!

Anna chwyciła go szybko za rękę i odpowiedziała:

— Ach! nie myśl pan, żebym była tak przesądną! Praca żadna w oczach moich nikogo ani mnie saméj nie poniża! Przy pracy byłabym może dumniejszą niżeli w tym salonie....

— Ponieważ widzę, że pani posiadasz moc duszy, otóż opowiem mój plan. Jest tutaj na przedmieściu bardzo eleganckiém mały magazynik z perfumami, który natychmiast objąć można. Gdybyś się pani na to zgodziła... rozumie się pod opieką przybranéj starszéj osoby, mogłabyś pani być właścicielką tymczasową tego handlu, zanim inaczéj rzeczy urządzićby się dały!....

Anna mimo wszelkiego poddania się zadziwiła się nieco tą propozycyą.

— Niezawisłość położenia jest najdroższym skarbem! — mówił daléj Stefan.

Anna myślała czas niejaki. A myślała właśnie nad kilkoma słowami, które Stefan wtrącił do mowy swojéj. A słowa te miały dla niéj tyle interesu, mogły tyle a tyle oznaczać!..

— Ależ to być nie może—rzekła po chwili—jestem ubogą!.

— Dałby się na to sposób wynaleźć. Mam różne z tutejszymi kupcami stosunki. Magazynik ten możnaby wziąźć po prostu na kredyt, a miesięcznym zarobkiem spłacać powoli raty...

Anna westchnęła, podała drobną rączkę Stefanowi, która mocno drżała i rzekła:

— Słowa mego nie cofam! Powiedziałam, że mam nieograniczone zaufanie do pana!

Stefan był tak widocznie takim zwrotem rzeczy ucieszony, że chwycił tę małą rączkę i gorąco ucałował.

Anna nie broniła mu tego, spojrzała tylko na niego oczyma, które były łez pełne!......

XII.

Anna.

Dziwną sytuacyę stworzył sobie teraz Stefan. Umówiony z Anną plan przyprowadził bez wielkich trudności do skutku. Pewnego poranku przyszła do Pauliny poważna matrona i powiedziała jéj, że bierze Annę w obowiązek i na miejsce córki do siebie. Paulina przystała na to chętnie, bo od niejakiego czasu spostrzegła jakąś niechęć Anny ku sobie i obawiała się ztąd jakichś zajść nieprzyjemnych; Anna więc pożegnała jéj dom i z poważną matroną, która odtąd była jéj towarzyszką, zajęła w posiadanie ów handelek pachnideł, który Stefan wyposażył jak najwytworniejszém urządzeniem.

Jakie były przytém zamysły Stefana, trudno wiedziéć. Zdaje się, że w pierwszéj chwili chciał on tylko naśladować owych bogatych gildzistów, z których każdy chełpił się posiadaniem jakiegoś kwiatka, który zazwyczaj pielęgnował w złotym wazoniku, mniemając, że to czarodziejski kwiat miłości. Innych wyobrażeń o miłości nie było u nich. Była to po prostu rubryka wydatku, a im większym był wydatek, tém większe było wyróżnienie się od innych, o co im właściwie chodziło!

— Mnie moja miłość kosztuje dziesięc tysięcy złr. rocznie! — mówił jeden do drugiego.

— Ja mojéj nie mogę opędzić i dwudziestoma! — odpowiedział drugi z dumą arystokratyczną.

— Minkeles wydaje dla swojéj Helenki pięćdziesiąt tysięcy! — zauważył trzeci.

— Szczęśliwy Minkeles! — powtórzyli wszyscy chórem — pięćdziesiąt tysięcy!....

Śród takich ludzi nie mógł Stefan w tyle pozostać. Należało to do pewnéj dystynkcyi, okazywało zasoby materyalne a w sprawach finansowych było niejako hipoteką. Rozumowano w ten sposób: jeżeli pan Minkeles na utrzymanie pięknéj Heleny może wydawać pięćdziesiąt tysięcy złr., to musi mieć w zapasie jakieś miliony, bo inaczéj tegoby nie czynił!

I wydatek taki między ludźmi nieposiadającymi żadnych hipotecznych dowodów swego majątku, był rzeczywistym probierzem, którym mierzono jego mienie. Weszło to tak w zwyczaj, że człowiek nie wykazujący w rozchodzie swoim takiego wydatku, był po prostu uważany za biédnego. Ztąd téż poszło, że spekulanci pieniężni, którzy oszustwem się trudnili, naumyślnie i to z ostentacyą ponosili takie wydatki, sprawiali takim Helenkom precyozy i ekwipaże, aby tym sposobem świadczyły o ich milionach, których nigdy nie mieli. Kończyła się taka operacya zazwyczaj tém, że spekulant nadużywszy zarobionego tym sposobem kredytu, ogłosił sztuczne bankructwo, a piękne Helenki z salonów pierwszo piętrowych wracały na swoje poddasza!

Zdaje się, że i Stefan prawdopodobnie chciał tym zwyczajem świata finansowego, zadość uczynić i stworzyć sobie pewną hipotekę, jeśli nie majątku, to przynajmniéj dochodów swoich.

Bracia „Schmilles” nawet wyraźnie kilka razy o to go nagabywali, bo to potrzebne było do ich interesu; sekretarz bowiem generalny spółki, powinien okazać całemu światu

finansowemu że ma majątek i że na świecie żyje odpowiednio temu majątkowi i stanowisku.

Jeżeli takie były zamiary Stefana, to zamiary te nie tylko mu się nie udały, ale mogły nawet nabawić go nie małego kłopotu, mogły mu stworzyć sytuacyę nie nader wygodną.

Anna miała lat ośmnaście, wychowana była w domu starego bakałarza, który już z obowiązku swego przemawiał zawsze do niéj jak książka arcy-moralna. Okazywał jéj piękne, wzniosłe, częstokroć zbyt idealne strony życia i nauczył ją wierzyć w cnotę i w dobre przymioty serca ludzkiego. Umysł jéj zabawiał najlepszémi książkami, które za wzory dla młodego wieku służyły.

Tym sposobem Anna wierzyła w świat dobry i poczciwy, wierzyła w szlachetne przymioty serca i duszy.

W książkach czytała nieraz, że człowiek bogaty zakochać się może w biednéj dziewczynie, że miłość żadnym światowym nie ulega względom, że jest ona jak promień słońca, który szkła twarde przebija i nic z swego ciepła ani blasku nie traci!.....

Prócz tego zwierciadło i ludzie powiedzieli jéj, że jest bardzo piękną! Kiedy się tylko na ulicy pokazała, wszyscy przechodnie stawali przed nią, jakby byli jéj widokiem oczarowani!...

Piękność kobiéty to jest jéj najwyższym skarbem, a która kobiéta skarb ten posiada, niéma już granic dla jéj marzeń! Wszystko jest u niéj wtedy możliwe! Miłość mężczyzn to haracz, który się jéj należy, a ona może tylko wybierać, który z nich najlepiéj się jéj podoba! Nié ma już u niéj ani bogatych ani dumnych na tytuły swoje, bo wszystko wtedy podlegać może jéj urokowi!

Jakkolwiek Anna była bardzo piękną nie miała jednak tak wygórowanych podobnych uroszczeń. Serce jéj mogłoby z równą namiętnością pokochać jakiego biédnego młodzieńca, któryby odważył się wspólnie z nią zarabiać pracą na chléb codzienny. Przypadek jednak chciał, że zamiast ubogiego

młodzieńca, stanął przed nią człowiek bogaty i z tytułem. Zrazu taiła Anna swoje uczucia i kryła je w najskrytszym zakątku marzeń swoich; gdy jednak ten człowiek postępowaniem swojém dał jéj poznać, że i ona dla niego nie jest obojętną, wtedy wybuchło jéj starannie ukrywane uczucie z całą siłą, na jaką tylko stać było ośmnasto-letnie serce!

Wtedy ani na myśl jéj nie przyszło, że między nią a Stefanem mogłyby znaleźć się jakie przeszkody. Jego stanowisko nie było żadnym skopułem, bo on ją kochał, ona jego nawzajem! Dla szlachetnéj dziewczyny było to już wszystkiém, co do szczęścia dwojga ludzi potrzebném było! On był bogaty, ona była.... piękną, piękną niezwyczajnie... czyż to nie dosyć? Czyż tysiące mężczyzn nie ożeniło się tylko dlatego, że wybrana ich była piękną?...

A że była piękną, tego największe teraz miała dowody.

Cała bogata młodzież, a nawet i wysłużeni kawalerowie, dowiedziawszy się o ładnéj parfimerce na „Wiener-vorstadt” schodzili się do niéj tłumnie i całemi tuzinami brali pachnidła, mydełka i inne toaletowe przybory. A każdy z nich powiedział jéj jakiś komplement; każdy widocznie przyszedł po to, aby tylko ją widzieć, aby wykraść jéj ten uśmiech melancholijny, który tyle miał w sobie rozkoszy!...

Wszystko to widziała Anna i utwierdziła się w tém przekonaniu, że i Stefan uległ urokowi jéj pięknych oczu, a prócz tego uległ jéj uczuciu, jakie od samego początku miała dla niego.

Była więc pewną swojéj złotéj przyszłości i dwa razy dziennie modliła się na klęczkach za swoje szczęście do Boga i czekała cierpliwie tego szczęścia, bo czekanie to było najwyższą rozkoszą.

Jeżeli więc Stefan miał jakie inne względem niéj zamiary; jeżeli po prostu chciał ją mieć jako okaz dla znajomych, aby im dowieść, że dochody jego na taki nawet wydatek wystarczają: to taka Anna była dla niego bardzo niewygodnym przedmiotem. Uroszczenia jéj mogły mu zatruć nie

jedną chwilę życia, mogły mu zgotować pewną fałszywą sytuacyę, która nabawiłaby go różnych kłopotów.

Dotąd jeszcze nie nadeszły te kłopoty: Anna była szczęśliwą w marzeniach swoich!

Czy Stefan był szczęśliwy i zadowolony? trudno powiedzieć. Sytuacya jego była dziwną.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie miał on zamiaru połączyć się z Anną ślubem małżeńskim. Chciał zapewne dla nudnych chwil życia stworzyć sobie pewną oazę, gdzieby po szampanie i pasztetach sztrasburgskich mógł odgrywać rodzaj sielanki; być może że chodziło mu także o opinią swego koła, która mu żyć w ten sposób nakazywała.

Anna jadnak popsuła mu zaraz z początku wszystkie szyki. Z wielką zręcznością, na które więcéj złożyły się szlachetne przymioty serca aniżeli sztuka, zmusiła go do zajęcia innéj pozycyi.

Chciała ona dowiedziéć się od Stefana, co za powody kierują nim, że podjął się opieki nad nią!

Stefan zrazu wymykał się jak mógł: mówił o przyjaźni, o obowiązkach jakie się zazwyczaj ma za granicą dla swoich, którzy pomocy potrzebują: mówił wreszcie o kaprysach czynienia dobrze, które także czasem znudzonych życiem ludzi napadają.

Anna na wszystkie te powody odpowiadała poruszeniem pięknéj główki, albo, co było gorsza, łzami. Czuła się nader nieszczęśliwą i powiedziała mu, że rzeczy tak na dłużéj pozostać nie mogą.

Były dla niéj, jak twierdziła, tylko dwie drogi. Mogła zupełnie z jego łaski zrezygnować i do swego opiekuna powrócić; albo pozostać właścicielką tego handlu, który jego dobremu sercu zawdzięcza. W takim jednak razie wypadałoby może, aby przyjaźń jego na tém wyświadczoném jéj dobrodziejstwie poprzestała i nie objawiała się tak częstémi wizytami, które fałszywą opinię na nią ściągnąć mogą.

Rozczarowania Anny były bardzo słuszne a Stefan musiałby im uledz, gdyby to właśnie nie sprzeciwiało się

jego może chwilowym kaprysom. Na wyjazd Anny stanowczo nie chciał się zgodzić; pozostawienie zaś jéj własnym losom, znaczyło utracić ją, bo zbyt liczni byli adoratorowie, z pomiędzy których mogła sobie według woli wybierać.

Stefan nie chciał jéj utracić, a przeto był zmuszony zręcznie prowadzoną z jéj strony rozmową, która z czystego natchnienia wychodziła, wyrzec to stanowcze słowo: kocham!

Więcéj nie pragnęła Anna. Było to dla niéj wszystkiém czego pragnęła. Mając to słowo, zdawało się jéj, że ma już całe szczęście, że wszystko co do tego słowa należy, jest tylko prostą konsekwencyą.

I nastały w jéj życiu najpiękniejsze dni pogody: niebo uśmiechało się, świat był piękny, ludzie dobrzy! W sercu jéj brzmiały ustawicznie struny najszlachetniejsze, oddychała atmosferą szczęścia!....

Całe życie teraźniejsze, które było tylko wyczekiwaniem ostatecznego szczęścia, urządziła sobie w ten sposób, że żadna chwila nie była straconą. Rano rozporządzała ze swoją sędziwą towarzyszką swojém małém gospodarstwem, potém ubierała się starannie i z książką w ręku siedziała w magazynie, patrząc od czasu do czasu przez szybę kryształową, czy nie ujrzy Stefana. Liczni klienci nie dawali jéj w takim razie wiele czasu na podobne czaty, a za to zapełniała się szufladka w stoliku znacznym zarobkiem, z czego Stefanowi po obiedzie z radością zdawała rachunek, opowiadając mu przytém o różnych komplementach, które ją spotykały.

Codziennym kupującym i to kupującym w znacznych ilościach, był syn pewnego bankiera, którego Stefan znał doskonale. Ten młody krezus zajeżdżał zawsze przed jéj magazyn swoim pysznym ekwipażem z lokajami w liberyach, a Anna komicznie umiała opowiadać o jego staraniach, aby jéj się przypodobać. Stefan śmiał się także, bo widział z opowiadania Anny całą szczerość i otwartość i nie potrzebował bynajmniéj obawiać się zdrady.

Anna bowiem umiała nie tylko dla obcych ale nawet i dla Stefana zakreślić wkoło siebie tak szeroką granicę, umiała otoczyć się taką aureolą szlachetnéj i zacnéj kobiéty, że nie pozwoliła w niczém i nikomu sobie ubliżyć, Stefan nawet był zmuszony trzymać się po za tą granicą i mimo doświadczeń życia nie mógł odważyć się tę granicę kiedykolwiek przekroczyć.

Czasami bawiło go to, jako coś niezwykłego, czego jeszcze nigdy nie widział. Czasami jednak gniewało go, bo w obec innych swoich towarzyszy wydawał się śmiesznym. Taił się nawet z tém przed nimi, że młoda dziewczyna potrafi tak nad nim panować i zmusza go do jakiéjś służby w idealnéj świątyni miłości, istnienia któréj tamci wprost zaprzeczali!

Coś jednak wiązało go do tego stosunku, czego sobie nie mógł wytłumaczyć!

Czy była to potęga szlachetnego serca? Czy był to prosty skutek owéj wielkiéj miłości, jaką dla niego czuła Anna a któréj on nieświadomie ulegał?.,...

Kllka razy, osobliwie po dłuższych orgiach wyprawianych z giełdzistami, chciał się uwolnić od tego dziwnego stosunku, chciał Annę pozostawić własnym jéj losom, aby na jéj miejsce wyszukać sobie inną zabawkę, któraby mniéj mu imponowała swoją idealną szlachetnością!

Do tego jednak przyjść nie mogło: gdy ujrzał te duże, wyraziste oczy Anny, gdy usłyszał wdzięczne jéj szczebiotanie, które o wiele różniło się od szczebiotania sztucznego pijanych bachantek, gdy wreszcie odetchnął kilka razy tą atmosferą, która ją otaczała: upadły wszelkie jego postanowienia, a on był szczęśliwy, jeśli mu pozwolono ucałować tę drobną rączkę i kilka chwil słuchać tego dźwięcznego głosu, który sam dla siebie był już harmonią!

Razu nawet jednego sprawiły na nim jéj słowa większe wrażenie niżeli się spodziewał.

Było to o szaréj godzinie. Stefan przyszedł z wystawnego obiadu spółki, na którym wiele wypito butelek szampana i wiele nagadano się o milionach i kobiétach.

Obiad trwał kilka godzin, Stefan był zmęczony rozmową biesiadników: w kwaśném usposobieniu przyszedł do Anny, aby trochę odpocząć.

Anna siedziała smutna i zamyślona! Podparła rączką głowę, przed nią leżała otwarta ksiażka. Stefanowi podała rękę, a ręka ta była zimną jakby z marmuru.

— Czy jesteś chorą Anno? — zapytał Stefan i przysiadł się do niéj.

— Chorą nie jestem, ale mam dziwne jakieś rozdrażnienie nerwów! — odpowiedziała spokojnie.

— Z czegóż pochodzi to rozdrażnienie?

— Miałam sen bardzo dziwny!. .. Jestto dziwne uczucie widziéć siebie umarłą!

— Umarłą?

— Tak jest. Śniło mi się żem umarła i że wyszła ze mnie jakaś niewidoma istota, która mogła patrzéć się na umarłe ciało!.... Widziałam tedy, jak leżałam w trumnie ze złożonémi wkrzyż rękoma. W ręku zamiast krzyżyka miałam kwiatek biały, który zaledwie z pączka się rozwinął... Potém przyszli jacyś ludzie nieznani i włożyli mi wieniec z kwiatów na głowę, mówiąc, że mi się taki wieniec należy. Za tymi ludźmi przyszedł ksiądz, odmówił modlitwę i pokropił mnie wodą święconą... Potém przybili wieko trumny gwoździami... jeden z tych gwoździ wbił mi się w głowę, gdzie były za życia najpiękniejsze moje marzenia!... Potém widziałam, że mnie włożono na wóz duży, czarném suknem okryty... i długi orszak prowadził mnie do grobu...... Oglądałam się za tobą, ciebie nigdzie nie było!

Anna przy tych słowach zwróciła na Stefana wzrok swój szklanny.... Stefan przeląkł się tego wzroku!

Jakiżby powód mógł być tego przestrachu? Czy widmo grobu i śmierci wywołane słowami Anny, po ostrygach, pasztetach i szampanie działało na niego tak nie mile?....

— Co za okropne obrazy stawiasz mi przed oczy? — zawołał Stefan z nie miłym dreszczem — któż z żyjących bawi się takiémi obrazami?... Musisz być chorą.

— Prócz tego snu, nic mi nie jest mój drogi!—odpowiedziała smutno... a zresztą cóż w tym śnie jest okropnego? Wszak wszyscy ludzie umiérają i my pomrzemy: jestto meta do któréj wszyscy dążymy..... nic tam nic straszy ani trwoży... to tylko jedno było dla mnie straszne i okropne że na moim pogrzebie ciebie nie było!....

— Może prędzéj od ciebie umrę!—odparł z uśmiechem Stefan, ale uśmiech jego skostniał śród drogi.

— Nie, to być nigdy nie może!—zawołała żywo Anna i uścisnęła go spazmatycznie za rękę—to być nie może, ja wiem, że ja pierwéj umrę!... Jabym twojéj śmierci nie przeżyła!

— Po cóż mnie drażnisz takiémi obrazami?—gniewnie ozwał się Stefan— ja chciałem u ciebie trochę wypocząć, trochę wytchnąć, trochę uspokoić się....

— Śmierć jest także uspokojeniem się!—wyszepnęła Anna a oczy jéj zaszły łzami!

Stefan był niespokojny cały wieczór i myślał ciągle o tym śnie Anny.

XIII.

Telegram.

Sześć miesięcy trwały już przygotowawcze operacye „spółki exploatacyi". Operacye te były nader kosztowne. Zbierano materyały i daty statystyczne handlu i przemysłu całéj monarchii; na tych bowiem datach miała się opierać przyszła exploatacya.

Spółka ta była prostém oszustwem, niepodlegającém jednak pod paragrafy kodeksu karnego, i byłaby w najbliższéj przyszłości odsłoniła wszystkie ujemne strony swoje, gdyby europejskiego znaczenia wypadek nie był uprzedził jéj śmierci zgniłéj i powolnéj.

Wypadkiem tym europejskiego znaczenia był prosty, krótki telegram z Paryża, składający się z trzech słów: „Napoleon niebezpiecznie chory!"

Rzecz dziwna! Nigdy jeszcze drożéj nie zapłaciła Europa i Ameryka za taki krótki telegram!

Telegram ten kosztował nie miliony ale miliardy!

„Napoleon niebezpiecznie chory" przylepiono po giełdach europejskich, a trzy te słowa były jeszcze straszniejsze od trzech słów napisanych na ścianie śród uczty Sardanapala: *Mane, takel, fares!...*

Miejscem uczt sardanapalskich były tym razem... giełdy!

Mane, takel, fares! napisano na ich murach i słowa te prorocze sprawdziły się w sposób okropny!... Zliczono, zważono i podzielono!...

Zliczono straty, zważono kredyt i podzielono się pozostałém mieniem!

Setki bankierskich domow runęły, a z niemi poszło mienie milionów ubogich!

I dlaczegóż to wszystko się stało?... Dlatego, że „Napoleon niebezpiecznie chory"!...

Zaiste, po dzisiejszych przejściach, trudno sobie wyobrazić, co za dziwny urok był w tym krótkim telegramie, który całą ziemię od morza do morza tak przestraszył!...

Czy obawiano się po śmierci Napoleona nowéj wędrówki narodów? Czy miały nastąpić trzęsienia ziemi i zaćmienia słońca, a wulkany wyrzucić na całe miasta i grody potoki lawy czerwonéj?... Czy ziemia zmienić miała oś swoją i zamiast na biegunach północno-południowych obracać się na ekwatorze? Zkądże strach taki paniczny ogarnął całą Europę?...

Trudno dzisiaj odgadnąć, co sobie z téj niebezpiecznéj choroby prorokowano! Dosyć, że giełdy wszystkie skamieniały ze strachu, że Napoleon niebezpiecznie zachorował!

I w całéj Europie powtórzyły się teraz sceny, jakie za czasów operacyj Lawa w Paryżu widywano. Były to sceny straszne, okropne, gorsze od głodu, moru i wody!

Na giełdę pospieszały massy, jak ongi śpieszyły do szturmu na Bastylię!...

Krzyk, rozpacz, łzy, płacz i samobójstwa były drobne akcessorya tego olbrzymiego obrazu!

W ostatnich bowiem czasach rzuciły się wszystkie kapitały, a mianowicie uboższych na giełdę.

Rozruszanéj publiczności różnemi odezwami spółek i wexlarzy, którzy w każdym dzienniku łokciowe drukowali inseraty, opisujące z lubieżnością rozkosze gry giełdowéj,

powiedziano krótko i węzłowato, że praca teraz nie popłaca, że kapitał włożony w pracę daje zaledwie lichy procent, a na grze giełdowéj może on wkrótkim czasie wzrość do milionów!...

I biedna, wiecznie spragniona część ludzkości, oddała do gry giełdowéj cały swój mająteczek pracą długoletnią uzbierany i teraz... utraciła wszystko!

Wszystkie papiery spadły prawie do połowy wartości, i że zazwyczaj grano na dyferencyę niepokrytą, więc potrącano wszystko!

Każda minuta przynosiła wiadomość bankructwa tego lub owego domu, a ludzie zachrypli podając sobie te wiadomości daléj!..

Jedni wpadali w szał waryatów, inni stawali się istotnymi waryatami!..

Stefan pobiegł na giełdę.

Tłumy niezliczone otaczały giełdę; cała ulica była zapchana: lichwiarze, wekslarze, ludzie pracy, wdowy i sieroty, wszystko to pomieszało się w jedną wielką, ruchliwą massę!

Stefan nie mógł się przebić przez te tłumy. Widział płacz, słyszał narzekania, a tam tylko niema, skamieniała rozpacz patrzała na niego! Przedzierał się przez jednych i drugich...

Wreszcie po kilkogodzinnéj pracy udało mu się dotrzéć do przedsionku.

W przedsionku ujrzał obu braci „Schmilles". Jeden z nich łykał ustawicznie a nie mógł przełknąć, a drugi z wiszącym policzkiem ruszał ustami, ale nic wyrzec nie zdołał.

Z otoczenia ich dowiedział się Stefan, że obaj są... bankrutami!

Na nich opierała się spółka exploatacyi. Stefan wiedział, że oni część większą kapitałów które wpłynęły do spółki, rzucili na giełdę a teraz wszystko stracili!...

Stefan także skamieniał: była to i jego ruina!...

Fala giełdowych spekulantów porwała go z sobą. Niemiał on żadnéj woli, żadnych sił. Był piłką w prądach téj fali, która go wlokła z sobą po kurytarzach i salach, rzucała nim z kąta w kąt i w końcu wypchnęła go na ulicę.

Trwało to kilka godzin... Na ulicy dowiedział się, że Jonas Schmilles w przystępie rozpaczy poderżnął sobie ten sam węzeł krtani, który mu się wiecznie ruszał, a potworny Jonathan daleko legalniéj, bo przez apopleksyę przeniósł się na drugi świat, gdzie nie ma ani giełdy, ani spółek, ani austryackiego kodeksu karnego!..

Stefan oprzytomniał na tę wieść; chodziło mu bowiem po téj wieści o jego własną osobę.

Naśladując głównych dyrektorów wziął Stefan z kassy spółki dziesięć tysięcy złotych reńskich dla własnego użytku, mając nadzieję późniejszym dochodem to pokryć.

Tymczasem telegram paryzki wszystkie szyki pomieszał, chociażby z czasem i bez telegramu stałaby się taka katastrofa ze spółką eksploatacyi.

Sąd lada chwila mógł całą kancelaryę opieczętować; Stefan był zgubiony a w najlepszym razie był znowu *bez jutra*.

Wprawdzie co do tego jutra, powziął on w ostatnich czasach zupełnie inne wyobrażenie!

Z początku myślał, że tylko ten człowiek jest *bez jutra*, kiedy na jutro nie ma kawałka chleba. Gdy na ławce w parku zasypiał, zdawało mu się, że jest bez jutra; gdy w liberyi krewnego cesarzów paradował, zdawało mu się, że jest także bez jutra, bo liberyą nie uważał za swoje jutro!... W ostatnich jednak czasach, gdy w świat finansowy głębiéj wglądnął, przekonał się, że ludzie, którzy angielskiemi karetami jeżdżą, którzy niby miliony posiadają i wielkiemi bankierskiemi domami się mianują, są czasem a nawet i często także *bez jutra!*

Bogactwo ich... to kredyt! Bogactwo ich... to gra ustawiczna cyframi, które w jedném miejscu mnożą się, a w drugiém upadają!... Bogactwo ich jest najczęściéj fikcyą

liczbową, a ktoby w danéj chwili kazał każdą liczbę przykryć gotówką, okazałoby się... bankructwo!

Wszystkie te jednak filozoficzne komparacye na nic się nie zdadzą w téj chwili Stefanowi!

Był zrujnowany, był więcéj niżeli bez jutra!

W tém dziwném odrętwieniu, na granicy rozpaczy i idyotyzmu przyszła mu na myśl Paulina.

U Pauliny nie był już kilka tygodni. Chciał w téj chwili pójść do niéj i z nią o téj strasznéj katastrofie coś pomówić. Nie spodziewał się ratunku od niéj, ale spodziewał się przynajmniéj jakiegoś pocieszającego słowa, a co więcéj wpływu jakiego, gdyby tego ostateczna była potrzeba!...

Wsiadł w zamkniętą karetkę, spuścił zasłony na okna i kazał się zawieźć na „Kärnthner strasse".

Już z daleka uderzyło go, że okna w mieszkaniu Pauliny były pootwierane. Pora, jakkolwiek wiosenna, była dosyć chłodna. W oknach nie było żadnego światła, chociaż już był zmrok.

Niedobre przeczucie ogarnęło go: wyszedł z karetki i szybko pobiegł na schody.

Drzwi przedpokoju były otwarte... Wszedł do salonu... zastał tam obcych ludzi, którzy zabierali meble... Wszystko było w nieporządku...

— Czy baronowa wyprowadza się?—zapytał nieznajomego robotnika.

— Baronowa?... Baronowa już tu od tygodnia nie mieszka!—odpowiedział robotnik.

— Wszak wszystkie rzeczy są baronowéj!

— Baronowa miała tutaj tylko dwa kufry i z temi wsiadła do dorożki i wyjechała gdzieś na przedmieście—odparł robotnik i obrócił się od Stefana, aby komodę słomą obłożyć.

Stefan i tu widział jakąś katastrofę, któréj jeszcze odgadnąć nie mógł. Mogła wprawdzie ta katastrofa być w związku z katastrofą giełdową, ale do tego było mało prawdopodobieństwa!

Powoli, machinalnie raczéj zeszedł ze wschodów. Teraz już sam nie wiedział gdzie się udać. Dawniejszych znajomych lękał się, a zwierzyć się ze swojém nieszczęściem nie miał komu!... O Annie nie myślał w téj chwili! Dlaczego? Sam nie wiedział!

Zresztą Anna nie była w téj chwili dla niego. Był to kwiatek cudnéj woni, ale zimowy oddech katastrofy mógł go zwarzyć? Czémże bowiem jest woń fijołka śród całéj zatrutéj atmosfery?...

Korzystając ze zmroku, bezludnemi zaułkami puścił się do domu.

XIV.

Krezus.

Całą noc przepędził Stefan w strasznych snach gorączkowych: każdy szelest straszył go, każdy turkot powozu budził go; sam nie wiedział czy śpi, czy czuwa.

Nazajutrz rano wymknął się z domu, aby gdzieś Paulinę odszukać. Zdawało mu się, że jego los w sposób dziwaczny łączy się z losem téj osoby, z którą wzrosł razem i która w pierwszych latach służyła mu niejako za ideał życia!

Wszedł jeszcze raz do dawnego jéj mieszkania. Wypytywał się wszystkich, aby choć jakiś ślad wynaleźć, ale wszystko było daremnie. Tyle tylko wiedziano, że pewnego dnia, jak zwykle, przyszedł stary baron z wizytą i widocznie był zmartwiony, że jéj już nie zastał. Znalazł na stole list jéj ręką pisany, przeczytał go i mocno się zasmucił. Potém wypowiedział gospodarzowi mieszkanie, a wypożyczone z magazynu meble kazał napowrót oddać.

Tyle tylko dowiedział się Stefan. Wnosił z tego, że Paulina dobrowolnie mieszkanie zmieniła, i z przyszłym swoim mężem na zawsze się rozstała.

Jaka jednak była tego przyczyna? Co mogło ją skłonić do opuszczenia tak wykwintnego mieszkania? Czy mo-

że to mieszkanie zmieniła na lepsze jeszcze? Może wyprowadziła się na większe jeszcze dostatki?...

Wszystko to były pytania, na które Stefan nie mógł sobie dostatecznie odpowiedziéć. I właśnie dlatego tém większą była jego ciekawość, co się z Pauliną stało, tém wyraźniejsze miał przeczucie, że losy jego dalsze staną się może znowu od jéj losów zawisłe!...

Chodził dzień cały i drugi, ale chodził daremnie: nigdzie nie było ani śladu Pauliny!

I teraz jeszcze nie myślał o Annie. Stosownie do jego wyobrażeń zdawało mu się, że tylko powodzenie jego mogło serce Anny zniewolić ku niemu. Czémże on dzisiaj mógł być dla niéj? Rady przynajmniéj od niéj żadnéj nie oczekiwał, a przynajmniéj rady takiéj, jakiéjby mu udzielić mogła Paulina!..

Po dwóch dniach daremnych poszukiwań, wrócił znowu chyłkiem do domu.

Ledwo jednak usiadł aby wypocząć, usłyszał turkot pod oknem: jakiś ekwipaż zatrzymał się.

Podsunął zwolna firankę i ujrzał ekwipaż pana X*** syna bogatego bankiera.

Wkrótce usłyszał dzwonek w przedpokoju: ostrożnie sam drzwi otworzył.

— Od dwóch dni szukam pana — rzekł do niego młody krezus — a nigdy zastać nie mogę!

— Miałem interesa!... Pan wiész o naszém nieszczęściu! — odpowiedział smutno Stefan.

— Właśnie w tych interesach przychodzę do pana!

Stefan przestraszył się; zimne mrowie przebiegło mu po ciele: ojciec gościa był grubo w spółce.

— Na świecie zazwyczaj tak to bywa—mówił daléj młody krezus, zapalając sobie z flegmą cygaro — że nieszczęście jednego gotuje szczęście drugiemu! Katastrofa onegdajsza szarpnęła trochę i ojca, ale nie tak bardzo. Gdy ojciec się tém kłopotał, rzekłem do niego: na co ojcze martwić się! Pieniądz nigdy nie ginie! Ile straci A., tyle zarobi B.! Jest-

to notacya a nic więcéj! Jeżeli ja naprzykład pięćdziesiąt tysięcy stracę, to przecież papierów w błoto nie rzucę! Weźmie je kupiec, restaurator, potrzebniejszy przyjaciel wygra w karty, albo do swego pugilaresiku zamknie błękitnooka bajaderka! A co nie prawda? Nie uczyłem się ekonomii społecznéj, ale traktuję ją w jak najrozleglejszych zasadach! Co, nie prawda? Czy nie mam słuszności?...

— Hm, hm, mruczał Stefan prawie bez myśli, patrząc zamyślony przed siebie.

— Z moim ojcem mam z tego powodu bardzo częste dysputy—prawił daléj krezus—bo on jest innego zdania! On trzyma się jeszcze systemu prohibicyjnego! ha! ha! ha!... bardzo dobrze, prohibicyjnego systemu! On zakazuje mi to i owo czynić, i powiada że to marnotrawstwo! *Fi donc!* któż obrót kapitałów kiedy marnotrawstwem nazywał?... Jeszcze raz powiadam, że kapitał nie ginie nigdy w ostatecznéj cyfrze, zmieniają się tylko pozycye. Dawniéj zero tam stało, dzisiaj przechodzi na inne miejsce; w summie to wszystko jedno!... ha! ha! ha!... Czyż nie prawda?

— Zasady pańskiéj ekonomii są wyborne!—zauważył Stefan.

— A co? Nie powiedziałem dobrze?... Jestem zwolennikiem wolnego handlu... rozumiesz mnie pan? Ale potém o tém!.. Mówiłem że kapitał w ostatniéj summie nigdy nie ginie. To jest prawda niezbita. Onegdaj naprzykład wiele ubogich mizeraków potraciło swoje setki i tysiączki. I gdzież się to podziało? Znam jednego porządnego wekslarza, który przez dwa dni ostatnie na téj *baśni* zarobił okrągły pół milionik... Czyż to nie jest zupełnie naturalnie, aby małe strumyki wpływały do większéj rzeki, a ta znowu do morza? Cóż te małe strumyki za korzyść przynoszą? A rzeki wielkie i morze dźwigają parowe okręty i służą społeczeństwu! .. Czemże były dotąd te drobne kapitaliki w rękach tych mizeraków? Martwą rzeczą! A teraz zgromadzone w półmilionik mogą być posługą czy to dla handlu i przemysłu, czy też dla podobnego marnotrawcy, jakim mnie mój ojciec na-

zywa, a z czém ja wcale się nie zgadzam! ha! ha! ha! Nieprawdaż?...

— Zazdroszczę panu tego dobrego humoru! Żałuję, że się podobnym odwzajemnić nie mogę!...

— Ha! ha! ha! Prawda! Cóż robić! Humor jest także kapitałem! Jeden go zarabia a drugi traci! Jeden się śmieje, drugi płacze!.. ha! ha! ha!.. Ale zapomniałem o właściwym interesie!

— Słucham pana!

— Mówiłem panu, że ojciec mój jest za systemem prohibicyjnym, a ja wyznawcą wolnego handlu! ha! ha! ha! wolnego handlu!... Więc chcę panu uczynić z wolnéj woli propozycyą, a pan również możesz ją albo zaakceptować albo nie... coby jednak panu na dobre nie wyszło!

— Nie mogę pana zrozumieć, chciéj się pan jaśniéj wytłumaczyć!

— Zaraz panie, tylko wprzódy chciałem zapoznać pana z moimi zasadami wolnego handlu! ha! ha! ha! A teraz przystępuję do rzeczy. Pan wiész zapewne, że spółka eksploatacyi razem z Schmilesami machnęła koziołka!...

Stefan ruszył głową na znak, że wié o tém.

— Otóż remanenta téj spółki bierze sąd pod swoją opiekę, a tam, jeśli się nie mylę, jest mały deficycik mniéj więcéj dziesięć tysięcy, tytułem zaliczki, którą pan sobie wziąłeś własnoręcznie...

— Czy pan jesteś delegatem sądu?

— Uspokój się pan! Jestem przyjacielem pana i wymyśliłem sposób wyratowania go z tak niemiłéj sprawy! Przyznasz pan, że nie miło jest odpowiadać sędziom w obec publiki!... ha! ha! ha!

Stefan zgrzytnął zębami, zacisnął usta i słuchał daléj.

— Interes mój — mówił daléj krezus — jest tego rodzaju: że według zasad ekonomii społecznéj jest interesem obopólnym! ha! ha! ha!... Pan masz na „Wienervorstadt” pewny klejnocik...

— Czy pan ciągle jesteś w humorze żartobliwym — zawołał niecierpliwie Stefan.

— Wierzę, że panu z razu ta rzecz nie będzie przyjemną, ale chwilkę cierpliwości.

Stefan powstał z krzesła jak człowiek, który dla podobnéj rozmowy bynajmniéj nie ma cierpliwości.

— Radzę panu obrać inny przedmiot do rozmowy, inaczéj byłbym zmuszony zostawić pana samego!

— Nie gniewam się! Ha! ha! ha. Ja wiem, że to nieprzyjemnie. Ale w końcu przecież pan mnie usłuchasz! Widzisz pan, rzeczy tak stoją, że złoty ptaszek panu ucieknie, gdy się dowié, że pan przed sąd jesteś powołany. A tak ja wezmę go sobie w sposób spokojny i za wyłożone dla niego koszta panu zapłacę!

Ostatnie słowo dziwnie zabrzmiało w uszach Stefana. Gdyby młody krezus przynajmniéj innego słowa użył! Jeżeli nie rzecz sama, to forma jéj cyniczna, sprawiała Stefanowi zawsze pewną alternacyę. Gniewał się, że niektórzy ludzie tak zaraz nazywają rzecz po nazwisku!

Podniósł się znowu szybko z krzesła, jakby młodego krezusa chciał obić za taką propozycyę.

Młody krezus jednak jak najspokojniéj w téj chwili oglądał paznogcie swoje, jakby ruchów Stefana wcale nie widział: ten spokój przeciwnika uspokoił także Stefana.

— Cóż pan się tak długo namyślasz? — ozwał się krezus — szkoda drogiego czasu! A dla pana rzeczywiście jest ten czas bardzo drogi! kto wié czy pachołkowie sądu nie są już w drodze....

Dziwny spokój krezusa wpływał także i na Stefana, usiadł na krześle i zamyślił się.

— Mogę panu powiedzieć — mówił daléj z flegmą krezus — że Anna ma prócz mnie wielu jeszcze innych adoratorów, którzy z położenia pańskiego teraz korzystać zechcą z tą różnicą, że zechcą skorzystać mniéj szlachetnie odemnie. Kobiéty lubią złoty deszczyk, a sam Jowisz nie mógł sobie inaczéj poradzić. Gdy Anna dowié się, że od pana tego

złotego deszczyku już się spodziéwać nie może, przystanie do tego, który jéj to obieca; a tak stracisz pan i Annę i mój projekt!

Stefan siedział nieruchomy: oczy jego patrzały w jeden punkt na ziemi.

— Zresztą — mówił daléj krezus—gdybyś nawet pan liczył na stalsze przywiązanie Anny, to z niego w żaden sposób skorzystać nie możesz. Dzis, jutro, potrzeba będzie wziąć nogi za pas i czmychnąć za góry, bo sprawa z sądem zawsze jest nieprzyjemną! I cóż się wtedy stanie z Anną? Nie mając żadnych funduszów, nie weźmiesz jéj pan z sobą! Ptaszka złapie piérwszy lepszy ptasznik, a pan na tém nic a nic nie zyskasz!... Czyż moja propozycya nie jest przyjacielską?...

Gdy piérwsze oburzenie téj propozycyi przeminęło, zaczął Stefan spokojnie o tej rzeczy myśléć. Położenie jego było tak smutne, że w obec tego położenia opuściły go wszelkie szlachetniejsze namiętności i uczucia. Zdawało mu się, że serce nagle zastygło mu w piersi, że krew także w żyłach zamarzać zaczyna. Przed nim otwierało się ciemne, puste, okropne *jutro!*

Czémże w obec tego jutra mogła być Anna dla niego?

Gdy w tej chwili pod wrażeniem tego smutnego jutra, rachunek z sobą zrobił, zdawało mu się że Anna była więcéj kaprysem dla niego, niżeli rzeczywistą potrzebą. Przy dostatkach, przy śmiałych marzeniach o milionach, była ona dla niego jedną kapryśną (jak mniemał) chwilą z miliona innych chwil życia, była jednym odmiennym dźwiękiem w chórze całéj stolicy, była jednym zabłąkanym promykiem księżyca śród pysznych świateł gazowych.... Czemże dzisiaj mogła być, kiedy straszna myśl o własnéj egzystencyi i bezpieczeństwie stanęła przed nim nieubłagana, zimna, lodowata!

Gdyby spokojném załatwieniem deficytu mógł w stolicy pozostać, znalazłby może jakie drogi, pododne do tych, które go do takich dostatków zaprowadziły na czas niejaki!... Tak

jednak musi uchodzić i kryć się, a tém samém przeciąć sobie wszelką drogę do lepszéj przyszłości.

Najgorszy człowiek czuje przy każdym złym kroku swoim pewną nieprzyjemną oscylacyę serca. Zdaje się że i Stefan czuł to w téj chwili, szybko bowiém powstał z krzesła i przeszedł się kilka razy po pokoju.

Dziwna jest, że w takim razie gorsza część istoty człowieka sili się nad wyszukaniem drogi, którą obchodzi zazwyczaj skopuł sumienia.

Stefan upierał się z tą myślą, że Anna nie jest konieczną potrzebą w dzisiejszém położeniu dla niego; mniemał nawet, że jestto pozycya, która sama przez się straconą być musi, jeźli się niéma dostatków do trzymania téj pozycyi. Mimo to jednak jakiś brzęczący dźwięk odzywał się z głębi duszy, którego żadném rozumowaniem dotąd przygłuszyć nie mógł.

Otóż na ten dźwięk wymyślił sobie teraz wygodny sposób:

Jeżeli to prawda — pomyślał sobie — że Anna jak każda inna kobiéta, tylko dostatki kocha, a reszta wszystko jest dla niéj obojętném, dlaczegóż nie mogę użyć próby, tak samo jak na złoto ognia używają? Dlaczegóż nie mogę wejść w ofiarowany mi interes i jéj to zaproponować?... Jeżeli przyjmie projekt, to zyskamy na tém oboje: ona otrzyma bogatego adoratora, a ja pozbędę się mojéj kapryśnéj illuzyi i zyskam, co ważniejsza fundusik na pokrycie deficytu kasowego!...

Ta myśl wielce uspokoiła Stefana, zdawało mu się nawet, że taki zwrot był koniecznością w dalszych losach jego: bez takiego zwrotu, sam nie wiedział jakby mógł wybrnąć.

Teraz, gdy już niejako okazała mu się droga wyjścia, przedstawiło mu się w całéj okropności jego położenie, i rzeczywiście widział teraz propozycyą młodego krezusa, za szczególnie przyjazny zbieg okoliczności a nawet..., nawet według zwykłego przyzwyczajenia, chciał widzieć w tém palec Opatrzności!

Spokojnie więc zaczął traktować swego gościa. Zapalił sobie cygaro i rzekł:

— Jakkolwiek propozycya pana, jak to pan sam zrozumiesz, nie mogła mi być wielce przyjemną, bliższe jednak rozważenie okoliczności przekonywa mię, że pan istotnie masz względem mnie przyjacielskie zamiary; dlatego w zasadzie nie miałbym nic przeciw porozumieniu....

— Ha, ha, ha! spodziewałem się takiéj odpowiedzi od pana!—odpowiedział krezus—wiedziałem bowiem że przy bliższéj rozwadze pan się na to zgodzisz. Zresztą niéma w tém nic tak dziwnego. Znałem jednego przemysłowca, który dopóki mógł żył z ostentacyą. Miał ekwipaże i ładne kobiéty. Jednéj z nich wynajął dystrybucyę cygarów, a gdy noga mu się pośliznęła i ekwipażów niestało, to poczciwa niemka służyła mu za jedyny dochód! I wiernie dzieliła się z nim każdym dochodem!

— Nie odchodźmy od rzeczy! — gniewnie przerwał Stefan.

— A prawda, pan nie masz czasu A więc interes byłby skończony... chodzi tylko jeszcze o jeden waruneczek.

— Jakiż waruneczek?

— Jeśli Anna na naszą umowę przystanie!

— Wszak to już będzie rzeczą pana!

— Nie, panie! Tu potrzeba na to dokumentu, że pan sam sobie tego życzysz, że to jest jedyny ratunek pana, że inaczéj pan będziesz musiał ze stolicy uciekać....

Stefan zagryzł usta aż do krwi i zaczął po kolei łamać sobie kości w palcach, aż trzeszczały. Zdawało mu się, że wszystko w życiu, a nawet lepsze jego chwile, zwracają się zawsze przeciw niemu; nawet Anna stawała się teraz umartwieniem dla niego....

Innéj drogi jednak nie było. Przed nim stało groźne, nieubłagane jutro! A on nie mógł jemu nic dać, prócz Anny!...

— Więc skończony interes!—rzekł do krezusa.

— Siadaj pan i pisz kartkę do Anny!—odparł tenże spokojnie.

Stefan usiadł i napisał te słowa:

„Oddawca téj kartki opowie ci, że jestem zrujnowany. Nie lękam się ubóstwa, ale lękam się sądowego skandalu, który niechybnie musiałby nastąpić, gdybyś mi żądanego od ciebie ratunku odmówić miała. Nie tłumacz sobie tego w ten sposób, jakobym żądał od ciebie zwrotu wyłożonych kosztów na zakupienie handlu, ale jest to po prostu konieczność mego rozpaczliwego położenia. Summa obiecana od rzeczonego oddawcy téj kartki wystarczy na pokrycie moich potrzeb, a zostawiam to twemu szlachetnemu sercu, czy mnie zechcesz ratować, czy z zimną krwią pozwolisz na moją zgubę.... Niéma ani chwili czasu do stracenia, resztę objaśni cię oddawca téj kartki.

Twój Stefan."

Gdy Stefan te słowa napisał, zrobiło mu się lżéj na sercu.

Ludzie zepsuci radzi wszędzie upatrywać powody samolubne. Stefanowi zdawało się, że z takiego przebiegu rzeczy nie tylko on ale i Anna będzie zadowolona!

Zapewne będzie tam trochę pozornego żalu dla kolorytu idealnego, o który kobiétom czasem chodzi, a w końcu pogodzi się wygodne serduszko z nowym stanem rzeczy!

Ileżto kobiét godzi się w ten sposób z utratą najsłodszych marzeń swoich?....

Tak sobie myślał Stefan i z dosyć dobrym humorem podał rękę krezusowi.

— Kiedyż mój panie mogę się spodziewać owych dziesięciu tysięcy?—zapytał.

— To zawisło teraz wyłącznie od Anny!

— Kiedyż będziesz pan z nią mówił?

Krezus z flegmą popatrzył na zegarek:

— Dzisiaj już będzie zapóźno—odrzekł—bo za godzinę jadę do Hitzing! Obiecałem kilku znajomym że tam

przyjadę. Będzie tam wesołe grono naszych baletniczek: możebyś i pan z nami się zabawił! *Vita brevis.*

— Nie mogę. Mam jeszcze niektóre interesa do załatwienia.

— Żałuję mocno. Więc dzisiaj do Anny nie pójdę. Jutro, nie prędzéj o czwartéj po południu będę mógł być u niéj.

— Więc jutro o czwartéj będziesz ją pan widział! — rzekł Stefan z uśmiechem szyderczym i pożegnał szczęśliwego krezusa.

Krezus schodził tryumfalnie po schodach i gwizdał sobie aryę z Offenbacha.

XV.

Na poddaszu.

Po wyjściu młodego krezusa opanowało Stefana dziwne uczucie. Nie umiał sobie z niego zdać sprawy. Nie wiedział, czy to jest radość z takiego przebiegu rzeczy, czy obawa przed czémś, czego sobie jeszcze nie mógł wyobrazić; dreszcz nieokreślony przechodził wszystkie członki jego i nie pozwolił mu spokojnie oddychać: pierś jego jak popsuta maszyna, chwytała oddech w sposób nienormalny.

Przypisywał to wzruszeniu, jakiego doznał w tych dniach ostatnich. Rozdrażnione nerwy jego jeszcze się nie uspokoiły, jeszcze kurczowo drgały w całém ciele. Zdawało mu się, że ruch na wolném powietrzu uspokoi go i sprowadzi zmysły do zwykłéj równowagi.

Prócz tego przypomniał jeszcze sobie Paulinę: jéj nieznane losy rozciekawiały go coraz więcéj. Nie mógł jeszcze wymyślić żadnego powodu, któryby mógł ją skłonić do opuszczenia tak wygodnego stanowiska. Im więcéj nad tém myślał, tém dziwaczniejszą wydawała mu się jéj historya, tém większa ciekawość zbierała go, aby wszelkich sposobów użyć do odszukania śladów do niéj.

Zresztą zatrzymanie się dłuższe w domu nie było bezpieczne. Sąd mógł już teraz poczynić kroki względem niego, chociaż z innéj strony nie spodziewał się, aby tak zawiłe rachunki, jakiemi były pozostałości spółki exploatacyjnéj, mogły być w tak krótkim czasie ukończone.

Dla większéj jednak pewności zebrał się i wyszedł z domu.

Chodził po całéj stolicy, zaglądał w rozmaite zaułki czy gdzie śladu Pauliny nie znajdzie; ale nigdzie nic nie napotkał, coby choć na jakibądź ślad wskazywać mogło!

Gdy wieczorem stolica mnóstwem świateł zabłysnęła, gdy wspaniałe magazyny rozlały całe strugi światła na szerokie ulice, Stefan chodził od jednych okien do drugich i patrzał w nie, czy gdzie nie ujrzyPauliny!

Pauliny nigdzie nie było. Stefan szedł z ulicy w ulicę, szedł bez myśli, bez wiedzy gdzie idzie, szedł naprzód aby iść tylko, bo ruch łagodził rozdrażnione nerwy jego....

Wreszcie zatrzymał się przed magazynem, który wewnątrz miał bardzo piękne oświetlenie! Wewnątrz magazynu siedziała młoda, nadzwyczaj piękna kobiéta w ubraniu gustowném; trzymała w ręku książkę i czytała z wielkim spokojem.

Była to Anna.

Stefan drgnął jakby od iskry elektrycznéj. Gniéwał się na siebie że tutaj przyszedł. Stał kilka chwil w niepewności, co ma uczynić. Zdawało się, że kilka razy brała go ochota wejść do magazynu i po dawnemu kilka chwil w towarzystwie Anny przepędzić, ale wnet jakiś kurcz wewnętrzny, spowodowany przez jakąś myśl bolesną, odtrącił go od drzwi jasno oświeconych.

Odetchnął pełną piersią, jak tonący człowiek gdy go fala na powierzchnię wody wyrzuci i wrócił się.

Noc przepędził bardzo niespokojnie. Zrywał się co chwila, wyskakiwał z łóżka i pilnie nadsłuchiwał. Zdawało mu się, że ktoś był przy nim, że ktoś zimną ręką dotknął się skroni jego, ręką zimną, lodowatą!...

Z potem na czole, z niecierpliwością w duszy, która go paliła, oczekiwał pierwszego brzasku dnia...

Wreszcie dzień zawitał. Stefan zebrał się skwapliwie jakby kto czyhał na niego!... Rozdzierające jakieś przeczucie dławiło go, nie mógł powietrza zaczerpnąć... Wyszedł na miasto.

Może po raz piérwszy w życiu widział budzącą się stolicę.

Wszystko to, co do zamożniejszych warstw należało, spało jeszcze. Okna piérwszych piąter były jeszcze zasłonione; jeszcze cichy anioł snów roztaczał tam szare skrzydełko swoje i pieścił duszę tém, czego ona sama pragnęła: tylko ludzie cięźkiéj, dziennéj pracy, powstawali już, aby się wziąć do roboty, którą wczoraj dla odpoczynku odłożyli od siebie.

Stefan wyszedł z miasta. Dzień był wiosenny. Słońce wytoczyło się w całym majestacie majowym i rozlało morze ciepła i światła na całą, w błękitnawą gazę okrytą stolicę. Z pośród morza domów, dachów i kominów wynurzała się w postaci topoli, wieża św. Szczepana i dążyła wprost ku niebiosom, jak modlitwa bogobojnego człowieka!....

Stefan patrzał z daleka na miasto, a dziwne uczucie przygniatało serce jego! Nie umiał bliżej określić tego uczucia, a jednak upadał pod niém, jak pod wiekiem trumny ołowianéj!...

W oknach otworzonych warsztatów widział ludzi wesołych i zdrowych. Powstali oni ze snu z rumianémi twarzami i swobodném wejrzeniem i brali się do pracy jakby do rozrywki!

Stefan zazdrościł im téj swobody życia. Dziwne myśli przebiegały mu po głowie. Robił rachunek z dotychczasowém szczęściem i nieszczęściem swojém i smutno patrzył zamyślony przed siebie.

W téj wędrówce mijały mu godziny w dziwny sposób. Lękał się liczyć je, lękał się spojrzéć na zegarek, bo zdawało mu się, że może na cyferblacie wyczyta nieprzyjemny wyrok

dla siebie! Nie czuł przytém ani głodu ani pragnienia, jakby potrzeby ciała nagle zastanowiły się!

Było już sporo po południu, gdy znowu zaczął się zbliżać do miasta.

Na skręcie jednéj ulicy, zdawało mu się że kogoś poznał. Szybko pośpieszył za kobiétą skromnie ubraną. Kobieta weszła do kamienicy... on za nią.

— Czy tu mieszka ta pani, co teraz tędy przeszła—zapytał z gorączką odźwiernego.

— Pani?... Jaka pani? to nie była żadna pani!—odparł z flegmą odźwierny.

— Pytam o tę kobiétę w szaréj zarzutce.

— To szwaczka, która mieszka na poddaszu.

Stefan zawahał się. Zapewne zmyliło go oko. Odszedł z kamienicy.

Po chwili jednak wrócił i wszedł na czwarte piętro.

Było to ubogie, ale schludne poddasze. Stefan na chybił-trafił otworzył piérwsze drzwi...

I kogóż tam ujrzał?

Była to Paulina!

Widok Stefana zmieszał z razu Paulinę, po chwili jednak oprzytomniała, uśmiechnęła się, podała mu rączkę, zawsze małą i piękną i prosiła go aby usiadł.

Stefan nie mógł jeszcze z zadziwienia przyjść do siebie: powoli zaczął się rozglądać po poddaszu.

Były to małe dwa pokoiki. Sofka ciemnym perkalem pokryta, stolik olchowy, cztery krzesła i małe pianino stanowiły całe urządzenie. W drugim widać było białe łóżeczko i skromną gotowalnię.

— Zlituj się pani—ozwał się Stefan—wytłumacz mi to wszystko!

Twarz Pauliny nie miała ani różu ani bielidła. W utrefieniu włosów zaszła także zmiana. W naturalnych splotach jak ongi w rodzinném mieście, spadały one na białe ramiona, które okrywała prosta bluzka z angielskiego perkalu!

Przed Pauliną leżały różne materye do szycia.

— Wymagasz pan odemnie bardzo wiele—odpowiedziała z czarującym uśmiechem, jakiego już dawno na jéj ustach nie było—wymagasz pan wiele, bo wymagasz spowiedzi!

Stefan nie mógł przyjść z zadziwienia do siebie: Paulina była młodszą o lat dziesięć, twarz jéj, pokryta dawniéj pudrem i różem, grała dzisiaj kolorami zdrowia i młodości!

Cóżby to mogło być, co tak ożywia i odmładnia?.

—Jeżeli o spowiedzi mowa—odparł Stefan po chwili—to może mam prawo do takiéj spowiedzi!

— Prawo?.... Nie wiem!—odpowiedziała Paulina—jeżeli wszystko to zsumujemy, co kiedykolwiek zaszło między nami!... Ale nie, dobrze pan mówisz, masz pan prawo do tego, a jeźli spowiedź moja pożądany skutek na pana wywrze, to będę za spowiedź moją sowicie wynagrodzoną.

— Słucham panią z całą uwagą!

— Najprzód niech pan mi wierzy, że poddasze to obrałam z własnéj woli.

— Myślałem że katastrofa giełdowa, która i mnie...

— Wiém o tém, inaczéjbym z panem nie mówiła. Tylko w pewnych chwilach jest człowiek przystępny pewnym uczuciom, a w takiéj chwili, zdaje mi się, widzę pana!

Stefan spuścił głowę. Paulina już wiedziała o jego nieszczęściu.

— Otóż najprzód panu powiadam, że katastrofa giełdowa ani mnie ani nikogo z najbliższych mnie nie dotknęła. Opuściłam mieszkanie moje w chwilach najlepszéj przyjaźni z baronem.

— Jakaż potrzeba do tego panią znagliła?

— Potrzeba lepszego uczucia, bez którego nie ma szczęścia na ziemi!

— Potrzeba lepszego uczucia?... Nie rozumiem pani!

— Pan wiele razy w życiu mnie nie rozumiałeś!—odpowiedziała z uśmiechem—a gdyby to było nastąpiło, nie bylibyśmy może dzisiaj tutaj w tak dramatycznem położeniu!

Stefan potarł ręką po czole, jakby tam chciał co zmazać.

— Wierzaj mi pan—mówiła daléj z tym samym swobodnym uśmiechem—wierzaj mi pan, szczęście ludzkie nie zawisło od szerokości horyzontu, na który z wysokiego stanowiska się patrzy, ale od oka, jakiém się na ten horyzont spogląda. Jeżeli w tém oku przebija się zadowolenie z życia i z siebie, to horyzont ten będzie dla nas rajem, czy on jest rozległy, czy mały jak horyzont więźnia: wszystko inne jest złudzeniem!

Stefan westchnął i spojrzał zamyślony przed siebie.

— W różny sposób wyobrażałam sobie szczęście—mówiła daléj Paulina—ale przyznam się, że szczęścia nigdzie nie znalazłam... Widziałam że tysiące kobiét kładą na pierwszém miejscu dostatki, a potém dopiero serce; pomyślałam sobie, że musi to być szczęście prawdziwe jeśli tysiące za niém przepada. Miałam jeszcze przed niemi pewne korzyści. One wiążą się nieraz związkiem nierozerwalnym z mężczyzną, którego nie kochają, a którego tylko bogactwa je ujęły; ja zaś prawdziwą sympatyą przywiązałam się do człowieka, który mnie dostatkami obsypywał. Tamten zawadza im na każdym kroku, nie mogą się ani na chwilę pozbyć jego oblicza natrętnego, a ja byłam wolną od tego wszystkiego... A przecież nie znalazłam szczęścia w życiu wyłącznie tylko na dostatkach opartém!.... Im wybredniejsze otaczały mnie dostatki, tém duszniejszą była dla mnie atmosfera; tém bardziéj byłam głodną i spragnioną jakiegoś lepszego, szlachetniejszego oddechu!....

Stefan uśmiechnął się z ironią i zauważył:

— Prawda!... Gdyby kobiéty zmartwychstawać umiały, toby każda z nich była w powtórnem życiu... aniołem!

— Jeśli aniołem być nie można—odparła z westchnieniem Paulina—to można być poczciwą pokutnicą!... Pan nie wierzysz temu? Uśmiech ironiczny zdradza myśli pana! Być może że się łudzę, ale dotąd nie mam prawa wątpić o sobie!

Co ten ironiczny uśmiech Stefana oznaczał, trudno wiedzieć. Czy był on surową krytyką owéj wygodnéj moralności kobiecéj, o któréj Paulina mówiła?

— Czy znalazłaś pani sferę tego lepszego, szlachetnego uczucia?—zapytał Stefan.

— Zdaje mi się, że znalazłam!... A z przyjaźni dla téj sfery obrałam to poddasze!

— Czyż to jest wyłączna sfera dzisiaj, wszelkiéj szlachetności?

— Nie jestem tego zdania.... ale przypadkiem znalazłam ją tutaj!

— Więc zakochałaś się pani?

— Tak jest: kocham i jestem nawzajem kochaną!

Milczenie zapanowało przez chwil kilka. Oboje cofnęli się myślami swemi gdzieś w głąb życia.

— Czy nie można wiedzieć, kto jest tak szczęśliwy?

— Biédny, chory artysta.

— Artysta?... Tam do kata! W każdéj powieści artysta i tu artysta.

— Bo to są zazwyczaj ludzie idealniejszego usposobienia od innych.

— Czy zna on panią?

— On mnie wcale nie zna: u niego jestem prostą szwaczką!

Znowu ten sam ironiczny uśmiech zaigrał na twarzy Stefana. Biédny, idealny artysta!...

— Jakimże sposobem stałaś się pani dla tego człowieka szwaczką?—zapytał Stefan.

— Sposobem trochę romantycznym ale w gruncie bardzo prostym. Raz chciałam obaczyć ludowe zabawy i w skromnéj sukience wmieszałam się w zgromadzenie. Jakiś człowiek z twarzą szlachetną zwrócił moją uwagę na siebie. Widziałam także, że i on często patrzał na mnie. Po chwili zbliżył się do mnie, powiedział mi, że jest rzeźbiarzem a ja mu nawzajem powiedziałam, że jestem szwaczką. Przyjął to z największym spokojem, powiedział mi, że sprawiłam

na nim dziwne wrażenie i prosił, aby mu było wolno pisywać do mnie. Dałam mu adres mojéj służącej, nie pozwoliłam mu nigdy przychodzić, a za to co dwa tygodnie raz bywałam na téj ludowéj zabawie i z nim się widziałam!

— To nader romantycznie!—zauważył Stefan z ironią.

— Zrazu, mówiąc szczerze, wzięłem to sobie za rozrywkę, aby kogoś mistyfikować; późniéj zapanowało nademną szlachetne uczucie Edwarda i dało mi poznać tę atmosferę do któréj tak często wzdychałam!... Weź pan to moje ostatnie słowo do serca, że niczém są one sztuczne blichtry życia, jeżeli się niéma téj pięknéj, wonnéj atmosfery uczucia szlachetnego, które jest jedyném szczęściem człowieka: blichtry te są tylko sztuką wymyśloną, jak leki apteczne dla podtrzymywania zdrowia tam, gdzie go już niéma!...

Stefan przebiegł lotną myślą koleje swego życia i westchnął.

— Nie chciałam demaskowaniem zmartwić biédnego Edwarda i postanowiłam być dla niego tém, czém mnie pokochał. Za dwa tygodnie połączy nas ślub nierozerwalny i zawiozę go w inne kraje, aby powietrze Południa mogło zbawiennie działać na jego chory organizm. Cierpi biédny na piersi. Jestto choroba z niedostatku i pracy!... I już teraz marzę sobie, jak będziemy razem chodzić po ruinach wiecznego miasta.... jak mu w każdéj chwili życia za jego miłość będę opiekuńczym przewodnikiem...

Marzenia Pauliny mogłyby w każdym innym razie podlegać ostréj krytyce... ale Stefan w téj chwili nie był wcale do niéj sposobnym. Zresztą nie mógł i nie umiałby nawet krytykować marzeń kobiéty, która podobne jak i on koleje życia przeszła. Pominął więc wszelkie ujemne strony podobnéj filozofii życia, a zatrzymał się tylko myślą przy tym uroku, w jakim właśnie przedstawiała mu szczęście swoje Paulina.

I on chciałby być takim pokutnikiem, chciałby téj zdrowéj zaczerpnąć atmosfery, która takim wdziękiem przyodziała teraz twarz Pauliny!...

— Jeżeli chcesz pan być prawdziwie szczęśliwym — rzekła do niego po chwili — to jest teraz w mocy pana. Porzuć tę atmosferę zgniłą i duszną, porzuć te sztuczne narkotyki życia, a wróć do czystéj, zdrowéj krynicy, od któréj tak radzi oddalamy się!.....

Stefan potarł ręką po czole, odetchnął pełną piersią i rzekł w dziwném wzruszeniu:

— Przyznam się pani, że podobne pragnienia już mię nagabywały!

— A teraz masz pan sposobność do tego!

— Sposobność? — z zadziwieniem zapytał.

— Nie myśl pan, aby coś, co ukrywałeś przedemną, było tajemnicą dla mnie. O Annie wiedziałam!... Jestto kobiéta jakby stworzona dla pana: ona podniesie cię, jeśli wspomnienia przeszłości przygniatać cię będą!...

Stefan zamyślił się: pierś jego podnosiła się wysoko i opadała...

— To być nie może — westchnął i głowę spuścił na piersi.

— Dlaczego być nie może?.... Silnéj woli nic nie przełamie!

— Dobre myśli w życiu zazwyczaj przychodzą za późno! Jestem dzisiaj bez jutra!

W téj chwili uroczy obraz Anny, widziany wczoraj przez szybę, przesunął mu się po przed oczy!

Westchnął i oczy spuścił ku ziemi.

— Bez jutra pan jesteś? — ozwała się Paulina i zamyśliła się na chwilę — zaczekaj pan, przychodzi mi coś na myśl. Funduszów żadnych nie mam prócz małéj sumki, oszczędzonéj z dostatków moich! a którą na podróż do Włoch złożyłam w kassie oszczędności dla Edwarda; ale mam tutaj kilka losów, które mi kiedyś w podarunku przyniesiono. Zdaje mi się, że już temi dniami było ciągnienie, ale nie spieszyłam się z dowiadywaniem, bo szczęście moje dzisiejsze jest wyższe nad szczęście wygranéj.... Otóż dwa z tych losów

dam panu, a być może, że wzgląd na cel, w jakim są dane, sprawi w wyrokach boskich szczęście pana i Anny!

Przelotny ogień zamigotał w oczach Stefana. Na chwilę zabłysła przed nim myśl, czy raczéj marzenie o takiém szczęściu... Była to myśl rozkoszna!

Anna w całym uroku przesunęła mu się po przed oczy. Postać jéj eteryczna i anielska przesunęła mu się jak ożywczy płomień przez zgniłą atmosferę jego życia i oczyściła ją!...

Ale do téj Anny było wiele, wiele potrzeba!...

Z gorzkim uśmiechem schował losy do kieszeni, obiecał Paulinę jak najprędzéj odwiedzić i pożegnał ją z jakiémś dziwném, nieokreśloném przeczuciem.

XVI.

Na drodze szczęścia.

Była godzina trzecia po południu, gdy Stefan wyszedł od Pauliny. Zatopiony w różnych myślach nad sobą szedł, szedł zwolna naprzód i nagle stanął przed kawiarnią, w któréj często bywał.

Machinalnie prawie wszedł: kazał sobie dać filiżankę herbaty.

Usiadł w ciemnym kącie i patrzał ztamtąd martwemi oczyma na rój gości, który uwijał się po wspaniałych salach.

Trwało to blizko godzinę. Wypił herbatę i kazał sobie podać dziennik. Posługacz przyniósł mu dziennik i położył przed nim stroną odwrotną. Stefan rzucił okiem i zobaczył właśnie na ostatniéj stronnicy numera wyciągniętych losów.

Przypomniał sobie teraz o losach danych mu przez Paulinę. Wyjął z kieszeni, odczytał numera, przeszedł okiem na ostatnią stronnicę dziennika... o dziwo!...

Jeden z losów wygrał kilkanaście tysięcy złotych reńskich!

Stefan drgnął, jakby jasny słup światła strzelił w niego. Siedział tak chwilę skamieniały. Oczy jego rozgorzały dzi-

wnym ogniem. Jakaś myśl wielka i potężna wciągnęła je w głąb głowy. Twarz jego zagrała żywemi kolorami.

A tłumy gości przechodziły przed nim, mijały go i potrącały, a żaden z nich nie wiedział, że w tym człowieku odbywa się w téj chwili wielka rewolucya moralna, że ten człowiek w téj chwili myśli na seryo o rehabilitacyi życia swego... że marzy o biédnéj kobiecie, aby szczęście swoje podzielić z nią węzłem nierozerwalnym!...

Nikt o tém nie wiedział a jednak Stefan na seryo myślał o Annie. Rozkoszne obrazy przebiegały mu przed oczyma, z zapartym oddechem ścigał je, aby żadnego z nich nie spłoszyć!...

W téj chwili jednak przypomniał sobie o *godzinie czwartéj!*

Straszne, potworne obrazy stanęły mu przed duszą!...

Spojrzał na zegarek: była godzina czwarta!

Szybko powstał i wybiegł na ulicę.

Na ulicy spotkał go służący, który właśnie szedł go szukać.

— Czego chcesz?—gorączkowo zapytał Stefan.

— Jakaś pani szukała pana w domu i prosiła, abyś pan natychmiast ją odwiedził. Jest w hotelu „zum wilden Mann“ Nr. 13; powiada, że ma pilny interes.

Szalona myśl przebiegła Stefanowi do głowy. Trudno wiedzieć jakim sposobem przyszedł do téj myśli, ale zdawało mu się, że to będzie Anna!

Szybko pokombinował rozmaite pobudki do takiego kroku. Wyobraził sobie, że Anna oburzona propozycyą krezusa, porzuciła magazyn, a wybierając się w drogę do opiekuna swego, którą nieraz groziła, chciała może z nim się pożegnać...

Stefan wpadł do pierwszego fiakra, którego spotkał na drodze i kazał się zawieźć do wskazanego hotelu.

W hotelu nie było nikogo pod tym numerem, ale zostawiono rozkaz, aby Stefan zaczekał.

Co to jest za kobieta, nie umiano mu powiedzieć, tylko tyle się dowiedział, że fiakrem przyjechała przed chwilą i że jest blondynką.

Wszystko to utwierdziło Stefana, że to jest Anna: jego domysły zdawały mu się niezbite.

Postanowił czekać.

Czekał długą, nader długą godzinę: w téj godzinie przetrwał wszelkie katusze piekła.

Po godzinie wreszcie przywiozła remiza... baronowę, pułkownikową!

— *Bon jour!* Przecież widzę pana—zagadnęła z radością i podała mu rączkę.

Stefan zbladł z przerażenia. Pomyślał o godzinie czwartéj.

— Nie spodziewałem się pani tutaj spotkać!—wyjąkał.

— Ach, złożyły się na to różne okoliczności!.. Niech pan chwilkę usiądzie!

— Przepraszam panią, ale nader pilne interesa niecierpiące zwłoki...

— *Mais comment!* Przecież pan nie będziesz tak niegrzecznym!... Zresztą nie ja sama zawezwałam pana tutaj! Złożyła się razem zemną pewna dobra znajoma pana, którą przypadkiem poznałam!... Zaraz tu przybędzie!

— Któż to może być?—zapytał z gorączką Stefan, któremu już się w głowie przewróciło.

— Zgaduj pan!

— Blondynka?

— A... tak... blondynka, ładna blondyneczka!—rzekła z uśmiechem pani Aurelia.

Stefan stracił już zmysły. Zdawało mu się, że przed nim rozwiązuje się dziwny dramat, którego rezultatem nie może być nikt inny, tylko... Anna.

Jakim sposobem przyszedł do tego? trudno wiedzieć. Usiadł na krześle.

— Słyszałam, że panu bardzo się świetnie teraz powodzi!—rzekła baronowa.

— Tak... świetnie, dosyć świetnie!—wyjąknął Stefan patrząc na drzwi.

— A na nas przyszło wielkie nieszczęście!.. Pułkownik stracił wszystko!

— Pułkownik stracił wszystko!—powtórzył machinalnie Stefan!

— Liczymy na to, że pan swoim wpływem dopomożesz nam!

— Swoim wpływem dopomożesz nam!

— Ale pan jesteś za nadto jakoś roztargniony!

— Prawda, jestem roztargniony... kiedyż przyjdzie znajoma pani?

W téj chwili otworzyły się drzwi: do pokoju weszła drobnym, kokietującym krokiem... Węgierka.

— A toż i ona!— z uśmiechem zawołała baronowa.

Stefan stanął jak wryty.

— O mój *Istvanku!*—ozwała się babulka i pogłaskała zmarszczoną rączką twarz jego;—mój ty *frou-frou!* Tośjuż zapomniał o mnie?... To wtedy znałeś drogę do mnie, a teraz uganiasz za młodemi?.. Czekaj! Dobrze żem cię złapała tutaj! Nie ujdziesz mi tak prędko! Siadaj i opowiédz, gdzie tak uganiasz?...

Stefan był blizki apopleksyi. Zegar stojący na komodzie wskazywał pół do szóstéj!

Rozpaczliwym skokiem chciał się ratować, ale babulka uchwyciła go za połę i rzekła:

— Mówiłam ci, nie ujdziesz mi *Istvanku!* Siadaj i opowiadaj nam co porabiasz teraz!

— Ja nic nie porabiam!—krzyknął Stefan i szarpnął połę.

Wnet jednak poczuł ostre pazurki babulki na ręku, która trzymała go całą siłą żylastéj rączki swojéj.

Baronowa śmiała się do rozpuku z téj sceny. Stefan zniewolony usiadł. Pot zimny wystąpił mu na czoło. Wszystko mieszało mu się przed oczyma.

Wreszcie oprzytomniał, wstał z krzesła i szybko wziął kapelusz do ręki:

— Przepraszam panie—rzekł wzruszonym głosem—muszę odejść, bo w téj chwili może rozstrzygnęło się życie moje!

I oczy jego zaszły łzami... Zdawało mu się, że te kobiety jako Eumenidy stanęły mu na drodze szczęścia... Kobiety zdziwione spojrzały na siebie, a Stefan tymczasem wypadł na ulicę!

XVII.

Ostatnia scena.

Właśnie biła na wieży św. Szczepana godzina szósta, gdy konie fiakierskie zaryły kopytami przed magazynem Anny. Do magazynu wpadł Stefan.

Anna siedziała spokojna i nieruchoma jak statua z marmuru. Patrzała przed siebie zamyślona. Przed nią stała szklanka wody czystéj z srebrną łyżeczką.

Miała na sobie kostium fijołkowy, w którym jéj było bardzo do twarzy.

Gdy Stefan wszedł do magazynu, twarz jéj lekko zadrgała jakimś bólem kurczowym; po chwili jednak uspokoiła się.

Podała Stefanowi rękę... spokojną i zimną jak marmur.

Stefan uścisnął z gorączką tę rękę i usiadł na krześle.

Słowa zamierały mu na ustach, nie mógł o nic zapytać.

On przychodzi do niéj z szczęściem, ale czy nie przychodzi za późno?

Straszne milczenie panowało przez chwil kilka. Patrzyli oboje na siebie, patrzyli ze strachem i drżeniem. Zapytanie drżało w tém spojrzeniu, ale odpowiedzi żadne z nich nie pragnęło!

I słychać było głośne tętna serc... i przytłumiony oddech piersi...

Stefan czuł się winowajcą i nie chciał dowiedzieć się tego, o co się lękał!

Piérwsza przerwała milczenie Anna:

— Powiedz mi Stefanie—rzekła spokojnie, ale usta jéj blade zadrżały mimowolnie—powiédz mi Stefanie, jak sobie wyobrażasz szczęście?

— Szczęście... szczęście—mówił Stefan w złowrogiém przeczuciu—szczęście jestto pojęcie nader względne! U jednych jest to szczęście, co u innych nieszczęściem być może; czasami nawet sami zmieniamy wyobrażenia o szczęściu!

— Czy możesz mi powiedzieć Stefanie, jakie jest obecnie wyobrażenie twoje o szczęściu?

— Moje wyobrażenie zmieniło się w ostatniéj chwili. Dawniéj nie wierzyłem w szczęście, ale w pewne odurzenie duszy środkami, jakie dają bogactwa! Dzisiaj...

— Jakto?—zawołała żywo Anna, a twarz jéj blada zafarbowała się—ty Stefanie wierzysz dzisiaj, że można być szczęśliwym przy skromnych dostatkach?

— Nie tylko wierzę, ale wiara ta stała się dzisiaj potrzebą mego życia!

— Ach! Jakąż radość mi sprawiasz! Więc dzisiaj nicby już naszemu szczęściu na drodze nie stało?... Czyż to być może?

Stefan patrzał z uwagą na Annę. Słowa jéj brzmiały mu jakoś dziwnie. Było w nich tyle spokoju, tyle chłodu, mimo deklamacyi retorycznéj. Zdawało mu się, że słyszy artystkę wygłaszającą próbę sceny, jaką ma kiedyś odegrać!..

Dreszcz przeszedł go, a jednak obawiał się zapytać, bo obawiał się odpowiedzi.

— Więc pan zmieniłeś swoje zdanie o szczęściu!—ozwała się po chwili milczenia Anna—szkoda, wielka szkoda!

— Szkoda? Dlaczego szkoda!—z zapartym oddechem zapytał Stefan.

— Bo zmieniłeś pan... za późno!

— Za późno!—krzyknął Stefan i wyciągnął z kurczowém drżeniem rękę ku niéj.

Anna patrzała chwilę na niego w milczeniu. Po bladéj jéj twarzy igrały małe światełka. Po chwili znikły te światełka, a twarz jéj stała się znowu nieruchomą jak marmur.

— Dlatego za późno—odrzekła spokojnie—że ja... także moje zdanie o szczęściu zmieniłam!

Stefan odetchnął pełną piersią i upadł znowu na krzesło jak człowiek, którego ominęło wielkie nieszczęście, ale który wysilił się straszną obawą.

— Zmieniłaś pani tylko zdanie o szczęściu!—ozwał się głosem bez dźwięku.

Anna patrzała na niego z uśmiechem bolesnéj ironii.

— I jakaż ta zmiana?—zapytał po chwili.

— Zmiana bardzo naturalna — odpowiedziała zimno Anna—dążymy zawsze do czegoś doskonalszego. Dawniéj wyobrażałam sobie szczęście w znaczeniu nieco samolubném. Szczęście nazywałam to, coby mi sprawiało chwile spokojne, błogie i rozkoszne; dzisiaj przyszłam do przekonania, że szczęściem może być także... poświęcenie się!

— Poświęcenie się?—powtórzył Stefan, a zimny dreszcz przeszedł mu znowu po ciele.

— Tak jest, poświęcenie się!—mówiła daléj Anna—czy pana to zadziwia?

— Nabawia mnie to śmiertelną trwogą!—odparł a pot zimny wystąpił mu na czoło.

— A przecież jest to tak naturalne!—z zimnym uśmiechem mówiła Anna wszyscy dążymy do czegoś wyższego w życiu. Chory na przesyt życia Anglik, nie widząc nic wyższego w życiu, drapie się po skałach i urwiskach, aby wyszedł na wysoką górę! Niczém wtedy jest u niego niebezpieczeństwo na jakie się naraża!... On chce tylko wyżéj stanąć na ziemi od innych!... Albo idzie w zapasy z lwem puszczy afrykańskiéj, lub chce dopłynąć do bieguna północnego!.. Czyż to nie jest uczucie wrodzone człowiekowi? Dla-

czego ciebie nabawiają trwogą słowa moje, gdy mówię o poświęceniu się?

— Słowa twoje są ciemne i straszne.. a ja lękam się pytać.

— Lękasz się pytać o moje poświęcenie się? Wszak sam żądałeś odemnie tego poświęcenia!

Twarz Stefana zbladła, usta wykrzywiły się jakimś kurczem wewnętrznym.

— To była chwila obłąkania i rozpaczy—wyjąkał.

— Chwila obłąkania i rozpaczy? Nie, to był rezultat twego życia!

— Zlituj się!.. Nie mów tak... Ja przychodzę z szczęściem do ciebie!

— Z szczęściem?... Czyż może być wyższe szczęście jak poświęcenie się? Nie, nie odbieraj mi tego szczęścia!

Po tych słowach spokojnie zamieszała wodę w szklance i wypiła jednę część.

— Ale poświęcenie moje nie jest zupełne—mówiła daléj spokojnie—bo jest ono spłaceniem tylko długu. Byłam tobie winną, więc należało dług oddać!

Stefan zdrętwiał cały: wszystka krew zbiegła mu z żył do serca.

— Przecież..—jąkał—przecież... nie... to być nie może!

— Żądałeś odemnie ratunku... a więc dług oddany i ratunek człowieka, którego nad życie kochałam!

Rzekłszy to, otworzyła stolik i wyjęła paczkę opieczętowaną z dziesięcioma tysiącami.

— Oto jest dług mój—rzekła z głębokiém westchnieniem—i twój ratunek!

I wzięła znowu szklankę z wodą i spokojną ręką przytknęła do ust.

Myśl straszna przeszyła pierś Stefana.

— Co pijesz?—krzyknął i wyciągnął rękę po szklankę.

— Co piję?—spokojnie odpowiedziała Anna z rozjaśnionêm obliczem—co piję? pytasz?... piłam truciznę!

Stefan przewrócił krzesło i chwycił za szklankę.. w szklance zostały tylko resztki brudnego osadu na dnie!..

W téj chwili kurcz bolesny przebiegł po twarzy Anny... upadła na fotel... zmrużyła oczy... a dziwne drganie przebiegło po całém jéj ciele...

Stefan rzucił się aby ją ratować.

Tymczasem kilku ciekawych stanęło przed szklannemi drzwiami i patrzeli się na dziwną scenę wewnątrz magazynu, jakiéj nie rozumieli.

Co chwila zaczęło się mnożyć kółko ciekawych...

Stefan szybko przypadł do drzwi i zamknął je na klucz. Sam pośpieszył do Anny, którą już dziwnie opromienił groźny majestat śmierci...

Zamknięcie drzwi od magazynu, dało dopiéro powód do wmieszania się publiczności w ten zagadkowy dramat.

Massa ludzi stała przed magazynem... a ci co byli bliżéj widzieli, że jakiś mężczyzna napada kobietę i prawdopodobnie zabija ją!...

— Drzwi wysadzić!—krzyczała massa stugębna.

— Otwórz łotrze!—piorunującym głosem wołał jakiś wyrobnik i pięścią tłukł szyby!

— Otworzyć!—krzyczał policyant, którego ludzie przyprowadzili.

— Rozbójnik! Morderca! — wrzeszczały tłumy rozwścieklone...

Stefan słyszał to wszystko... słyszał brzęk szkła tłuczonego... słyszał łomot drzwi i uderzenia siekiery...

Widział twarze rozwścieklone... widział pięście zaciśnięte... widział policyantów i żandarmów z bronią połyskującą!... Widział Annę bez życia...

W głowie jego szumiało mu jakby słyszał szum stu orkanów naraz; w oczach mieszało się wszystko...

Anna leżała na fotelu już martwa i spokojna jak anioł...

I cóż teraz powié ten tłum rozwścieklony? Cóż powié władza, która prawdopodobnie już go szuka?... Czyż ma

dać z siebie widowisko dla publiki przed sądem? Jakiż skutek może być tego sądu?... Może więzienie długie...

Stefan chwycił szklankę i pozostałe w niéj resztki osadu wychylił aż do dna! .

W téj chwili runęły drzwi... ale Stefan upadł na krzesło bez oporu!.. Upadł z wygranym losem w kieszeni... z darem Pauliny!

Był to istny dar Danaidy!...

. . . .

. . . .

W téj saméj chwili przejeżdżał przez ulicę krewny Hohenstauffów w swoim pysznym ekwipażu: tłumy przed magazynem zatrzymały ekwipaż.

Krewny Hohenstauffów gniewał się, krzyczał, groził że cały gmin potratuje, który poważył się zamknąć mu drogę... ale to wszystko nie pomogło!

Kilkaset powozów zatarasowało całą ulicę.

Fichtenau cały siny ze złości był zmuszony wysiąść z powozu i pójść na miejsce zbiegowiska, aby się tam popatrzeć. Tymczasem fala ludzi porwała go z sobą, wmieszała w grupę wyrobników i popychała go coraz daléj od jego powozu. Znowu krzyczał, siniał ze złości, ale napróżno!

Na jego nieszczęście z jakiegoś ładnego powozu wychyliła się ładna twarzyczka i z uśmiechem oddała mu ukłon.

Była to owa fijołkowa dama z balkonu narożnego domu przy *Kärnthnerring*, o któréj marzył krewny cesarzów!

Krew uderzyła mu do głowy na myśl, że fijołkowa dama spotkała go piechotą idącego śród tłumów wyrobników...

Był już pewny, że z tego powodu wszystkie jego marzenia stracone.

— Mój powóz! Mój powóz!—krzyczał donośnym głosem, aby fijołkowa dama usłyszeć mogła, i machał białą chustką w kierunku, gdzie był swój ekwipaż zostawił... ale ani dama, ani służący jego tego nie słyszeli!...

Krewny Hohenstauffów posiniał ze zmartwienia i upokorzenia, jakiego w obliczu swojéj wymarzonéj kochanki doznał, a uważając całą sprawę za straconą, powalił się na dwóch wyrobników i w ich objęciach pożegnał się na zawsze z doktrynami dziewiętnastego wieku... Był to zacny, bardzo zacny oryginał. W swoim rodzaju był on także... człowiekiem bez jutra!

Tknęła go apopleksya.

. . . .

. . . .

Po kilkunastu minutach była znowu normalna cyrkulacya na ulicy. Fiakry rozwoziły śpieszących do kolei żelaznéj podróżnych, chłopcy szewskie gwizdali najnowsze arye Offenbacha, nowe spółki przemysłowe przemyśliwały o statutach, giełda nawet zapomniała o chorobie Napoleona... słowem, fale życia wielkomiastowego przeszły po tych tragicznych wypadkach i zatarły wszelkie ślady po nich.

Tylko w kronikach dzienników, pomiędzy wypadkami różnemi, wspomniano kilkoma słowy tak samo o parze romantycznéj w magazynie, jakotéż i o ostatnim krewnym Hohenstauffów! O kilka wierszy poniżéj doniesiono o śmierci młodego rzeźbiarza, który umarł na krwotok...

Biédna Paulina!.. biédna kobieta... bez jutra! Jéj droga nie prowadziła... do jutra!

* *
*

W kilka miesięcy po tych wypadkach przyjechali podróżni do hotelu „zum ungarischen Krone“ i wzięli te same pokoje, w których Stefan poraz pierwszy występował z powodzeniem na szerszym świecie.

— I cóż Zosiu — rzekł po wieczornéj herbacie staruszek o pogodnéj twarzy, do pięknéj, młodéj kobiety o jasnoblond włosach, która opierała swoją główkę o ramię młodego, czerstwego mężczyzny — cóż Zosiu? Widziałaś Paryż, Berlin, Drezno i Wiedeń! Które z tych miast najlepiéj ci się podoba?

— Najlepiéj mi się teraz podoba nasz biały dworek!— odpowiedziała młoda kobieta—i przycisnęła głowę do ramienia młodego mężczyzny.

— Przecież tak nie mów, moja droga – zauważył młody mężczyzna—stolice Europy mają bardzo wiele pięknych rzeczy!

— Prawda – odparła Zosia—temu nie przeczę. Jeżeli to bez uszczerbku rodziny stać się może, to dobrze i pożytecznie jest widziéć raz te cuda świata; ale mieszkać tam, mieszkać dla rozerwania nudów, tego nie pojmuję!.. Nasz zagon ojczysty ma tyle dla nas przyjemności, tyle uroku i tyle obowiązków jesteśmy mu winni, że życie nasze wydaje mi się za krótkie, aby z niego coś jeszcze dla bezcelowych wędrówek po świecie wykradać!

— Może masz i słuszność!—odparł z uśmiechem młody mężczyzna.

— A przecież był czas—rzekł z uśmiechem – że ten biały dworek bardzo smutno tobie wyglądał!

— Ojcunio jest bez litości!—odpowiedziała z czarującym uśmiechem Zosia—wszak małe pomyłki przebaczają się! A zresztą, Bóg na to zsyła na nas drobne nieszczęścia, abyśmy potém prawdziwe szczęście tém więcéj cenić umieli!.. Nie prawda Karolu?

— Prawda! – odparł Karol z rozjaśnioném okiem, po którém przebiegła mgła jakiegoś wspomnienia i znikła.

I ucałował serdecznie drobną rączkę czarującéj kobiety, tę samą rączkę, którą niegdyś, w owym białym dworku, chciał przemysłem posiąść nasz: *Człowiek bez jutra*...

Radymno, 30 listopada 1870 r.

KONIEC.